Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 25 zł — 12 stron

Warszawa, 2 lipca 1950 r.

Nr 14 Rok I

Biblioteka Instytut Sztuki PAN

ADAM WAŻYK

Perspektywy rozwojowe literatury polskiej

Referat wygłoszony na V Zjeździe Związku Literatów Polskich

W CHWILI, kiedy odbywa się piąty zjazd delegatów Związku Literatów w odrodzonej Polsce, masowy ruch obrony pokoju ogarnia wszystkie kraje. Polska klasa robotnicza, masy pracujące — cały naród pochłonięty jest intensywną pracą nad realizacją planu sześcioletniego. Te dwa historyczne zadania — obrona pokoju przed podpalaczami świata i przekształcenie oblicza naszego kraju, jego gospodarki i kultury, powinny kierować myślą literacką na naszym zjeździe. I nie tylko na zjeździe. Powinny wyznaczać kierunek codziennej pracy pisarzowi polskiemu, jeśli chce sprostać zadaniom swoich czasów.

Po raz pierwszy od czasu wyzwolenia kraju zjeżdżamy się na obrady do Warszawy. Nie ma chyba Polaka, którego by nie cieszyła, nie urzekała nowa uroda Warszawy dźwigniętej z gruzów wysiłkiem wyzwolonej pracy. Pełnia i harmonia tej urody ukaże się po realizacji planu sześcioletniego. Już dzisiaj jednak wyłaniają się zarysy nowej socjalistycznej stolicy, która nie tylko szanuje piękne zabytki przeszłości, ale potrafi je uwydatnić. Warszawa rozszerzająca swoje perspektywy dla wchłonięcia nowego stylu życia równocześnie wiąże swoją urodę z najlepszymi tradycjami przeszłości. Obraz nowej Warszawy wskazuje, czego bronimy — broniąc pokoju. Bronimy milionów istnień ludzkich, którym grozi zagładą garstka rozwścieczonych imperialistów. Bronimy tego wszystkiego, czego już dokonał w ciągu pięciu lat pokoju naród prowadzony przez klasę robotniczą i tego wszystkiego, czego ma w przyszłości dokonać. Bronimy naszej perspektywy rozwojowej, która prowadzi do ostatecznego uwolnienia naszego kraju od wyzysku człowieka przez człowieka, do wyzwolenia wszystkich sił twórczych, do postępującego rozkwitu życia materialnego i kulturalnego. Walka o pokój światowy łączy się dla nas nierozerwalnie z walką o rozkwit życia narodowego.

Niedawno Prezydent Bierut mówił:

„Walka o dalszy rozwój państw, które zbudowały socjalizm, lub też budują je o zręby, walka klasy robotniczej narodów wyzyskiwanych przez kapitalizm, walka narodowo - wyzwoleńcza krajów kolonialnych i walka o suwerenność narodów zagrożonych przez ekspansję amerykańską łączy się w jeden nurt walki przeciwko ciemnym siłom wojny. Każdy cios wymierzony w tej walce uderza w siły imperializmu i wojny, przybliża zwycięstwo trwałego pokoju na całym świecie".

W szerokiej akcji obrony pokoju literaci brali i biorą pokaźny udział. Jednodniówka w obronie pokoju wydana 1 maja skupiła ogół literatów. Działalność publicystyczna bynajmniej jednak nie wyczerpuje zadań literatury polskiej w dzisiejszej chwili historycznej. Walka ideologiczna o pokój i przyszłość kraju powinna stać się osnową twórczości literackiej, pracy poetów, powieściopisarzy, krytyków. W twórczości literackiej walka ta przybiera rysy konkretne w zależności od podejmowanych tematów. Dla przykładu wystarczy przytoczyć sztukę Leona Kruczkowskiego „Niemcy", która poważnie przysłużyła się sprawie pokoju na konkretnym odcinku. Sztuka ta dokonała więcej, niż dokonać by mogły dziesiątki artykułów i przemówień, przygotowała świadomość tysięcy widzów polskich do ufności w odradzanie się niemieckich sił demokratycznych, które są przecież ważnym, a dla nas szczególnie cennym ogniwem we froncie pokoju. Ale i każdy utwór ukazujący rozwój naszego życia na konkretnych odcinkach, rozwój nowego człowieka w setkach i tysiącach ludzi — sam przez się jest wkładem do sprawy pokoju, bo uczy cenić te dobra, które imperialiści chcieliby zniszczyć, wzmacnia patriotyzm ludowy i wolę pokoju.

Stąd wynika i podstawowa orientacja dla krytyki literackiej. Krytyka powinna stawiać w centrum rozważań znaczenie społeczne utworu w naszej konkretnej sytuacji historycznej i rozwojowej. Utwory, które pomagają w walce o pokój i w walce o budowę podstaw socjalizmu w Polsce mają znaczenie przodujące w rozwoju naszej literatury. Wartość poznawcza utworu literackiego nie może być oceniana ze stanowiska obiektywizmu właściwego krytyce burżuazyjnej. W walce o przyszłość nie istnieje obojętna prawda o człowieku, jego życiu i losie, każda prawda jest namiętna i polityczna. Prawdziwą wartość poznawczą i moralną utworu literackiego poznaje się po sile mobilizującej do walki o pokój i przyszłość.

Obóz pokoju skupia się dokoła Związku Radzieckiego, promotorem obrony pokoju w każdym kraju jest klasa robotnicza. Siły wojny, siły imperializmu we wszystkich dziedzinach ideologii starają się podkopać obóz pokoju, rozproszyć siły klasy robotniczej, zdusić godność narodową, która zawadza dążeniom imperialistycznym.

Ideologicznym wykładnikiem zamachu na suwerenność i godność narodową jest koncepcja kosmopolityzmu w polityce i kulturze. Koncepcja uniwersalnej jakoby kultury, oderwanej od tradycji narodowych, od podłoża ludowego, z którego czerpie twórcza postępowa kultura każdego kraju, najbardziej dogadza imperialistom amerykańskim.

Na rzecz kosmopolityzmu działają u nas zadawnione grzechy naszej polonistyki, która ciągle czapkowała przed kulturą zachodnio - europejską, fałszywie przedstawiając nam renesans polski, Oświecenie i romantyzm polski; działają koncepcje literackie z lat przedwojennych, oderwane od podstawowych dążeń ludu, zrodzone z kryzysu kultury burżuazyjnej w okresie imperialistycznym. Dogodną pożywką dla kosmopolityzmu stają się idealistyczne koncepcje kultury oderwane od podłoża materialnego i od rzeczywistej historii narodu.

Adam Ważyk

Arsenał imperializmu — to nie tylko agresywne ideologie, wyrażające bezpośrednio złowrogą antyhumanistyczną treść ciemnych sił wojny. Koncepcje literackie, których wspólnym mianownikiem jest antyrealizm, wyhodowane w latach przedwojennych, podtrzymywane obecnie sztucznymi zastrzykami idealistycznej spekulacji myślowej, stają w poprzek literaturze postępowej walczącej o pokój i przyszłość. Koncepcje te spełniają rolę dywersyjną, wcale niedwuznaczną. Dla ciemnych sił imperializmu dobre jest wszystko co ciemne— wszystko co zaprzecza prawom rozwoju społecznego, co odwraca człowieka od perspektyw rozwojowych, co wtrąca go w mrok samotnictwa i niewiedzy, co gasi wiarę w człowieka. Dobry jest ekspresjonizm, bo zamiast szukać prawdy w poznaniu rzeczywistości, szuka jej w chaosie doznań i przeżyć egzaltowanej jednostki i podaje tę egzaltację za miarę wszechrzeczy. Dobry jest płaski empiryzm, bo ma pozory rzeczowości, mówi o poznaniu i obserwacji świata, aby przeciwstawić materializmowi dialektycznemu karykaturę poznania. Dobry jest formalizm, bo ignoruje treść i wartość poznawczą sztuki, odbiera jej zdolność do walki o wartości życia. Dobre są wreszcie oderwane, zawieszone w próżni, odizolowane od rozwoju życia dramaty podstaw moralnych, które dzieją się nigdy i nigdzie: mówią przecież o sprawach moralnych, ale mówią o nich niezależnie od tego, w jakim świecie będziemy żyli, czy w świecie sponiewieranym przez bankierów amerykańskich, czy w tym świecie postępu, który w fazie komunizmu chce dać ludziom chleb bezpłatny, i na pewno da go — na pozgonne bankierom.

Znamy literaturę, która ściśle uczestniczy w rozwoju życia swego kraju, która mobilizuje świadomość pracującego narodu, uczy i buduje. — Jest to literatura radziecka. W powieści, w teatrze, w kinematografii radzieckiej znajdziemy rozmaite tematy — historyczne i współczesne. Pisarze radzieccy starają się o to, aby czytelnik mógł głębiej wniknąć w przeszłość, ugruntować wiarę we własne siły, pogłębić swój patriotyzm ludowy i wiarę w postępowe siły innych narodów, ukazują mu procesy rozwojowe nowego człowieka, stawiają przed czytelnikiem wzór człowieka i równocześnie uczą go rozstrzygać zagadnienia socjalistycznej pracy. Ta funkcja poznawcza i wychowawcza literatury radzieckiej opiera się na jasno założonej ideowości sztuki, na marksistowsko - leninowskiej tezie o literaturze, jako kierunkowemu odbiciu rzeczywistości, na ścisłej łączności pisarza z praktyką społeczną. Siła jej oddziaływania społecznego rośnie w miarę jak literatura radziecka coraz lepiej i szerzej opanowuje metodę realizmu socjalistycznego.

Na poprzednim naszym zjeździe odbytym w Szczecinie po raz pierwszy wysunięty został postulat opanowania metody realizmu socjalistycznego i omówione były podstawy tej metody. Nie mamy jeszcze w naszej produkcji powieściowej i scenicznej utworów, które moglibyśmy z tego stanowiska uważać za dojrzałe, ale w ciągu tego czasu znakomita większość literatów polskich zaczęła orientować się w tym kierunku i próbuje opanować metodę realizmu socjalistycznego, bo widzi w tym jedyny słuszny drogowskaz dla pisarza, który chce uczestniczyć w rozwoju naszego życia. Dokonała się wyraźna zmiana orientacji. Złożyło się na to kilka czynników. Po pierwsze — na wszystkich odcinkach życia potwierdziła się zdecydowana dążność do budowy socjalizmu w Polsce. Wysiłek polskiej klasy robotniczej promieniujący na masy pracujące poruszył także pisarzy. Po wtóre — jasno postawiony na zjeździe szczecińskim postulat realizmu socjalistycznego wskazał literatom kierunek poszukiwań. Po trzecie — zdążyliśmy się w ciągu tego czasu bliżej zaznajomić — chociaż jeszcze niedostatecznie — ze sztuką radziecką. Fakt, że tłumaczenia powieści radzieckich osiągnęły u nas ogromne nakłady, że teatr i film radziecki spotyka się z gorącym uznaniem ludowego widza w Polsce, musiał zastanowić każdego uczciwego literata i artystę. W czym tkwi tajemnica masowej atrakcyjności tej sztuki zrodzonej z metody realizmu socjalistycznego? Uczciwy literat i artysta musiał dojść do wniosku, że widocznie ta metoda artystyczna potrafi dać ludowi upragnioną przez niego, budującą i kształcącą prawdę. Równocześnie bliższe zaznajomienie się ze sztuką radziecką rozproszyło uprzedzenia i obawy, czy aby realizm socjalistyczny nie niszczy rozmaitości stylów i form artystycznych. Literaci i artyści mogli się przekonać, że metoda ta pozwala na swobodę form i stylów jeśli służą idei i dobrze jej służą.

Na zjeździe szczecińskim była mowa o warsztacie pisarskim, o konieczności zmiany tego warsztatu, ale mówiliśmy także o tym, że decydujący wpływ na warsztat pisarza wywiera jego postawa wobec rzeczywistości. Od tego czasu postępy demokracji ludowej w Polsce oddziałały na postawę wielu pisarzy. Obecnie możemy śmiało powiedzieć, że istnieją wszelkie obiektywne przesłanki do skruszenia w każdym postępowym pisarzu polskim ostatnich reduty samotnictwa, ostatnich przegródek izolujących go od nurtu życia społecznego. Ale trzeba sobie także powiedzieć, że postawa pisarza nie jest pojęciem biernym, tym pojęciem, za jakie często w środowisku pisarskim uchodzi. Nie można sprowadzać postawy pisarza do postawy życzliwego obserwatora. Bez uczuciowego zainteresowania historycznymi procesami, które rozwijają się w kraju, bez żywego w nich udziału, bez zbliżenia się do praktyki społecznej, bez zacieśnienia więzi z postępowym nurtem życia, jego sumienie pisarskie może się okazać bezpłodne, jego postawa — skamieliną. Jeśli jest poetą, nie potrafi przywołać konkretnego obrazu, jeśli jest powieściopisarzem, nie zdoła ogarnąć człowieka w jego dzisiejszym rozwoju, jeśli jest dramaturgiem, nie odszuka istotnego konfliktu. Jego metoda pisarska nie będzie twórcza. Realizm socjalistyczny nie może się pomyślnie rozwijać bez aktywnej ideowej i uczuciowej postawy pisarza, bez łączności z praktyką społeczną.

Laureaci tegorocznych nagród ZLP
Od lewej: T. Kubiak (poezja), J. Porazińska (literatura dziecięca), M. Kierczyńska (krytyka)

Czy poza metodą realizmu socjalistycznego istnieje jakikolwiek inny system, jakakolwiek teoria, która mogłaby pociągnąć dzisiejszego pisarza Polski Ludowej? Złudzenia, jakoby taki system filozoficzno-estetyczny mógł istnieć, dla znakomitej większości pisarzy polskich i dla całej prawie młodzieży literackiej ostatecznie prysły. Koncepcja personalizmu, która miała być przydatna niektórym literatom w ich pracy dla Polski Ludowej okazała się dosyć przejrzystą osłoną dla tendencji wytwarzanych w kulturze przez burżuazję w okresie imperialistycznym. Od czasu do czasu w „Tygodniku Powszechnym" w rozważaniach literackich Stefana Kisielewskiego zjawiają się argumenty antyrealistyczne, od płaskiego empiryzmu, który widzi świat w karykaturze i bezruchu, do formalizmu, który nie poniża się do patrzenia na świat. Argumenty te nie tworzą i nie mogą tworzyć żadnego systemu myśli. Co ma płaski empiryzm wspólnego z wiarą religijną, co ma z nią wspólnego formalizm, Bóg raczy wiedzieć. Obrona płaskiego empiryzmu, formalizmu, oderwanego dramatu podstaw moralnych jest po prostu obroną estetyki burżuazyjnej z okresu imperializmu. Tym samym celom służą idealistyczne koncepcje kultury. Opóźniają rozwój nowej literatury, na którą czeka człowiek pracujący, działają hamująco na poszczególnych pisarzy. Odrywają ich od postępowego nurtu życia, od uczestnictwa w życiu narodu. Mogą więc wyrządzić wiele szkód: wyjałowić niejednego pisarza. Ogólnego procesu rozwoju świadomości literackiej, tego nieuchronnego procesu — odwrócić nie zdołają.

*

Zastanawiając się nad perspektywami rozwojowymi produkcji literackiej, trzeba zwrócić uwagę na to, że nowa kultura, ludowa, socjalistyczna — nie przyjmuje ani tej hierarchii gatunków ani tych ograniczeń do których doszła kultura burżuazyjna. „Pan Tadeusz" był ostatnim wielkim poematem epickim w literaturze narodów europejskich. Treść życia w świecie kapitalistycznym i okaleczenie zainteresowań artystycznych nie sprzyjało dalszemu rozwojowi epiki poetyckiej. Kultura socjalistyczna postuluje odrodzenie epiki lub poematów o elementach epickich. Należy o tym mówić dlatego, że wśród poetów polskich trwa jeszcze zakorzenione uprzedzenie pochodzące ze schyłkowej estetyki burżuazyjnej, przesąd, jakoby te gatunki twórczości nie mogły się rozwijać.

Na razie poza „Kwiatami polskimi" Juliana Tuwima nie mamy innych poważniejszych prób wielkiego poematu o elementach epickich. Chociaż nie jest to utwór skończony, to jednak zawarte w nim obrazy z lat poprzedzających pierwszą wojnę imperialistyczną pozwalają wysnuć pewne wnioski pouczające dla poetów. Podstawowe zasady realizmu są te same dla poezji co dla prozy, niezależnie od różnicy formy i operowania słowem. Tak samo poeta, jak prozaik, nie osiągnie prawdziwie realistycznego obrazu życia w świecie kapitalistycznym, obrazu zwróconego w przyszłość, jeśli u podstaw jego złoży doświadczenie drobnomieszczaństwa danego okresu. Warunkiem osiągnięcia realistycznego obrazu jest oparcie się na doświadczeniu klasy potępowej i jej przodującej części.

Wielu poetów u nas zastanawia się nad tym, czym ma być liryczna strona realizmu socjalistycznego. Nie traktujemy liryki jako jakiejś odrębnej kategorii estetycznej, ograniczającej zakres treści. Jeśli powiadamy, że powieść i epika powinna dawać obraz formującego się w naszych oczach nowego człowieka, człowieka socjalizmu, to rzecz jasna, że liryką dla nas będzie wyraz uczuć tego człowieka, przede wszystkim jego uczuć związanych z walką i pracą. Jeśli zabraknie w naszej poezji prawdy uczuć powszechnych właściwych ludziom budującym socjalizm, będzie to poezja obca ludowi.

Mówiąc o dzisiejszej poezji polskiej należałoby wymienić długi szereg nazwisk starych i nowych. Będę je wymieniał tylko przykładowo. W okresie, który dzieli nas od zjazdu szczecińskiego, zwłaszcza w ostatnich miesiącach zaznaczył się ogólny postęp w rozwoju świadomości ideowo - politycznej. Świadczą o tym ostatnie wiersze Juliana Tuwima, Antoniego Słonimskiego, wiersze Jarosława Iwaszkiewicza zwrócone przeciwko imperializmowi, jak również niektóre wiersze Miłosza. W poezji Tadeusza Różewicza dokonał się zdecydowany zwrot ideologiczny. Warto zastanowić się nad ostatnimi wierszami Stanisława Piętaka. Ten poeta związany silnymi więzami uczuciowymi z pracującym chłopstwem, nie skażony ideałami posiadaczy wiejskich, nie mógł opanować w swojej poezji stałej nuty zgryzoty, która pochodziła z poczucia sprzeczności między wsią a miastem. Zacieśnienie sojuszu robotniczo - chłopskiego, ruch socjalistycznej rewolucji na wsi przejaśnił ideowo poezję Piętaka, wpłynął również na postawę innych poetów związanych z terenem chłopskim.

Znamienne procesy można zaobserwować w twórczości poetów o wykrystalizowanej postawie ideologicznej. Głębokie zżycie się ideowo-uczuciowe z całokształtem rozwijającej się nowej rzeczywistości, o którą Broniewski walczył w swojej poezji rewolucyjnej w latach naporu reakcji i faszyzmu, doprowadziło do ponownego rozkwitu jego siły artystycznej po przejściowym okresie osłabienia warsztatu poetyckiego. Poezja Mieczysława Jastruna w ostatnich wierszach jak „Stacja Majakowski", „Oda majowa" i innych odzyskuje jasną treść ideowo - polityczną. Był czas, w latach 1946—1948, kiedy jego humanizm tracił konkretne oblicze i groziło mu rozstopienie się w jakimś ogólnikowym, wieloznacznym w gruncie rzeczy burżuazyjnym pseudo - humanizmie. Proces wydobywania się z tego kryzysu jest bezpośrednio związany ze wzmocnieniem postawy ideowej.

Aleksy Surkow (ZSRR)

Dla ilustracji tego ruchu naprzód — podam jeszcze przykład Leona Pasternaka, poety o dawno wyklarowanej postawie rewolucyjnej. W poezji Pasternaka z lat ostatnich idee rewolucyjne często traciły konkretną treść, przybierały jakąś postać kosmiczną, a równocześnie wiersze te pobrzmiewały nutą osobistego rozgoryczenia: w ostatecznym rachunku wszystko to nie było niczym innym jak osłabieniem więzi z rewolucyjnym nurtem klasy robotniczej. W ostatnich wierszach Pasternak wzmocnił w sobie tę więź, wiersze jego zyskują na konkretności i równocześnie poeta ulepsza swój warsztat silniej opierając się na tradycji poetyckiej. Natomiast rozluźnienie więzi z postępowym nurtem życia odbiło się na poezji Stanisława Jerzego Leca. W wierszach z ostatniego okresu, we wspomnieniowych motywach partyzanckich Lec stara się politycznie pogłębić obrazy tej walki ludowej, w której brał udział, ale słownictwo, forma poetycka, jego warsztat mąci te zamiary. W czym tkwi tajemnica tego rozdźwięku, co przeszkadza mu wypłynąć na szeroki nurt liryki rewolucyjnej? Odpowiedź na to dają nam inne wiersze Leca, wiersze z podróży — niepokonane do ostatka sentymenty do starego zmurszałego świata, do kultury burżuazyjnej, do ozdobnych i filigranowych form jej schyłkowych formacji.

Na znacznej części poezji wyrażającej idee postępowe ciążą skłonności do estetyzowania, wpływy poetyki neoromantycznej, rozmaitych filiacji tej poetyki z lat międzywojennych. Widzimy to u Słobodnika, u Aleksandra Rymkiewicza, podobne manieryzmy krytyka literacka wytknęła ostatnio Tadeuszowi Kubiakowi. Na niektórych młodych poetach, którzy przyjęli zasadę ideowości poezji, ciążyły przez długi czas skłonności antyestetyczne — brutalizowanie wyrazu poetyckiego, epatowanie mieszczucha zadziornym językiem i wymyślnymi skojarzeniami, które doprowadzały idee socjalistyczne do karykatury. Przykładem takiego zbłąkania były wiersze Romana Bratnego.

Dyskusja na łamach czasopism literackich wniosła wiele światła do sprawy nowej poezji zaniedbanej przez krytykę. Nie wyczerpała sprawy, bo niepodobna jej wyczerpać w jednej dyskusji. Można prowadzić dalej i pogłębiać dyskusję, opierając się na osiągniętych wynikach, ale nie można udawać, że dyskusji w ogóle nie było i na nowo forsować karykatury idei socjalistycznych jako wybitne osiągnięcia poezji, bronić ich w całej rozciągłości, jak to robi Adam Włodek („Twórczość" nr 4 — 5), albo bronić ich częściowo, jak to robi Andrzej Braun w nr 13 „Nowej Kultury".

Czy mówimy o estetyźmie czy antyestetyźmie, w ostatecznym rachunku rzecz sprowadza się do stopnia dojrzałości ideowej i do więzi z postępowym nurtem życia. Im mniejsza dojrzałość ideowa, im słabsza więź z postępowym nurtem, tym łatwiej te naloty nadgryzają poezję. Tendencje na pozór przeciwstawne mogą współżyć i grać ze sobą utrzymując stan niedojrzałości ideowej. Manifestacją takiej poezji są „Obrączki ślubne" Gałczyńskiego. W tych wierszach poeta rzeczywiście deklaruje się po stronie demokracji ludowej, po stronie socjalizmu, ale na dowód — rozkłada nam przed oczami zdemolowany kramik mieszczańskiego inteligenta. Czego tam nie ma? Jest lamus szlacheckiego baroku z antycznymi bogami, pstrokacizna cudzoziemskich słówek, wyprzedaż całej neoromantycznej starzyzny poetyckiej, cygańskie antyfilisterskie facecje, a spoza tych facecji naraz wyłania się z wierszy Gałczyńskiego filisterski kącik z koteczkiem i firankami. Wszystko to prosi się o zestawienie ze znakomitym wierszem Majakowskiego:

Czerwona ramka
Marks na ścianie.
Kot się ociera o Izwiestia stare
A pod sufitem
Piszczy nieustannie
Rozwydrzony kanarek

Janina Porazińska

Melania Kierczyńska

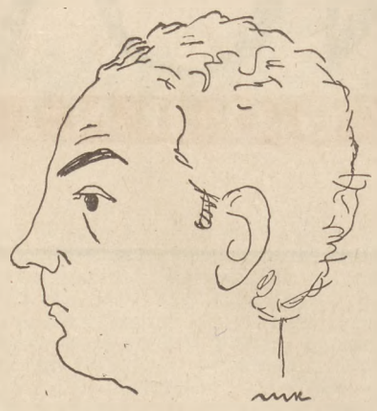

Tadeusz Kubiak

Słuszniej by było gdyby Gałczyński ukręcił łeb temu rozwydrzonemu kanarkowi, który zagnieździł się w jego wierszach. Oczyszczenie poezji ze smaczków i pięknostek burżuazyjnej poetyki z czasów imperializmu, ze skłonności formalistycznych i tradycji zepsutego baroku staje się pilnym zadaniem poetów i krytyków literackich. Nie można tego dokonać bez podniesienia świadomości ideowo-politycznej. W pracy literackiej dojrzałość ideowo-polityczna jeśli nie decyduje o wszystkim, to jednak decyduje o rzeczy zasadniczej, o przydatności społecznej utworu. Tylko poezja jasnych, klarownych idei może dotrzeć do ludu i uczestniczyć w jego pracy.

Czy znaczy to, że nie powinniśmy zwracać uwagi na jakość artystyczną tej poezji, na jakość produkcji dawanej masom pracującym? Mamy w ostatnich czasach wiele utworów politycznie słusznych, wyrażających idee demokracji ludowej i socjalizmu — nie wszystkie możemy uważać za wybitne. Niektóre wiersze są literacko ubogie, werbalistyczne, ograniczają się do retoryki, do deklaracji, nie mogą przywołać żywszego, konkretnego, sugestywnego obrazu czy trafnego uogólnienia. Wtedy też wersyfikacja staje się mechanicznym nawykiem, wbijaniem treści w techniczną formułkę bez uzasadnienia artystycznego.

Forma poetycka nie jest kwestią estetycznego kanonu. Tak mogą sądzić tylko formaliści. Forma jest kwestią przystosowania wyrazu poetyckiego do treści — i w tym sensie jest kwestią wyboru. A wybór odbywa się zawsze w zależności od tradycji narodowej, co nie oznacza wcale, abyśmy mieli wpadać w niewolniczą zależność od tradycji, w jakieś tradycjonalistyczne ograniczenie naszych możliwości. Wciągnięcie się w nową treść życia powinno uchronić poetę przed hamującymi czynnikami tradycji, ale nie można tworzyć nowych wartości kultury ludowej i socjalistycznej bez oparcia się na kulturze dawnej, bez przyswojenia sobie, krytycznego przyswojenia — dobrych tradycji kultury narodowej.

Poeta musi znaleźć dla nowej treści odpowiednią formę, która przemówi do narodu. Zarówno zaniedbanie formy poetyckiej u jednych, jak i brak spoistości treści, brak dojrzałego wyrazu poetyckiego u innych (dotyczy to przede wszystkim pracy młodych poetów) pochodzi w dużej mierze z niewłaściwego ustosunkowania się do tradycji. Nie jest to tylko winą poetów. Sprawa stosunku do tradycji nie była stawiana u nas jasno i konkretnie przez krytyków i badaczy literatury. Burżuazyjna polonistyka konserwowała adorację dla Młodej Polski, neoromantyzmu, symbolizmu, dla schyłkowej poezji okresu imperialistycznego, konserwowała kult Kasprowicza i Wyspiańskiego. Nie tutaj szukamy dobrych tradycji naszej poezji. Nie szukamy jej także w Asnyku. Poza wierszami ludowymi Konopnickiej okres ten dał nam zbyt wątłe dziedzictwo poetyckie, aby mogły się kształcić na nim młode siły. Dla Polski Ludowej zawsze będzie drogą poezja, która wyrażała walkę proletariatu, są to wiersze i pieśni przypieczętowane krwią najlepszych przedstawicieli klasy robotniczej, którzy oddali życie za nasz dzień dzisiejszy. Byłoby przecież zubożeniem poezji dzisiejszej i jutrzejszej, gdybyśmy nie opierali jej na szerokiej bazie postępowego dziedzictwa polskiego Renesansu, realistycznych osiągnięć XVII wieku, przede wszystkim zaś na poezji Oświecenia i bujnym rozkwicie polskiego romantyzmu. Dawna poezja pochodziła z innego doświadczenia społecznego niż nasza, ale zawiera w sobie cenne zasoby postępowego humanistycznego dziedzictwa. Przy krytycznym jej ujęciu dzisiejszy poeta znajdzie w niej również wskazówki do pracy nad tworzywem językowym, nad uściśleniem wyrazu poetyckiego.

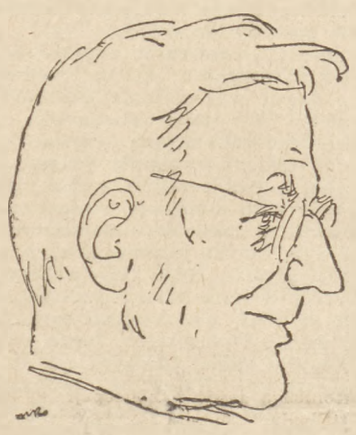

Aleksy Surkow (ZSRR)

Lubomir Dmyterko (ZSRR — Ukraina)

Jorge Amado (Brazylia)

Zatrzymałem się dłużej nad naszą poezją dlatego, że na poprzednim zjeździe mało mówiliśmy o niej i że krytyka literacka przez długi czas zaniedbywała poezję. Tak samo jak do poezji, nowe siły napłynęły i do prozy. Pierwsze próby poruszenia współczesnych tematów, próby przedstawienia dzisiejszych procesów życia pochodziły z początku od debiutantów albo literatów stawiających pierwsze kroki. Może brakło im doświadczenia literackiego, ale za to wykazali inicjatywę dając przykład innym. Obecnie mnożą się oznaki podejmowania tych tematów nie tylko przez debiutantów. Świadczą o tym nowele Wygodzkiego, Borowskiego, rozpoczęte powieści Andrzejewskiego, Dygata i innych.

Do wybitniejszych pozycji publicystyczno-literackich, służących sprawie pokoju należą „Spotkania włoskie" Mariana Brandysa oraz „Opowiadania z książek i gazet" Tadeusza Borowskiego. Książka Borowskiego, oskarżająca imperializm i jego zwyrodniałą kulturę, ma niewątpliwie wadę zbyt wyszukanej argumentacji, zbytniego wysmakowania tematu, ale stanowi ważny etap w rozwoju ideowo-politycznym młodego pisarza i pozwala się spodziewać, że Borowski z taką samą pasją potrafi chwytać postępowe procesy życia w obozie pokoju.

Szkice literackie Konwickiego „Przy budowie" ukazują nowy styl pracy na odcinku budownictwa. Szkice literackie Zalewskiego „Traktory zdobędą wiosnę" na konkretnym materiale pokazały zagadnienia przebudowy gospodarczej wsi polskiej i były jednym z tych utworów literackich, które znalazły bezpośrednie echo na wsi w zainteresowanym środowisku. Z natury rzeczy szkic literacki nie daje rozwiniętego artystycznie obrazu człowieka. Obrazu takiego oczekujemy od powieściopisarzy i dramaturgów.

Wielotomowa powieść Gałaja, jeszcze nieukończona, obrazuje zmiany gospodarcze, walkę klasową, rozwojowe procesy świadomości na wsi polskiej. Na tle klasowego rozwarstwienia wsi powieść Olchy „Most nad urwiskiem" ukazuje awans społeczny chłopki pracującej — w pierwszych latach demokracji ludowej. Autorom nie udaje się jeszcze ująć materiału w artystycznie skomponowany obraz, powieści te nieraz grzeszą rozwlekłością ale wykazują słuszny kierunek obserwacji.

Piętno schematycznego traktowania konfliktu i ludzi w sztuce Dybowskiego „Zapora", schematyczny krój postaci w nowelach Kowalewskiego mówi o głównej trudności z jakimi borykać muszą się pisarze zdążający do realizmu socjalistycznego. Potrzebna jest gruntowna znajomość środowiska, materiału ludzkiego. Konieczne jest i to aby pisarz przestał widzieć w robotniku z góry daną formułkę i tezę polityczną, a zaczął w nim widzieć człowieka. Trudności te w dużej mierze pokonał Wilczek w powieści „Nr 16 produkuje".

W ostatnich miesiącach powstało wiele sztuk teatralnych na tematy współczesne. Przeważnie znamy je z urywków. Jest również kilka scenariuszy filmowych. Utwory te zaczynają docierać do kluczowych zagadnień i ujmować je w sposób konkretny. Kluczowe sprawy wsi polskiej porusza scenariusz filmowy pod tytułem „Gromada". Sztuki Pasternaka i Rojewskiego traktują o walce racjonalizatorskiej w przemyśle. Sztuka Gruszczyńskiego stawia sprawę braku czujności, pojednawczego stosunku kierownika fabryki do szkodnictwa gospodarczego. Sprawa ta jest potraktowana jako jedno z zagadnień wrastania starej inteligencji w nową rzeczywistość. Ile razy to zagadnienie zjawia się w naszych utworach literackich, autorom grozi rozproszenie się w ogólnikowej inteligenckiej polemice na temat nowego życia. Zdając sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa Dygat i Kott w sztuce „Nowy Świętoszek" próbowali na wszelki wypadek okupić brak konkretnego materiału obserwacyjnego konwencjonalistycznym założeniem, przyjmując fabularny schemat molierowskiej komedii.

Na podstawie obfitego materiału sztuk teatralnych zgłoszonych do Ministerstwa Kultury i Sztuki, niedawno w „Nowej Kulturze" Jerzy Pański wskazał przykładowo na niebezpieczeństwa wynikające z powierzchownego traktowania tematu. Uwagi te można odnieść również do prozy powieściowej i do scenariuszy filmowych. Często więc powraca schemat szabrownika występującego obecnie z reguły w roli agenta obcego wywiadu, powraca uproszczony i często jednakowy schemat konfliktu opartego o problem techniczny, a niepopartego dostateczną znajomością danej gałęzi produkcji. Najbardziej jednak niepokoi — jak to spostrzega Pański — przebłyskujące tu i ówdzie przeświadczenie, że moralność socjalistyczna wymaga tłumienia zwykłych zdrowych odruchów ludzkich, że współczucie dla cierpienia jest słabością i burżuazyjną filantropią, że teoretyczne założenia socjalistycznego systemu moralnego prowadzą do innych wyników niż proste umiłowanie człowieka pracy.

Chciałbym do tego dodać, że to opaczne wyobrażenie o moralności socjalistycznej niektórzy autorzy usiłują skonkretyzować w ten sposób, że dopatrują się konfliktu między pracą człowieka a jego życiem rodzinnym. Tam zebranie produkcyjne — a tutaj żona ciągnie do domu. Tam prelekcja a tutaj chore dziecko... Wiadomo, że nowe formy życia gospodarczego i społecznego pochłaniają wiele czasu, ale obowiązki przyjmowane przez przodowników pracy, racjonalizatorów, aktywistów związkowych i partyjnych są nieodzowną częścią awansu społecznego. Zestawienia tych obowiązków z rozmaitymi wypadkami życia rodzinnego nie mogą stanowić centralnego konfliktu sztuki socjalistycznej.

Te pomyłki i nieporozumienia sygnalizują niski poziom ideowy. Dobra znajomość danego odcinka życia, danego środowiska jest dla rozwoju literatury socjalistycznej warunkiem koniecznym, ale wcale nie wystarczającym. Równie koniecznym warunkiem jest podniesienie świadomości ideowej literatów na odpowiedni szczebel, z którego otrzymają właściwą perspektywę na procesy rozwojowe życia, tak aby mogli uchwycić rzeczywiste konflikty i stosować słuszną miarę moralności socjalistycznej.

Odczytywanie konfliktu między nowymi a starymi formami świadomości dzisiejszego człowieka określa postępową tendencję powieściopisarstwa i dramaturgii wchodzącej w problematykę współczesnego życia. Walka między nowymi a starymi formami świadomości odbywa się nie tylko w kopalni, przy warsztacie, przy traktorze. Klasa robotnicza, jak to określił prezydent Bierut, promieniuje na wszystkich ludzi pracy. Wszystkie środowiska pracujące stają się terenem tej walki. Wiemy doskonale, jak żywa walka między starymi a nowymi formami świadomości toczy się w samych literatach. Adolf Rudnicki w opowiadaniu „Pałeczka" wprowadził środowisko literackie. O potrzebie nowej świadomości pisarskiej, o potrzebie nowej literatury dowiadujemy się tu z paru deklaracji, gdy tymczasem całe opowiadanie przedstawia tylko obraz zastoju i mówi nam wyłącznie o procesach gnilnych. Czy w ciągu pięciu lat rzeczywiście nic się nie zmieniło w środowisku literackim, nic się nie dokonało? Czy żyliśmy tylko deklaracjami? Na tle wszystkiego o czym mówimy, na tle wysiłków pisarzy, wysiłków ułomnych, niekonsekwentnych, nie zawsze poradnych, ale przecież przeważnie skierowanych we właściwym kierunku rozwojowym, widać jak nieprawdziwy jest ten ponury obraz środowiska literackiego wysnuty przez Adolfa Rudnickiego. Nie znaczy to wcale, żeby autor okazał się zbyt surowym krytykiem i sędzią świata literackiego. Autor „Pałeczki" nie jest ani krytykiem ani sędzią, ale ofiarą swoich jałowych, oderwanych, ekspresjonistycznych poglądów na pisarstwo, pisarza i sztukę pisania.

Znacznie mniejsza część produkcji literackiej niż w latach poprzednich, tkwi jeszcze w naturalistycznej metodzie ujmowania życia. Metoda ta odpowiada drobnomieszczańskiej miarce stosowanej do człowieka i jego świadomości w schyłkowym okresie kultury burżuazyjnej. W warunkach demokracji ludowej można posługując się tą metodą wchłonąć pewien zasób optymizmu i wiary w przyszłość, ale nie sposób dotrzeć do kluczowych zagadnień rozwoju życia. Dopóki w życiu Polski Ludowej nie narosły elementy socjalistyczne, dopóki droga do socjalizmu nie była jasno wytknięta, niedostatki tej metody nie ukazywały się z taką oczywistością, jak obecnie. Wypada tu wymienić powieść Żukrowskiego „Ręka ojca" wydaną półtora roku temu oraz powieść Boguszewskiej „Żelazna kurtyna". Dla naturalistycznego pisarstwa zawsze najwdzięczniejszym terenem obserwacji wydaje się drobnomieszczaństwo płynące na bocznej fali ruchu historycznego. W drobnomieszczaństwie następuje proces polaryzacji, pewne elementy wciągają się w życie demokracji ludowej, inne wypadają poza nawias. Boguszewska potrafi zaobserwować ten proces polaryzacji, ale rozbudowany aparat psychologiczny naturalizmu daje mało istotne wyniki poznawcze. Ograniczając pole widzenia do drobnomieszczaństwa, literaci przedłużają sobie złudzenie, że można budować prawdziwą wiedzę o życiu absolutyzując rysy charakteru ludzkiego. Anna Kowalska, autorka „Uliczki klasztornej" buduje sobie taką złudną wiedzę w całkowitym oderwaniu od kluczowych zagadnień dzisiejszego życia. Wydzielona przez autorkę grupa drobnomieszczańskich osiedleńców — to galeria oderwanych studiów portretowych. Rozbudowa warsztatu pisarskiego w tym kierunku nie daje żadnej wiedzy o rozwoju życia i człowieka w Polsce Ludowej.

Metoda realizmu socjalistycznego w odniesieniu do wszystkich okresów i chwil historycznych wymaga od pisarza, aby dał obraz zwrócony w przyszłość, ukazujący zaczątki i rozwój tego co wschodzi, w walce z tym, co obumiera. W tematyce okupacyjnej szukamy korzeni dzisiejszego życia. Nowe utwory o czasach okupacji nie wnoszą już tej bezładnej gmatwaniny przeżyć, jaka przeważała w produkcji pierwszych lat po wyzwoleniu. W opowiadaniach Czeszki „Początek edukacji" w mrokach nocy okupacyjnej świta już perspektywa przyszłości ale nie ukazują się jeszcze z dostateczną wyrazistością korzenie dzisiejszej Polski Ludowej, korzenie tej walki, która toczy się dzisiaj między Polską Ludową a rozbitkami dawnych klas panujących, działającymi w interesie imperializmu. Nie spełniają tego zadania wspomnieniowe nowele Wygodzkiego „W kotlinie". W „Filiponce" Narbutta obraz walki o przyszłe oblicze Polski redukuje się do awanturniczej przygody. Sarkastyczne nowele Zielińskiego „Dno miski" i „Przed świtem" ograniczają się do powierzchownej obserwacji, natomiast wydaje się że w ostatnim swoim utworze „Ostatnie ognie" Zieliński dociera do klasowej i politycznej prawidłowości losów i działań ludzkich.

To że pisarze nie mogą uchwycić centralnego konfliktu, konfliktu między klasą robotniczą a burżuazją, że nie mogą artystycznie skonkretyzować tego konfliktu — ciąży nadal na prozie powieściowej dotyczącej czasów przedwojennych. Więc i tutaj brak realistycznego obrazu rozwoju życia, i tutaj nie widać korzeni dzisiejszej rzeczywistości. Tadeusz Breza przedstawia w swojej powieści przygody miłosne i konszachty ludzi, którzy zajmują się polityką w systemie sanacyjno-faszystowskim. Stąd do realistycznego obrazu tego systemu jeszcze daleko. Kazimierz Brandys w cyklu powieściowym obejmującym szeroki obraz od obszarnictwa i burżuazji do proletariatu gubi się w wieloznacznych koncepcjach losu ludzkiego, bo nie ocenia postępowania ludzkiego ze stanowiska walki klasowej i interesów klasy postępowej. Juliusz Żuławski wprowadza w powieści „Skrzydło Dedala" postać pisarza, który z pozycji sympatyka ruchu rewolucyjnego przed wojną wrasta w życie Polski Ludowej. Jest to porachunek inteligenta, pisany ze szczerym przekonaniem, ale bez konkretnych realistycznych konfliktów. Konfliktów takich nie można znaleźć w powieści Flory Bieńkowskiej, która na tle naturalistycznych scenek z życia inteligencji opowiada o rozchodzeniu się poglądów politycznych.

Wszystkie te utwory należą do postępowego nurtu naszej literatury, ale niemożność uchwycenia centralnego konfliktu, brak konkretnego materiału, brak opanowania tego materiału, to wszystko utrudnia postępy metody realistycznej. Nie będzie wcale paradoksem, jeżeli powiemy, że właściwe opanowanie metody realistycznej w tematach dotyczących przeszłości związane jest z rozwojem literatury o tematyce współczesnej. Tutaj przecież z całą oczywistością występuje potrzeba uchwycenia centralnego konfliktu między rzeczą starą a nową, konkretnego ujęcia konfliktu, opanowania konkretnego materiału. Złudzenia pisarzy, że można bez tego obejść się w traktowaniu tematów nie współczesnych, rozwieją się w miarę, jak tematyka współczesna nabierze pełniejszego artystycznego wyrazu. Wtedy pisarze zamiast ograniczyć się do ciasnego kręgu wspomnień osobistych sięgną do dokumentów. Wspomnienia osobiste mogą stać się cennym materiałem, jeżeli ukazują rozwój świadomości rewolucyjnej w ogniu walki klasowej, jak w książce Lucjana Rudnickiego — „Stare i nowe".

Do lat przedwojennych odnosi się również powieść Eugeniusza Paukszty o hutnikach śląskich pod tytułem „Trzecia zmiana". Czas dziania się tej powieści nie łatwo jest czytelnikowi ustalić. Już to samo określa antyrealistyczną tendencję autora. Paukszta zebrał realia i pewne cechy obyczajowe hutników śląskich. Usunął to co najważniejsze. Daremnie byśmy szukali tu obrazu walki klasowej, form organizacyjnych życia robotniczego. Daremnie byśmy szukali aparatu ucisku klasowego. Ani śladu rządów kapitalistycznych, ani śladu świadomości klasowej wśród hutników. Autor przypisuje robotnikom najwstecz niejsze, niewolnicze formy świadomości: biologiczne przywiązanie do miejsca ciężkiej pracy, fatalistyczne uznanie swojej doli. Jako powszechna forma świadomości występuje mistyczna wiara w prognozy katastrofy na hucie. Co więcej, w chwili katastrofy ci robotnicy Paukszty nie potrafią zdobyć się nawet na praktyczną orientację zawodową. Góruje nad nimi ktoś obcy, inżynier, z innej klasy społecznej, on to dochodzi do pełni człowieczeństwa i urasta na kierownika, który potrafi przywiązać do siebie ślepe stado robotnicze. Tak to robotnicy odarci ze świadomości klasowej mają pod przewodem tego zwierzchnika pracować na rzecz magnatów ciężkiego przemysłu. Wstydliwe zatarcie okresu historycznego, zatajenie rządów kapitalistycznych — służy autorowi do przemycenia swojej korporacyjnej wizji. To dzikie kłamstwo o polskiej klasie robotniczej Paukszta napisał w 1948 roku, w tym czasie, kiedy hutnicy polscy czuli się już w całej pełni gospodarzami warsztatów, kiedy na sto dziesięć tysięcy hutników sześćdziesiąt tysięcy brało udział w socjalistycznym współzawodnictwie pracy. I o tej właśnie powieści Jan Dobraczyński pisze: „Paukszta ma ambicję być pionierem nowego życia... Nie tworzy o człowieku z huty romantycznej bujdy, nie mówi jak trzeba pisać o pełnym pracy życiu robotnika, po prostu o nim pisze." Jan Dobraczyński wyg'asza te sądy literackie w 1949, w rok po czynie kongresowym hutników, w czasie kiedy brygady hutników rozwijają socjalistyczne nowatorstwo pracy. Czy to ma być właśnie romantyczna bujda? Prawda o prowadzącej naród klasie robotniczej dociera w tej chwili do świadomości prawie wszystkich literatów, tylko że tej prawdy nie chce widzieć „pionier nowego życia" Eugeniusz Paukszta i zachwalający go Jan Dobraczyński.

Poważny dorobek literacki stanowią powieści monograficzne, które przywiązują dzisiejszego czytelnika do postępowych i rewolucyjnych tradycji polskich. Do cyklu rozpoczętego „Ściegiennym" Adolfa Sowińskiego przybyła powieść Leona Przemskiego o Henryku Kamieńskim. Autor potrafił zorientować czytelnika we wszystkich odcieniach demokratycznych ideologii z okresu między powstaniem listopadowym a powstaniem krakowskim. Na tym odcinku literat wyprzedził historyków. Szczególnie ważne zadanie społeczne podjęli autorzy powieści monograficznych o Mickiewiczu i Słowackim. Praca ich była w dużej mierze zależna nie tylko od dokumentów i badań historycznych, ale i od stanu badań literackich. Bez przeorania gruntu przez marksistowską wiedzę o literaturze — beletrystyczne ujęcie takich postaci jak Mickiewicz i Słowacki, czy znakomitych postaci polskich z czasów Oświecenia natrafia na ogromne trudności.

Obszerna powieść monograficzna Jastruna o tyle spełniła cel, że potrafiła przywiązać czytelnika do postaci Mickiewicza. Najmniej powiodło się Jastrunowi w pierwszej części książki. Nie odnalazł rzeczywistych społeczno-politycznych źródeł romantyzmu Mickiewicza, nie uwydatnił narodowego oblicza jego romantyzmu, przypisując zbyt wielką rolę romantyczności pojmowanej jako konwencja obyczajowo-artystyczna.

Paweł Hertz w portrecie Słowackiego, stawiając sobie skromne cele unikał odda-

(Dokończenie na str. 9)

Rysunki Marka Rudnickiego.

Jan Drda (Czechosłowacja)

Zołtan Zelk (Węgry)

Bodo Uhse (Niemcy)

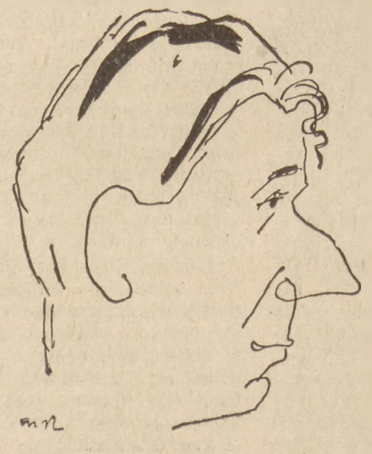

Dymitru Cerbeu (Rumunia)

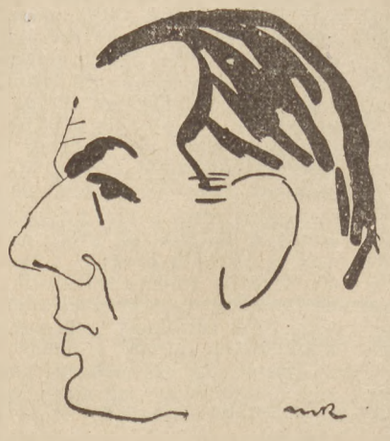

Vladimir Pozner (Francja)

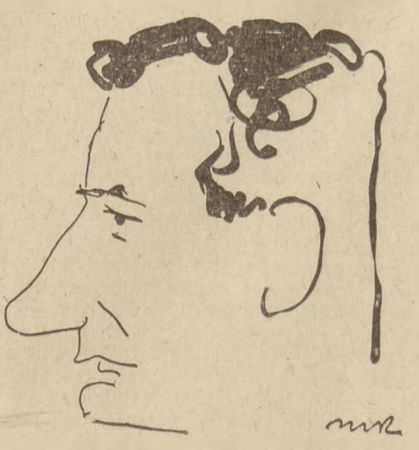

Samuel Sylen (USA)

MARIA ŻMIGRODZKA

Początek powieści*)

INTRYGA I MIŁOŚĆ

„Gdzie otworzyć, tam się miele
Jedną życia wciąż zawiłość:
Jak i kiedy polskie ciele
Swojskiej gęsi zyska miłość..."
(Boy — „Naszym hymenografomanom")

Gdyby nie poświadczona powagą stu lat filologii polskiej teza, że Orzeszkowa nie czytywała na ogół Boya, można by przypuścić, iż wiele z jej wczesnych powieści powstało w kręgu literackiego oddziaływania „Słówek". Młoda Orzeszkowa bowiem w jednym z swych pierwszych utworów pt. „Początek powieści", drukowanych w 1866 roku, podjęła programową walkę z tradycyjnym schematem romansowym, który w przeszło 40 lat później tak zirytował piosenkarza Zielonego Balonika.

Powody protestu obojga pisarzy nie były nawet tak bardzo różne, mimo, iż szereg autorytetów filologicznych zgodzi się, że między Boyem a Orzeszkową nie istniały zasadniczo uderzające pokrewieństwa „struktury psychicznej" i „ideałów życiowych". W obu wypadkach obrzydzenie do różanej wody zacnej powieści polskiej konserwy było przejawem walki o wielką literaturę burżuazji. Orzeszkowa miała ambicje torowania jej dróg. Boy pragnął przeciwdziałać wzrastającemu obskurantyzmowi endeckiej kołtunerii, nawiązywaniem do wielkich tradycji klasyków mieszczańskiej literatury francuskiej.

Wróćmy jednak do roku 1866, gdy młoda debiutantka, autorka jedynej drukowanej dotychczas drobnostki literackiej — „Obrazka z lat głodowych" — wystąpiła po raz drugi już dosyć zaczepnie, wysuwając ostre zarzuty pod adresem zarówno dotychczasowej powieści, jak i kręgu jej odbiorców.

„Obrazek z lat głodowych", historia klęski poddańczej rodziny chłopskiej u schyłku lat pięćdziesiątych, żądał stanowczego rozszerzenia społecznego zasięgu tematyki powieściowej. „Początek powieści" starał się przezwyciężyć uświęcony schemat sytuacyjny 19-towiecznej powieści polskiej jako zbyt wąski, a nawet anachroniczny wobec nowych zadań, jakie stanęły przed literaturą, a zwłaszcza przed powieścią. „Życie człowieka — to treść do powieści... Zejście się mężczyzny z kobietą bywało dotąd ową chwilą, dostarczającą zwykłej do powieści osnowy. Poprzez różne zapory i trudy, z tysiącem walk i boleści, powieściopisarz przeprowadzał młodą parę do ołtarza, niekiedy jedno z dwojga kochanków składał w mogile. Dziś powieści osnute jedynie na owych tragicznych wędrówkach par ku obrączkom ślubnym spowszedniały, a nawet mało mogą przedstawiać prawdy..."

Schemat intrygi powieściowej jest jednym z najistotniejszych elementów dla ideologicznej interpretacji zjawiska literackiego. Wymienione przez Orzeszkową dwa zakończenia: „mogiła" lub „ołtarz" wyznaczały dwa dominujące warianty 19-wiecznej powieści polskiej. Zakończona mogiłą, charakterystyczna dla „tragiki romantycznej", przeważnie postępowa, pełna protestu opowieść o sercach złamanych kastowymi przesądami i nieczułością świata, zdaniem pisarki „mało może przedstawiać prawdy". Optymizm ideologa burżuazyjnego postępu każe przyjąć założenie, że podstawowe warunki, wyznaczające życie ludzkie, uległy zbawiennemu przekształceniu: „Dziś nie ma już okrutnych ojców, zniewalających córki do zaślubienia bogaczy; klasztory o żelaznych bramach nie zamykają się za ofiarami rodzicielskiego despotyzmu, dziś bohaterki silniejsze jakoś mają piersi i nie tak łatwo jak dawniej umierają z suchot, a bohaterowie nie drżą przed rozkazami ojców i sami dla siebie wybierają towarzyszki życia".

Wariant drugi — „ołtarz" — krzewił się w reakcyjnej powieści szlacheckiej. Wieńczył cnoty przodków, radował wizją cichego szczęścia rodzinnego w czterech ścianach dworku, krzepił serca nadzieją sarmackiej tężyzny przyszłych pokoleń. Nie był to wariant właściwy jedynie tej grupie ideologicznej polskich romansów. Zna go wiele etapów rozwoju powieści europejskiej; na każdym zresztą posiada on inną wartość ideową. Jedno z ciekawszych i bardziej typowych jego wcieleń zanotował Engels:

„Współczesne zawieranie małżeństw w sferach burżuazji bywa dwojakiego rodzaju. W krajach katolickich rodzice jak dawniej wybierają odpowiednią żonę dla burżuazyjnego młodzieńca, a skutkiem tego jest naturalnie jak najpełniejszy rozkwit tkwiącej w monogamii sprzeczności, wybujały heteryzm ze strony męża, wybujała zdrada małżeńska ze strony żony... W krajach protestanckich natomiast burżuazyjny młodzieniec ma zazwyczaj możność mniej lub więcej swobodnie wybrać sobie żonę wewnątrz swej klasy, tak, że pewien stopień miłości może tu być podstawą małżeństwa, a dla przyzwoitości przyjmuje się go zawsze w założeniu, jak tego wymaga obłuda protestancka... Ponieważ jednak ludzie przy wszystkich rodzajach małżeństwa pozostają tym, czym byli przed pobraniem się, a obywatele krajów protestanckich są przeważnie filistrami, więc ta protestancka monogamia prowadzi na ogół w najlepszym razie do śmiertelnych nudów małżeńskiego współżycia, którym się nadaje miano „szczęścia rodzinnego". Najlepszym zwierciadłem tych dwóch metod zawierania małżeństw jest powieść francuska — dla maniery katolickiej, niemiecka — dla protestanckiej. W obydwu „zdobywa on": w niemieckiej młodzieniec dziewczynę, we francuskiej mąż rogi. Niezawsze jest pewne, który z obydwu na tym gorzej wychodzi. Dlatego właśnie francuskiego burżuja przejmuje taką samą zgrozą nuda niemieckich powieści, jak niemieckiego filistra — „niemoralność" francuskich".

Schemat engelsowski, szkicowany na podstawie obserwacji stosunków obyczajowych bardziej rozwiniętych formacji społecznych, nie da się zastosować we wszystkich swych szczegółach do sytuacji Polski, gdzie obłuda moralna kompromisowej konserwy ziemiańskiej sprawiła, że po-

*) Fragment pracy o wczesnych powieściach Orzeszkowej, przygotowywanej na zlecenie Instytutu Badań Literackich.

Eliza Orzeszkowa z Marynią Siemaszkówną (Obrębską)
Z fototeki Gabinetu Filologicznego Korbutianum T.W.W.

wieść 19-wieczna skrępowana była rygorami, jakie pętały powieść typu „protestanckiego". Ton płaskiej apologii rzeczywistości, marazmu umysłowego i ciasnoty horyzontów, jaki niosła ze sobą powieść szlachecka, w której akordem najwyższego patosu narodowego było „Veni Creator", został też najpierw zaatakowany przez ideologów wzrastającej w siłę burżuazji. Schemat „ołtarza" hołdował tradycji, szerzył wiarę w świętość i niewzruszoność odwiecznych instytucji społecznych. Orzeszkowa, stwierdzając, że dopiero długa droga „od ołtarza do mogiły"— to „życie właśnie najciekawsze i najbardziej pouczające, właściwa treść powieści i dramatu", wskazywała tym samym programowo jako przedmiot zainteresowania pisarskiego funkcjonowanie instytucji rodziny, wzywała do tępienia wszystkiego, co w niej było szkodliwym konwenansem, przeżytkiem przeciwnym „naturze" i interesom człowieka.

BITWA O POWIEŚĆ

Wystąpienia Orzeszkowej, aczkolwiek wcześniejsze od szeregu wystąpień programowych „młodych" czy w pewnych wypadkach im współczesne, wywodzą się z tego samego nurtu walki o kulturę kapitalizmu, podjętej przez ideologów wzrastającej w siły burżuazji polskiej. Orzeszkowa, dotąd ograniczona doświadczeniami własnej klasy, zrozumiała konieczność jej mieszczańskiej edukacji. Stanęła olśniona wobec wspaniałych możliwości kultury mieszczańskiej, zachłysnęła się zachwytem dla potęgi rozumu i wiedzy ludzkiej i wysunęła hasło walki o literaturę godną XIX wieku.

Wiek XIX zaczął się bowiem dla Polski, a w każdym razie dla jej literatury, dopiero w latach 60-tych. Jego tarczą herbową w dziedzinie literackiej była powieść. Sformułowanie postulatów pod adresem powieściopisarza było drugim z kolei etapem rozwoju teoretyczno-literackiej myśli mieszczańskiej. Pozytywiści warszawscy na pierwszych liniach bojowych podjęli walkę z estetyką idealistyczną, tępiąc bez litości i bez skrupułów „wierszopisarstwo", postulując literackie równouprawnienie, a nawet absolutystyczne panowanie powieści.

Estetyka idealizmu, podobnie jak poetyckie kwilenia o „róży, makolągwie i gilu", miały w Polsce lat 60-tych, jak zresztą w ogromnej mierze i wcześniej, wyraźną funkcję ideologiczną. Była to wygodna, obleczona powagą prawd absolutnych i bezinteresownego kultu piękna, forma protestu przeciw potężniejącemu kapitalizmowi. Pozytywizm, walcząc z „pleśnią społeczną i literacką", walczył przeciw boczeniu się na historię. Powieść miała być formą aprobaty nowej formacji ekonomiczno-społecznej, miała być heroldem panowania nowej klasy, miała nade wszystko tępić przeżytki starego świata. W walce z reliktami feudalizmu miała się wyczerpywać jej funkcja krytyczna i satyryczna.

Pozytywistyczna teoria powieści kształtować się zaczęła u wstępu wykrystalizowania odrębności i bojowego programu „młodego" obozu. Podobnie jak walka z płaczliwą poezją Lilian i Zbigniewów była podstawą i ostatecznym kryterium zróżnicowania ideologicznego społeczno - literackiej publicystyki tego czasu, tak i program „powieściowy" wyprzedził znacznie sformułowanie konkretnego programu obozu „młodych" w innych dziedzinach życia społecznego. Dyskusje literackie odgrywały więc rolę potyczek awangardy mieszczańskiego postępu. Stąd zarówno ich rozmach bojowy i zaciętość, jak i w dużej mierze szerokość roli wychowawczej, jaką przypisywali pozytywiści literaturze, a zwłaszcza powieści; stąd też doniosłość i reprezentatywność tych starć.

Do najbardziej autorytatywnych i najszerzej udokumentowanych wypowiedzi należał głos Feliksa Bogackiego, jednego z najbardziej bojowych współpracowników „Przeglądu Tygodniowego" w heroicznym okresie jego walki ze „starą prasą". Wypowiedź Bogackiego zmierzała do określenia funkcji ideologicznej i zadań powieści i przynosiła zasadniczą krytykę dotychczasowych stadiów rozwoju powieści 19-wiecznej. Cechowało ją przekonanie, że nowa epoka musi zdobyć się na wypracowanie swoistych form literatury powieściowej.

Utylitaryzm, tendencyjność, dążenie do uchwycenia typowych zjawisk życia — te postulaty Bogackiego w pełni wyznaczają kierunek, w jakim pójdzie dalszy rozwój pozytywistycznej teorii powieści. Bogacki podjął także zasadniczą rozprawę z dotychczasowymi formami powieści i wykazał, że nowa, odpowiadająca nowej funkcji społecznej literatury, powieść polska sformować się musi na zasadniczo odrębnej podstawie ideologicznej i artystycznej. Szczególną doniosłość ma zaatakowanie dominującej roli tematyki historycznej powieści polskiej, jak również profeudalnej ideologii romansu salonowego. Pozytywiści zdawali sobie sprawę z tego jednolitego niemal oblicza przedpozytywistycznych powieści. Zwłaszcza romans salonowy, jako twierdza kastowych ostraczyzmów szlacheckich, został tu poddany zjadliwej krytyce. Dotyczyła ona nie tyle jednak artystycznych założeń przedpozytywistycznej powieści, ile jej ideologii klasowej, reprezentowanego przez nią typu obyczajowości.

Bogacki, jak zresztą wszyscy ideologowie wczesnego pozytywizmu, walcząc o miejsce powieści dla mieszczanina, jego poglądów, obyczajów i interesów, uważał się za rzecznika szerokich mas ludowych; podkopując literacki przywilej szlachty, wysuwał hasła szerokiej demokratyzacji tematyki i adresu literatury powieściowej. „Nie człowiek a szlachcic przedmiotem powieści. Jego herb, jego przydomek, jego antenaci, kto go raczył łaskawie urodzić, stare zakopcone portrety, drzewo genealogiczne, stare zbroje, kroniki, jego szlachecka godność — to dopiero woda na powieściopisarski młyn. Żeby w powieści mógł mieć miejsce jakiś tam mieszczanin, albo co gorsza chłop! Boże uchowaj! Człowiek z brudnym u koszuli kołnierzem nie ma miejsca we współczesnej powieści. Jeżeli owa „figura", wszelkiej sztuce przeciwna, wpuszcza się czasem do estetycznej powieści, to tylko przez tylne drzwi i na krótko, więcej dla urozmaicenia sceny działania figur „nie przeciwnych sztuce", stoi pokorna i cichutka na tylnym planie, zamieniając sobą dekoracje. Czasem pozwalają mu nawet tańczyć, jak to często w powieści bywa, kiedy powieściopisarz z wyżyn Parnasu, z amoniakiem w kieszeni i z elegancką chusteczką do nosa, zszedłszy na dół, łaskawie patrzyć raczy przez szkiełka na chłopskie wesele, zupełnie jak naturalista na wymoczki lub wodorosty przez mikroskop. Po większej części ów podłego gatunku człowiek wchodzi do powieści jako zbrodniarz, morderca, podpalacz, za co natychmiast zostaje kijem, szubienicą lub wieżą ukarany, jako spodlone i nikczemne stworzenie, psujące estetyczny porządek tego pięknego świata".

Ten gorący ton „deklaracji" literackich praw człowieka stanowi o wartości bezkompromisowej publicystyki wczesnego pozytywizmu. Nic też dziwnego, że powieść pozytywistyczna była tak skuteczną bronią antyfeudalną, że z całą ostrością i zdecydowaniem stawała do odkłamywania i piętnowania przeżytków starego świata. Stąd też ostry atak na idealistyczną teorię brzydoty i piękna w utworze literackim oraz stwierdzenie: „Sądzę, że kto wie, czy nie brzydota, nędza i ciemnota powinnyby figurować w powieści..."

Oczywiście, frazeologię artykułów Bogackiego należy brać z dużą ostrożnością i pamiętać o etapie historycznym, na którym została sformułowana. Ów „człowiek z brudnym u koszuli kołnierzem" wypływał ze szczerego demokratyzmu młodych pozytywistów, ale był też takim samym złudzeniem ideologa klasy, jak i jego wiara, że walcząc o kapitalizm walczy o wyzwolenie ludzkości, o szczęście człowieka. Naprawdę chodziło poetyce wczesnego pozytywizmu o „jakiegoś tam mieszczanina". Chłop czekał jeszcze blisko 10 lat na awans społeczny w nowej powieści, a gdy go dostąpił, chwiały się już sztandary zwycięskiego pozytywizmu, a na gruzach jego ideologii literackiej wyrastał realizm krytyczny.

Typ powieści, jaki postulowali pozytywiści w zakrojonej na szeroką skalę polemice literackiej, toczącej się w latach 1871—4, zwany przez nich powieścią „tendencyjną", „społeczną", „realistyczną", nawet „naturalną", charakteryzować miały następujące cechy: współczesność problematyki, ostra tendencja antyfeudalna, optymistyczna ocena perspektyw mieszczańskiego postępu, typowość (w znaczeniu przeciętność) postaci ludzkich i sytuacji życiowych, istnienie pozytywnego bohatera-rezonera, mieszczanina lub szlachcica, stojącego na gruncie ideologii mieszczańskiej, reprezentującego sojusz burżuazyjno-obszarniczy. O taką powieść, jej godność i uznanie dla jej funkcji wychowawczo-społecznych walczyli wszyscy pozytywiści w odczytach, artykułach polemicznych czy odautorskich deklaracjach ideowych, zamieszczanych w utworach.

Linia obrony „starych" była również jednolita: wypływała z założeń estetyki idealistycznej, głosiła zasadę autonomicznych funkcji sztuki, wskazywała na konieczność „niezniżania" ideałów życiowych, szermowała tezą o gatunkowej niższości powieści i komedii, jedynych w jej rozumieniu gatunków tendencyjnych i realistycznych. W praktyce dziennikarskiej sprowadzało się to wszystko do prymitywnych zarzutów „niemoralności powieści".

Pozytywiści słusznie parodiowali ten typ dyskusji teoretycznej. „I tak u naszych konserwatystów, czy miasto zgorzało, czy pinczer się zabłąkał, czy sprawozdawcy konceptu zabrakło, wszystkiemu winien pozytywizm... Drugi z tej samej kategorii konserwatysta na karb pozytywizmu zaznacza fakt okropny, iż pewien powieściopisarz opisuje, jak żona zdradziła męża — nie pomyślawszy nawet na chwilę, że tę samą historię opiewa Iliada..." „Konserwatysta" ten wcale jednak nie był naiwny, i dobrze, że relacjonowanej historii nie zestawił ze sprawą pięknej Heleny. Motyw zdrady małżeńskiej miał w powieści pozytywistycznej wymowę ostrej krytyki społecznej. Z tym wszystkim jednak od ówczesnej praktyki powieściowej pozytywizmu do engelsowskiej „powieści francuskiej" było dość daleko.

Jak to już niejednokrotnie podnoszono, uderzające jest zestawienie wzorów literackich najwyżej cenionych przez pozytywizm. Hugo, George Sand, co sentymentalniejsze powieści Dickensa, Eugeniusz Sue — jedno z najzabawniejszych nieporozumień literackich 19-go wieku. Odwoływania się polskich teoretyków realizmu mieszczańskiego do wzorów powieści romantycznej nie da się wyjaśnić, jeśli ograniczymy się do rozważania wyłącznie pojęć literackich, biorąc na serio wszystkie używane w dyskusji terminy teoretyczne — zwłaszcza, że wkrótce dołączy się tu wyjątkowo dezorientująca sprawa polemiki z naturalizmem.

Fakt obojętności i niedoceniania Balzaka, jak i później Stendhala przez naszych pozytywistów, zrozumieć można tylko wtedy, gdy zdamy sobie sprawę, że wielki demaskator wieku bankierów musiał odstręczać polskich ideologiów postępu mieszczańskiego zarówno swymi profeudalnymi deklaracjami, jak i surową prawdomównością obrazu kapitalizmu. Brak wyraźnej moralistycznej tendencji również nastrajał podejrzliwie. Oczywiście o antybalzakowskiej kampanii nie mogło być mowy, była ona zarówno niecelowa, jak i nie do przeprowadzenia w języku wczesnego pozytywizmu. Zresztą nie wypadało stawać na gruncie walki z powieściową „niemoralnością".

Tak więc pozytywizm obojętnie przeszedł obok „ojca powieści", nie będąc w stanie zrozumieć jego roli historycznej. Realizmu krytycznego nie mogli, rzecz prosta, postulować piewcy kapitalistycznego optymizmu. Cytowana wypowiedź Bogackiego o brzydocie, nędzy, ciemnocie, które powinny by górować w powieści" ma wszak oznaczać swobodę i ostrość rozprawy z ponurym dziedzictwem feudalizmu. Dlatego też bliskie były pozytywistom pewne elementy tendencji antyfeudalnej powieści romantycznej.

Wkrótce jednak pozytywiści znaleźli się w ślepej uliczce, gdyż u schyłku lat 70-tych konserwatyści podrzucili im złośliwie maszynę piekielną, tzw. „naturalizm". Polska dyskusja o naturalizmie w latach 1878—80, przed wystąpieniem grupy „Wędrowca", raz jeszcze wskazuje, ile zamętu wnieść może dowolność terminologii historyczno-literackiej.

Konserwa wywlokła Zolę na dziennikarskie forum, gdyż stanowił on dla niej wspaniały atut polemiczny. Łatwo było go przedstawić jako skrajnego kontynuatora założeń realizmu i ukazać pozytywistom jako odstraszający przykład ich własnej przyszłości. Publicystyka literacka pozytywizmu w tej niezręcznej sytuacji musiała się podjąć ze względów taktycznych obrony Zoli, ale przebieg dyskusji i charakter argumentacji wskazywały, że bynajmniej nie broniła ona i bronić nie mogła neturalizmu. Usiłowano zrobić z Zoli moralistę, programowego pisarza tendencyjnego, pomijano w zasadzie artystyczne założenia jego metody powieściowej, zamykano oczy na obraz kapitalistycznej Francji, jaki przekazywały jego książki. Broniono zatem, rzecz prosta, nie naturalizmu, jako określonego stadium rozwoju powieści mieszczańskiej, ale własnej swobody w formułowaniu antyfeudalnej krytyki. Triumf pozytywistów w obronie Zoli miałby wszelkie cechy zwycięstwa Pyrrusowego. Dlatego też ideologowie burżuazji wycofali się z tego stanowiska, gdy wojujący naturalizm pojawił się w Polsce i okazał się niewygodny dla burżuazyjnej obłudy.

TEORIA I PRAKTYKA

Orzeszkowa w rozwoju teoretyczno - literackiej myśli pozytywizmu zajmuje stanowisko szczególne. Jej pierwsze wystąpienie teoretyczne „Kilka uwag nad powieścią", pochodzące z roku 1866 — roku jej debiutu, datowało się z okresu poprzedzającego sformowanie się obozu „młodych". Dowodzi to, że Orzeszkowa mimo młodzieńczego grzechu kilku wierszy lirycznych (dwa nawet drukowane!) wstępowała świadomie w szranki powieściopisarstwa z wyraźnie sprecyzowanym programem literackim. Artykuł z roku 1866 jest też panegirykiem na cześć powieści. Podkreśla jej wartość dydaktyczną i poznawczą, opowiada się za „tendencją", rozumianą naiwnie jako odautorskie kazanie moralistyczne. Nic dziwnego też, że wobec zarzutów przeciwników powieści tendencyjnej Orzeszkowa nie umie się zdobyć na inne argumenty poza wskazaniem powieści Hugo — niezaprzeczenie tendencyjnych a przecież „tak wzniośle, tak potężnie nych powieści".

Operowanie pojęciami realizmu i typowości wskazuje aż nadto, że Orzeszkowa, mimo naukowej frazeologii, nie rozumie pod tymi pojęciami niczego poza unikaniem niezwykło-

Obrazek z lat głodowych

przez Elizę Orzeszko.

Posłuchajcie, piękni panowie i panie, opowiem wam króciuchną powiastkę.

Z błyszczących wyżyn waszych, czy spojrzeliście kiedykolwiek w dół, nizko, w głąb owych warstw społeczności, które ciemne, nędzne, z piękna odarte, pracują ciężko? Czyście widzieli jakie cierpienia nurtują na tych dnach głębokich, jakie męki rozdzierają łono tej mętnej dla was fali żywych ludzi?...

Wyście myśleli zawsze, o piękni i piękne, że w tej grubej i szorstkiej warstwie sam kał tylko i bezrozum; pocóż więc w nią zaglądać? Tak zapewne, jeżeli nie chcecie zasępić rozpogodzonego zabawą lica, nie zbliżajcie się do ludu, pójdźcie raczej bawić się i pląsać przy blasku świateł jarzących, wśród woni salonów. Ale jeżeli między wami są serca miłujące nie lśniący pozór, lecz grunt człowieczy jeżeli są i umysły ciekawe zbadania biéd społeczności, niech zajrzą w istnienie milionów, w istnienie mozolne, bezbarwne, rzadko pojęte dobrze przez szczęśliwszych, często spotwarzane, oplwane. Tam znajdą serca dramat żywy i cel ukochania, a umysły naukę i zachętę do dążenia ku postępowi, ku postępowi takiemu, który zbliży szczęście nie jednostkom, nie kastom, lecz wielkiemu ogółowi.

Moja opowieść króciuchną będzie. Przedstawi ona jeden z milion razy powtarzających się na ziemi dramatów, które odegrane w biédnéj i ciemnéj warstwie ludzkości, giną bez śladu. Do mnie doszła wieść o nim, i z podziwem się zadumałam nad tém, iż podobne dramata dotąd na Bożym świecie istnieją..

Opowieści więc o cierpieniu biédnych i ciemnych posłuchajcie, piękni i oświeceni panowie i panie,

fot. Z. Kamykowski

Pierwodruk „Obrazka z lat głodowych" w „Tygodniku Illustrowanym" 1866, nr. 352

ści i fantastyki oraz prowadzeniem postaci torem zwykłym ludzkości", czyli ich życiowym prawdopodobieństwem. Typ konfliktu zaś podsuwać ma moralistyczna tendencja. Tendencja przełamania ograniczoności klasowej kręgu tematyki salonowej powieści wyrażona jest jeszcze bardzo ostrożnie. „Niejedno ciche cierpienie, zbadane w źródłach swoich przedstawia więcej nauki i piękności, niż głośne dramata, osnute na wyjątkowych namiętnościach. W niejednym sercu złamanym, w niejednym silnym niegdyś i czystym a później straconym marnie lub skalanym życiu — wyczytać można smutne skutki niedostatków, wad, przesądów społecznych."

Program ten tłumaczy w ogromnej mierze dzieje pierwszego okresu twórczości Orzeszkowej — dziesięciolecia 1866—1876. Zbiega się ze złożoną w „Początku powieści" deklaracją w sprawie typu intrygi powieściowej. Problematyka ideowa pierwszego okresu twórczości — wychowanie człowieka kapitalizmu, wychowanie ziemiaństwa dla sojuszu z burżuazją, zwalczanie tak potężnych jeszcze przeżytków feudalizmu w obyczajowości i kulturze — wyznaczyła typ konfliktu moralnego i tematykę: sprawy rodziny. „Każdy objaw społeczny, każde niemal życie rodzinne zawiera w sobie skarby treści dla tego, kto się weń okiem badacza i myśliciela wpatrzeć potrafi". A więc dominanta konfliktów rodzinnych, zdrady, rozwodu, zamiast powieści o „wędrówce ku obrączkom"? Sprawa nie jest tak prosta.

Wystąpienie Orzeszkowej w „Początku powieści" nie oznaczało pełnego skrystalizowania i konsekwentnego stosowania nowego „francuskiego" schematu powieści. Pisarz burżuazyjny, jako herold demokratyzacji obyczajowej, musiał stworzyć ideologiczną przeciwwagę nie tylko dla powieści o ołtarzu, ale i dla powieści „romantycznej tragiki". Typowym przykładem są tu dwa utwory Orzeszkowej z najwcześniejszego okresu jej działalności powieściowej — „Rozstajne drogi" i „Syn stolarza". Te dwa moralistyczne obrazki, przyklaskujące decyzji wziętego adwokata, odrzucającego perspektywę świetnej partii dla małżeństwa z guwernantką i relacjonujące historię syna stolarza, sięgającego z powodzeniem po rękę baronówny — są przejawem optymizmu ideologa mieszczańskiego postępu i manifestowanej także w „Początku powieści" wiary w doniosłość dokonanych przemian społecznych. Ten programowy optymizm pobrzmiewa jednak tylko w kilku najwcześniejszych utworach. W latach następnych pojawiają się książki, które uwagę koncentrują głównie na zagadnieniu „niedostatków, wad, przesądów społecznych".

Utwory takie, jak „Ostatnia miłość", „W klatce", „Na prowincji", „Pamiętnik Wacławy" nie zyskały wielkiego powodzenia, zwłaszcza w oczach przedstawicieli obozu postępu. Chmielowski w druzgocącej recenzji, zestawiając te utwory z deklaracją programową „Kilku uwag o powieści" wykazał, iż program teoretyczny pisarki przekroczył możliwości jego realizacji.

Program moralistyczny wczesnych powieści Orzeszkowej, niejednokrotnie jeszcze dość abstrakcyjny („Cnotliwi", „Na dnie sumienia") bardzo powoli nasiąka konkretną treścią społeczną i historyczną. Dlatego powoli też przełamuje pisarka schemat białych i czarnych charakterów, aniołów i potworów, melodramatyczne sytuacje i zainteresowanie tajemniczymi, patologicznymi fenomenami psychicznymi.

W roku 1872 opublikowała Orzeszkowa w „Niwie" „Listy o literaturze", w których podjęła problem „poeci a wiek XIX". Artykuł ten nie przynosi zasadniczo nowych sformułowań teoretyczno - literackich, ale wskazuje, jak dalece pogłębiło się u pisarki pojęcie „wieku XIX", jak bardzo przekroczyła myślowy schemat „wieku rozumu i demokracji". Orzeszkowa, jak wynika z artykułu, zupełnie jasno zdaje sobie sprawę, że ten ogólnikowo dotychczas rozumiany postęp oznacza kapitalizm, oznacza „panowanie nad materią" i zburzenie wszystkich instytucji feudalizmu. Jednocześnie przejawia się zrozumienie zacofania ekonomiczno - społecznego Polski i konieczności nadrobienia wiekowych opóźnień. Wówczas też powieści Orzeszkowej („Eli Makower", „Rodzina Brochwiczów") przekraczają na wielu odcinkach dotychczas wyłączny zakres problemów funkcjonowania instytucji rodziny. Zagadnienie przystosowania się do moralności nowej epoki ziemiańskich bohaterów dobrej woli coraz wyraźniej zostaje zamienione przez problem znalezienia konkretnego miejsca społecznego w kapitalistycznym świecie. Świat ten występuje jako układ społeczno-ekonomczny, nie jako zagadnienie moralne.

Najdojrzalsze sformułowanie teorii powieści u Orzeszkowej, a jednocześnie najdojrzalsze w publicystyce pozytywizmu stanowi studium pod tyt. „O powieściach T. T. Jeża", zamieszczone w „Niwie" w roku 1879. Oprócz momentów wspólnych z dotychczasowymi sformułowaniami uderza w pierwszym rzędzie pogłębienie pojęcia tendencji. Jest ona teraz w rozumieniu Orzeszkowej nie oderwanym moralistycznym kazaniem, lecz ideologicznym wnioskiem z poznania rzeczywistości, wspartego o wiedzę i metodę naukową. Tym samym, modyfikacji uległo również pojęcie typowej postaci i sytuacji — nie przeciętność lecz zrozumienie istoty i sensu danego zjawiska określa jego typowe odbicie. I tu podkreśla Orzeszkowa niezbędność społecznej wiedzy pisarza: „Jedno tylko ukształcenie umysłowe uzdolnić może pisarza do wynajdywania typów, do wytwarzania ich za pomocą prostowania i skupiania linii wykrzywionych i rozproszonych w naturze za sprawą przypadku i wyjątkowości".

Charakterystyczne jest podkreślenie ścisłego związku literatury i nauki, toteż Orzeszkowa uważa powieść za dział umysłowości ludzkiej „mieszany", jednoczący sztukę z filozofią. Ta wiara w możliwość, zamknięcia w powieści szerokiego i pełnego obrazu życia, w możliwość zsyntetyzowania metod i osiągnięć sztuk i nauk w prawidłowym badaniu, zobrazowaniu i wyjaśnianiu świata, charakterystyczna jest dla szczytowego okresu rozwoju literatury mieszczańskiej. Orzeszkowa koryguje wówczas popularną u nas już wtedy stendhalowską definicję — „powieść jest zwierciadełkiem, przechadzającym się po gościńcu życia": „Posługując się przenośnią, powieść porównać możemy chyba do szkieł jakich magicznych, które by odzwierciedlały w sobie nie tylko zewnętrzną postać rzeczy i widzialny wszystkim powszedni ich porządek, ale ukazywały także ich treść najgłębszą". Tak wyglądała w ostatecznym sformułowaniu teoria powieści Orzeszkowej, klasyczna teoria wielkiego realizmu.

W jakiej mierze jej powieściopisarska praktyka mogła zrealizować te założenia teoretyczne? W mierze ograniczonej klasowo. Możność zrozumienia świata określa nie tylko „natchnienie twórcze", „uczucie litośne", wsparte obserwacją. „znajomością faktów i cyfr" — jak chciała pisarka, ale pozycja twórcy w starciu krzywdzonych i krzywdzących. Dlatego też Orzeszkowa nie mogła pojąć w pełni" treści najgłębszej" współczesnego jej życia. Potrafiła ukazać wiele jego sprzeczności i zbrodni, potrafiła czujnie notować każdy zrozumiały dla niej przejaw krzywdy i wyzysku. Wielu jednak spraw nie pojęła, przed wieloma zasłoniła oczy. W rozpoczynającym się od „Meira Ezofowicza", od cytowanego studium o powieściach Jeża i od zbioru nowel „Z różnych sfer" — szczytowym okresie jej twórczego rozwoju w którym pojawił się w jej utworach realizm krytyczny, wiele cech ustroju potrafiła dostrzec i zdemaskować w grupie t. zw. „powieści socjalistycznych" oraz w powieściach chłopskich („Niziny", „Dziurdziowie"), stanowiących niewątpliwie jej najwybitniejsze osiągnięcie.

Ale na bezbłędną, choć wąską diagnozę społeczną zdobyła się Orzeszkowa tylko w nowelach.

W odpowiedzi na ankietę p. t. „Powieść a nowela" z roku 1892, — Orzeszkowa pisała: „...nowelę można poczytywać za taki ułamek zwierciadła, w którym odbija się tylko jedno oko, jeden uśmiech, jedna łza, jeden grymas twarzy..." Niejednokrotnie nowela Orzeszkowej, jak w ogóle nowela pozytywizmu, jest taką łzą lub grymasem gniewu i oburzenia. Ułamek zwierciadła zwalnia od interpretacji, od szerokiego społecznego uzasadnienia; rozluźnia to nieco nacisk klasowej cenzury. Dlatego właśnie nowela sygnalizuje nam w pełni wielkość człowieka i pisarza, skoro zachowany został, a nawet cofnięty rozwój powieści.

Maria Żmigrodzka

MARIAN BRANDYS

Spod namiotów widać „Nową Hutę"

W ubiegłym tygodniu spędziłem cztery dni na terenie jednej z ochotniczych brygad ZMP, zatrudnionych przy budowie „Nowej Huty". Kto zdaje sobie sprawę z ogromu przedsięwzięcia realizowanego obecnie pod Krakowem — zrozumie, że w tak krótkim czasie nie mogłem zebrać wystarczającego materiału nawet do zwykłego artykułu informacyjnego. Nie zamierzałem też takiego artykułu napisać. Pierwszy czterodniowy pobyt w „Nowej Hucie" miał mi posłużyć jedynie jako krótkie wprowadzenie do kampanii reportażowej, obliczonej na wiele tygodni. Był to zwiadowczy wypad, przeznaczony całkowicie i wyłącznie na pobieżne zorientowanie się w terenie, załatwienie koniecznych formalności z miejscowymi władzami i wybranie najdogodniejszej bazy operacyjnej dla przyszłego reportażu literackiego. Postanowiłem sobie z góry, że z tego pierwszego wypadu nie napiszę żadnego sprawozdania, że w ogóle o „Nowej Hucie" nie zacznę pisać dopóty, dopóki naprawdę nie „wgryzę" się w temat i nie przebrnę przez warstwę pierwszych naskórkowych obserwacji.

Ale od postanowień czasem trzeba odstępować. W drodze powrotnej z brygady ZMP — na dworcu w Krakowie — kupiłem świeży numer „Przekroju" i przeczytałem w nim reportaż z „Nowej Huty".

Po przeczytaniu tego pierwszego w prasie polskiej syntetycznego artykułu o sztandarowym obiekcie Planu Sześcioletniego — nie bacząc na poprzedni zamiar, postanowiłem natychmiast zabrać głos, aby w miarę możności w sposób najbardziej przekonywający wykazać autorom artykułu, że pomijając zupełnym milczeniem rolę młodzieży w budowie „Nowej Huty" dopuścili się rażącego przeoczenia dziennikarskiego, które w znacznym stopniu dyskwalifikuje ich wartościowy poza tym reportaż. Bo żaden reportaż z budowy „Nowej Huty" — bez uwydatnienia w nim roli młodzieży — nie może być uznany za pełny i prawdziwy reportaż o „Nowej Hucie". Wprost trudno zrozumieć, jak to się stało, że dwaj reporterzy „Przekroju" — zwiedzając tereny „Nowej Huty" — nie dostrzegli pracujących tam licznych kolumn ZMP-owskich, które już z daleka wyróżniają się z otoczenia swymi granatowymi kombinezami i lasem czerwonych proporców. Trudno zrozumieć, że kierownictwo techniczne robót — informujące zapewne dziennikarzy — nie wskazało im całych odcinków budowy młodzieżowej, nie zwróciło ich uwagi na bloki mieszkalne, wznoszone od fundamentów przez młodzież, nie powiedziało im ani słowa o rekordach produkcyjnych młodzieży, o jej zapale do pracy i skutecznym współzawodnictwie ze starszymi.

Jak odnieść się do tego rażącego niedopatrzenia, jeżeli nawet wróg klasowy od dawna już ocenił trafnie rolę młodzieży w budownictwie „Nowej Huty", jeżeli czerwony krawat ZMP-owski wywołuje coraz większą wściekłość wśród okolicznych kułaków, leniwych „lumpów" sezonowych i podejrzanych typów nawiedzających „Gospodę Ludową" przy budowie. Wróg klasowy lepiej orientuje się w sytuacji od reporterów „Przekroju". On od początku zrozumiał, że właśnie z ochotniczych brygad ZMP-owskich wyłoni się najcenniejszy i najtwardszy aktyw budowniczych „Nowej Huty".

*

W świetlicy Ochotniczej Brygady ZMP-owskiej, której gościem byłem przez cztery dni, wisi okazały transparent z napisem: „Dziś jako murarze budujemy Nową Hutę — jutro staniemy w niej do pracy jako hutnicy". Ten napis tłumaczy najlepiej istotę Brygad ZMP-owskich, które w życiu naszej młodzieży są zupełną nowością, zastosowaną po raz pierwszy przy budowie Nowej Huty — i różnią się w sposób dość zasadniczy od działających równolegle z nimi dwumiesięcznych brygad Służby Polsce. Założenia organizacyjne brygad ZMP-owskich kojarzą w sobie harmonijnie dwa elementy: pracę produkcyjną młodzieży przy budowie Nowej Huty oraz kształcenie fachowe i ideologiczne tej młodzieży na przyszłych majstrów i wykwalifikowanych robotników Nowej Huty, którzy staną się zarazem pierwszymi obywatelami wybudowanego przez siebie socjalistycznego miasta.

Założenia te są realizowane stopniowo i konsekwentnie. Wielu młodych brygadzistów kształci się już na murarzy, stolarzy, cieślów i elektromonterów. W najbliższym czasie powstaną kursy szoferskie i mechaniczne. Według przewidywań, już za dwa miesiące pierwsza grupa ZMP-owskich junaków przeniesie się spod namiotów do zbudowanych własnymi rękami bloków mieszkalnych w Nowej Hucie.

Zapał do pracy — wśród tysięcy chłopskich i robotniczych synów, którzy z wszystkich stron kraju napływają do brygad ZMP-owskich — jest ogromny. Niemniej, byłoby jeszcze przesadą twierdzić, że praca młodzieży rozkręciła się już zupełnie. Trudności są jeszcze olbrzymie — jak przy każdym nowym, wielkim przedsięwzięciu. Wypływają te trudności częściowo ze zbyt słabego wyrobienia niższych kadr ZMP-owskich („Ludzie nie przychodzą tu w gotowych transportach, ludzi trzeba robić na miejscu" — powiedział mi komendant jednej z brygad), częściowo z niechętnego stosunku niektórych majstrów i techników do młodzieży, częściowo zaś z niecierpliwości samej młodzieży, która rwie się do zawodów kwalifikowanych a wzdraga się przed „kursem rekruckim" pracy pomocniczej przy budowie. Wszystkie te trudności — powoli ale skutecznie — przełamuje uświadamiająca praca ZMP-owska, prowadzona na terenie brygad, oraz rosnący autorytet młodzieży na budowie. Wytężona praca produkcyjna przy budowie socjalistycznego miasta i wytężona praca ideologiczna w brygadach — jeszcze przed położeniem kamienia węgielnego pod Nową Hutę — odgrywa rolę wielkiego pieca hutniczego, w którym hartuje się ludzka surówka. Drobny procent żużlu odpada. To, co pozostaje — będzie stalą.

*

W pierwszym dniu mego pobytu w brygadzie byłem świadkiem następującej sceny. Do przewodniczącego zarządu ZMP brygady zgłosiło się ośmiu chłopców z prośbą o zwolnienie ich do domów. Wszyscy pochodzili z jednego namiotu, który nie miał dobrej sławy w brygadzie. Wiedziano, że koło ZMP w tym namiocie od początku swego istnienia nie przejawia żadnej aktywności. Jakże zresztą miało ją przejawiać, jeżeli przewodniczący koła, 17-letni junak Matusewicz znalazł się właśnie w grupie chłopców proszących o zwolnienie z brygady.

— Chcecie opuścić Nową Hutę? — zapytał chłopców przewodniczący zarządu ZMP brygady. — Dlaczego?

Przyczyny były różne: matka choruje w domu... praca za ciężka... zdrowie słabe... chciałoby się do szkoły. Chłopcy niespokojnie przestępowali z nogi na nogę. Większość z nich cieszyła się dotychczas opinią dobrych robotników i miała szczere otwarte twarze, przesłonięte w tej chwili ciemną chmurą zmartwienia. Przewodniczący zarządu ZMP — starszy zaledwie o parę lat od stojących przed nim junaków — był podobnie jak oni chłopcem wiejskim o szczerej otwartej twarzy. Jedynie w oczach zdążyła mu już osiąść twardość, której brakowało jeszcze tamtym.

— Więc chcecie opuścić Nową Hutę? — powtórzył ciężko swe pytanie. — A czy wy w ogóle wiecie, co to jest Nowa Huta?

I zaczął im mówić o hucie i mieście, które powstaną w najbliższych latach na terenach, gdzie jeszcze przed miesiącami nie było nic. Mówił konkretnie, po chłopsku — jakby wbijał młotem do głów — przez cztery godziny. Aż do zupełnego zachrypnięcia. Co pewien czas przerywał gorzkim wyrzutem kierowanym w stronę junaków: — A wyście chcieli opuścić Nową Hutę?

Na chłopców działało to widocznie. Coraz niżej opuszczali głowy. Po czterech godzinach sprawa uległa nagłemu rozwarstwieniu. Siedmiu junaków przyznało: nie chodziło wcale o chorą matkę, o zdrowie czy o szkołę — chodzi poprostu o to, że chcemy być elektrotechnikami i szoferami, a tu od dwóch miesięcy każą nam nosić cegłę. — I jeszcze nam powiedzieli, że będziemy tak tyrać cegłami do us..nej śmierci.

— Kto wam to powiedział?

Odpowiedź była zbędna. Ósmy — najstarszy z junaków, wysoki, kościsty chłopiec, który dotychczas trwał obojętny i nieprzejednany — znalazł się nagle w nieprzyjaznym odosobnieniu. To był podżegacz.

Przewodniczący zakończył sprawę krótko: „Widzicie jasno, do czego doprowadza brak kolektywnej pracy w kole ZMP. Zostaliście osaczeni i rozbrojeni przez wroga. Namówiono was niemal do dezercji. Przemyślcie teraz między sobą, czy Nowa Huta warta jest tego, aby nawet przez cztery miesiące nosić dla niej cegły. Potem dacie mi odpowiedź. Ja — ze swej strony — zapewniam was, że z brygady nie wyjdzie nikt bez wyuczonego fachu".

Zainteresował mnie dalszy los junaka Matusewicza. Po odejściu chłopców zagadnąłem w tej sprawie przewodniczącego: — Oczywiście nie pozostawicie go na czele koła ZMP?

Przewodniczący Zarządu uśmiechnął się: — Przeciwnie. Dopiero po tej rozmowie Matusewicz stanie się prawdziwym przewodniczącym koła. Przekonacie się sami, że od jutra koło ZMP w ich namiocie zacznie działać.

Przewodniczący omylił się tylko co do terminu. Zebranie koła ZMP w skompromitowanym namiocie zwołano jeszcze tego samego wieczora. Siedmiu chłopców złożyło na nim obszerną samokrytykę. Pierwszą decyzją koła była uchwała wykluczająca podżegacza. Jednocześnie skierowano do komendy wniosek o wyrzucenie go z brygady.

*

Mundka Rybackiego, sławnego przodownika pracy brygady ZMP-owskiej, poznałem w fatalnym dla niego dniu — kiedy pokonany w wydajności pracy przez innego ZMP-owca, Rudolfa Dominioka ze Śląska — przekazywał temu ostatniemu przed frontem brygady proporczyk ZMP-owski „Pierwsi w nauce i w pracy".

Mały zuchowaty Rybacki, oddając proporczyk zwycięzcy, płakał rzewnymi łzami. Kiedy jednak w chwilę po tym próbowałem go pocieszyć, że proporczyk przodownictwa z pewnością jeszcze do niego powróci — odpowiedział mi niespodziewanie twardo: — A pewno, że wróci. Niech skonam, jeżeli nie wyrwę go pieronowi jeszcze w tym tygodniu.

Reakcja słowna Rybackiego odbiegała może nieco od ideałów ZMP-owskiego koleżeństwa, ale — jak mnie poinformowano w Zarządzie — uparta rywalizacja dwóch młodych przodowników, trwająca już od dwóch miesięcy, podniosła normę wydajności całej brygady do 314%.

Zapał współzawodnictwa, który ogarnął obóz, dosięgnął nawet najbardziej zaciętego bumelanta brygady — leniwego Bładonia. Sam czytałem jego uroczyste wyzwanie przybite na ścianie świetlicy: „Ja, Józef Bładoń, największy bumelant brygady, odpowiadając na wyzwanie Rybackiego Zygmunta i Dominioka Rudolfa — wzywam wszystkich innych bumelantów do wyrobienia w ciągu tygodnia 250% normy".

Pomysł współzawodnictwa wśród bumelantów był pierwszym tego rodzaju wydarzeniem w Polsce. Przyjęto go też z humorem, ale bez wyśmiewania. Junacy orzekli: — To wcale nie takie głupie, nie ma się z czego śmiać. Bładoń zna dobrze wszystkie sposoby bumelantów. Już on ich dopilnuje.

*

W brygadzie ZMP-owskiej byłem zaledwie przez cztery dni. Jest to okres krótki, ale wystarczający dla dokonania pewnych zasadniczych odkryć. Moim zasadniczym odkryciem było stwierdzenie, że spod namiotu junackiego w Nowej Hucie wcale nie najgorzej widać wszystkie problemy rosnącego nowego miasta i rosnących nowych ludzi.

Dlatego też za kilka dni znowu wracam pod namiot ZMP-owski. Tym razem już na czas dłuższy.

Marian Brandys

O KSAWERYM PRUSZYŃSKIM

*

* *

Jeśliby szukać w jego życiu i twórczości jakiejś jednej cechy najistotniejszej, jeśli trzeba by jednym słowem scharakteryzować to bujne, odważne i ofiarne życie, jedno tylko słowo przychodzi nam na myśl, jedno tylko słowo określa Pruszyńskiego. Tym słowem jest szlachetność. Ta szlachetność charakteru kazała mu w studenckich latach walczyć w obronie Żydów na Uniwersytecie Krakowskim. Ta szlachetność kazała mu odrzucić wszystkie łatwe drogi kariery, gdy w 1940 r. w Paryżu, zamiast stanowiska sekretarza generała Sikorskiego, wybrał trudy prostego żołnierza. Gdy szedł pod Narvik, gdy padł ranny pod La Falaise, gdy leżał chory na tyfus w Kujbyszewie, gdy troszczył się o innych, gdy pomagał słabszym, gdy bronił prześladowanych — zawsze wierny był tej jasnej, prostej, bezpośredniej szlachetności swego charakteru.

Gdy w odważnym artykule „Wobec Rosji" pierwszy z pisarzy na emigracji pokazał nowe drogi, otwierające się przed Rzeczypospolitą Polską, zaszczuwany przez kliki sanacyjne, przez wrogów i wczorajszych przyjaciół, wytrwał na swoim stanowisku. Wytrwał nie tylko dlatego, że miał więcej wyobraźni i zrozumienia przemian, które przyniosła wojna, ale dlatego, że już wtedy widział przyszłość Polski w oparciu o Związek Radziecki. Urodzonemu w środowisku ziemiańsko - szlacheckim, spojonemu tradycją i wychowaniem z klasą wielkich obszarników, trudniej mu było dokonać wyboru i opowiedzieć się po stronie proletariatu niż wielu innym, którzy nie musieli przełamywać i przezwyciężać własnej przynależności klasowej.

Pisarstwo Pruszyńskiego cechowała porywająca narracja, proza jego była jak bystry strumień górski. Próżno by szukać w jego stylu akademickiego spokoju. Proza jego płynęła wartko, niesfornie ale nieomylnie znajdowała swą właściwą drogę. Pruszyński napisał wiele książek i doskonałych artykułów, ale przyszłość była dopiero przed nim. Odszedł od nas młody pisarz o wielkich osiągnięciach i wielkich możliwościach rozwojowych. Śmierć jego jest stratą dotkliwą dla literatury polskiej. Nie prędko zaginie pamięć o tym świetnym pisarzu i szlachetnym człowieku.

Antoni Słonimski

*

* *

Nigdy mi na myśl nie przychodziło, że mógłbym przemawiać nad trumną Ksawerego Pruszyńskiego i żegnać go w imieniu żywego świata, z którym był tak bardzo zrośnięty. Każde zetknięcie z Ksawerym to było zawsze zetknięcie z elementarną siłą, z temperamentem, jaki tylko częściowo znalazł swoje odbicie w jego pisarstwie. Spotkanie z tym niezwykłym człowiekiem zawsze dawało wrażenie pełni. Niewątpliwie Ksawery miał jeszcze wiele nam do powiedzenia. Samemu sobie jeszcze wcale nie wszystko powiedział i oczekiwać od niego można było zastanawiających przemian i zastanawiających dzieł. Kiedy ostatnio opowiadał o swoich planach literackich — zdumiewała mnogość tych planów, ale także ich pewna mgławicowość, nie tylko zapewne powodowana dyskrecją, z jaką każdy pisarz mówi koledze o swojej pracy. Ale mimo to — sam charakter tego człowieka, jego sposób odnoszenia się do ludzi, to wszystko co mówił, poczynając od żartu a kończąc na zastanawiająco mądrych i głębokich spostrzeżeniach, stanowiło o nieprzemijającej wartości wspomnień o nim jako o człowieku.

Wśród ludzi, z jakimi co chwila styka nas życie, spostrzegamy nieraz ludzi sympatycznych, rzadziej mądrych, rzadko dobrych — ale tak pełny człowiek, „homo humanus" w całym znaczeniu tego słowa, jakim był Pruszyński, należy do zupełnych wyjątków. Na podstawie wielkiej kultury i wielkiej uczciwości myślowej zbudował on swój charakter i swój pogląd na świat w ten sposób, że nigdy się w nim nie czuło tej olbrzymiej i trudnej pracy, jaka się dokonywała w jego wnętrzu. Raczej zbywał żartami, kiedy się o trudzie jego pisarskim i myślowym mówiło. A jednak z tego niewielkiego stosunkowo dorobku, jaki nam pozostawił, widać, jak uczciwie i jak poważnie traktował powołanie pisarza. Niewątpliwie nawiązywał do wielkiej, największej tradycji literackiej naszej prozy — którą władał zupełnie po mistrzowsku. Plastyka jego obrazów, umiejętność używania prostego a jednocześnie pięknego języka nie ma sobie równych wśród pisarzy jego pokolenia.

Zastanawiająca jednak jest w nim ta czujność na przemiany, jakie przeżywał naród polski w ciągu krótkiego jego żywota, i chęć powiązania przeszłości z dzisiejszością, której drogę widział tak jasno.

Zapewne te właściwości umysłu i charakteru Pruszyńskiego spowodowały, iż każde z nim zetknięcie było zawsze ważne i długo pozostawiało wspomnienie czegoś istotnego i rzetelnego. Mógłbym je wyliczać po kolei i wspominać prawie tematy rozmów prowadzonych podczas tych spotkań: od pierwszego kontaktu nawiązanego przy pośrednictwie naszej wspólnej przyjaciółki, aż do ostatnich jego odwiedzin u mnie w domu przed paru zaledwie miesiącami.

Wśród tych obrazów najistotniejsze i zarazem najplastyczniejsze jest wspomnienie naszej rozmowy odbytej w zapadającym szybko mroku, na tarasie jednej z kawiarni w Alejach Jerozolimskich, dnia 6 września 1939 r. Wielokrotnie potem w czasie wojny, kiedy Ksawery znajdował się już daleko od Warszawy, wspominałem to wszystko, co mi wtedy powiedział, a co dla mnie było otwarciem oczu, bardzo dotychczas zaślepionych.

Spotkaliśmy się dopiero po wojnie, latem 1945 roku. Nigdy nie zapomnę tego spotkania. Było to w dużej restauracji, na jakimś naprędce urządzonym bankiecie dla cudzoziemskich gości, w atmosferze naiwnie oficjalnej i nie nadającej się do serdecznej wylewności. Ksawery powitał nas wtedy gorącymi, serdecznymi łzami, których nie próbował nawet powstrzymywać. W łzach tych był i żal o to, że nie przebył tych lat z nami, i resztki niepokoju, który przeżywał o pozostałych w kraju przyjaciół, i radość z odnalezienia się w tej samej „ekipie" przy pracy nad odbudową ojczyzny.

Nie myślałem wtedy, że za te łzy powitania będę mu musiał płacić łzami pożegnania na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Jarosław Iwaszkiewicz

JÓZEF STALIN

W sprawie marksizmu w językoznawstwie

Zwróciła się do mnie grupa towarzyszy spośród młodzieży z propozycją, abym wypowiedział w prasie swoje zdanie w kwestiach językoznawstwa, zwłaszcza w sprawach związanych z marksizmem w językoznawstwie. Nie jestem językoznawcą i oczywiście nie mogę zadowolić towarzyszy w całej pełni. Co się jednak tyczy marksizmu w językoznawstwie, jak i w innych naukach społecznych, to z tą sprawą pozostaję w bezpośredniej styczności. Zgodziłem się więc odpowiedzieć na szereg pytań, postawionych przez towarzyszy.

PYTANIE: Czy słuszny jest pogląd, że język jest nadbudową bazy?

ODPOWIEDŹ: Nie, niesłuszny.

Baza — jest to ustrój ekonomiczny społeczeństwa na danym etapie jego rozwoju. Nadbudowa — to polityczne, prawne, religijne, artystyczne, filozoficzne poglądy społeczeństwa oraz odpowiadające im instytucje polityczne, prawne i inne.

Każda baza ma swoją, odpowiadającą jej nadbudowę. Baza ustroju feudalnego ma swoją nadbudowę, swoje polityczne, prawne i inne poglądy i odpowiadające im instytucje; baza kapitalistyczna ma swoją nadbudowę, socjalistyczna — swoją. Jeżeli baza ulega zmianie i likwidacji, to w ślad za nią ulega zmianie i likwidacji jej nadbudowa; jeżeli powstaje nowa baza, to w ślad za nią powstaje odpowiadająca jej nadbudowa.

Pod tym względem język różni się zasadniczo od nadbudowy. Weźmy na przykład społeczeństwo rosyjskie i język rosyjski. W przeciągu ostatnich 30 lat zlikwidowana została w Rosji dawna baza kapitalistyczna i zbudowana nowa baza, socjalistyczna. Odpowiednio do tego zlikwidowana została nadbudowa bazy kapitalistycznej i utworzona nowa nadbudowa, odpowiadająca bazie socjalistycznej. A zatem dawne instytucje polityczne, prawne i inne, zastąpione zostały przez nowe instytucje, socjalistyczne. Mimo to jednak język rosyjski pozostał w zasadzie taki sam, jaki był przed przewrotem październikowym.

Co w tym okresie zmieniło się w języku rosyjskim? Zmieniło się w pewnej mierze słownictwo języka rosyjskiego, zmieniło się w tym sensie, że uzupełniła je znaczna ilość nowych słów i wyrażeń, które wytworzyły się w związku z powstaniem nowej produkcji socjalistycznej, z pojawieniem się nowego państwa, nowej kultury socjalistycznej, nowej społeczności, moralności i wreszcie w związku z rozwojem techniki i nauki; zmieniło się znaczenie szeregu słów i wyrażeń, które uzyskały nowe znaczenie pojęciowe; odpadła ze słownika pewna ilość wyrazów przestarzałych. Co się zaś tyczy podstawowego zasobu słów i struktury gramatycznej języka rosyjskiego, co stanowi podstawę języka, to po likwidacji bazy kapitalistycznej nie tylko nie zostały one zlikwidowane i zastąpione przez nowy podstawowy zasób słów i nową strukturę gramatyczną języka, lecz przeciwnie, zachowały się w całości i pozostały bez jakichkolwiek poważnych zmian — zachowały się właśnie jako podstawa współczesnego języka rosyjskiego.

Dalej. Nadbudowa wyrasta z bazy, ale nie znaczy to bynajmniej, że jest ona tylko odbiciem bazy, że jest bierna, neutralna, że zachowuje się obojętnie wobec losu swojej bazy, wobec losu klas, charakteru ustroju. Przeciwnie, skoro się zjawia, staje się ogromną, aktywną siłą, aktywnie dopomaga swej bazie w kształtowaniu się i utrwaleniu, czyni wszystko, aby dopomóc nowemu ustrojowi w dobiciu i zlikwidowaniu starej bazy i starych klas.

Bo też inaczej być nie może. Nadbudowę stwarza baza po to właśnie, by jej służyła, by aktywnie pomagała jej ukształtować się i utrwalić, by aktywnie walczyła o likwidację dawnej bazy, zbliżającej się do kresu swego życia wraz z jej dawną nadbudową. Wystarczy tylko, by nadbudowa wyrzekła się tej swojej służebnej roli, wystarczy tylko, by nadbudowa przeszła z pozycji czynnej obrony swej bazy na pozycje obojętnego stosunku do niej, na pozycje traktowania na równi poszczególnych klas — aby utraciła ona swą jakość i przestała być nadbudową.

Pod tym względem język różni się zasadniczo od nadbudowy. Język nie jest wytworem tej czy innej bazy, dawnej czy nowej bazy wewnątrz danego społeczeństwa, lecz wytworem całego przebiegu historii społeczeństwa i historii baz w ciągu stuleci. Nie został on stworzony przez jakąś jedną klasę, lecz przez całe społeczeństwo, przez wszystkie klasy społeczeństwa, wysiłkiem setek pokoleń. Został on stworzony dla zaspokojenia potrzeb nie jakiejś jednej tylko klasy, lecz całego społeczeństwa, wszystkich klas społeczeństwa. Właśnie dlatego powstał on jako język ogólnonarodowy, jeden dla całego społeczeństwa i wspólny dla wszystkich członków społeczeństwa. Wobec tego służebna rola języka jako środka komunikowania się ludzi nie polega na obsługiwaniu jednej klasy ze szkodą dla innych klas, lecz na jednakowym obsługiwaniu całego społeczeństwa, wszystkich klas społeczeństwa. Tym się właśnie tłumaczy, że język może jednakowo obsługiwać zarówno stary, umierający ustrój, jak i nowy wyrastający; zarówno dawną bazę, jak i nową, zarówno wyzyskiwaczy, jak i wyzyskiwanych.

Nie jest dla nikogo tajemnicą fakt, że język rosyjski równie dobrze obsługiwał rosyjski kapitalizm i rosyjską kulturę burżuazyjną przed przewrotem październikowym, jak obsługuje dzisiaj ustrój socjalistyczny i kulturę socjalistyczną społeczeństwa rosyjskiego.

To samo powiedzieć należy o języku ukraińskim, białoruskim, uzbeckim, kazachskim, azerbajdżańskim, baszkirskim, turkłotewskim, litewskim, mołdawskim, tatarskim, azerbajdżańskim, baszkirskim, turkmeńskim i o innych językach narodów radzieckich, które równie dobrze obsługiwały dawny ustrój burżuazyjny tych narodów, jak obsługują teraz nowy ustrój socjalistyczny. Inaczej być nie może. Język po to właśnie istnieje, po to został stworzony, by jako narzędzie komunikowania się ludzi służyć społeczeństwu jako całości, by być językiem wspólnym dla członków społeczeństwa i jednym dla całego społeczeństwa, obsługującym członków społeczeństwa na równi, niezależnie od ich sytuacji klasowej. Wystarczy tylko, by język zszedł z tej pozycji ogólnonarodowej, wystarczy tylko, by stanął na pozycji uprzywilejowania i popierania którejkolwiek bądź grupy socjalnej ze szkodą dla innych socjalnych grup społeczeństwa, aby utracił swą jakość, aby przestał być środkiem komunikowania się ludzi w społeczeństwie, aby przekształcił się w żargon którejś tylko grupy socjalnej, począł chylić się do upadku i skazał się na zagładę.

Pod tym względem język różniąc się zasadniczo od nadbudowy, nie różni się jednak od narzędzi produkcji, powiedzmy od maszyn, które są tak samo obojętne wobec klas, jak język i zupełnie tak samo mogą obsługiwać zarówno ustrój kapitalistyczny, jak i socjalistyczny.

Dalej. Nadbudowa jest wytworem jednej epoki, w ciągu której żyje i działa dana baza ekonomiczna. Toteż nadbudowa żyje niedługo, likwiduje się i znika wraz z likwidacją i zniknięciem danej bazy.

Język natomiast, przeciwnie, jest wytworem długiego szeregu epok, w przeciągu których kształtuje się, wzbogaca, rozwija się i szlifuje. Toteż język żyje niezrównanie dłużej niż jakakolwiek baza i jakakolwiek nadbudowa. Tym się właśnie tłumaczy, że powstanie i likwidacja nie tylko jednej bazy i jej nadbudowy, lecz i kilku baz oraz każdej odpowiadającej im nadbudowy, nie prowadzi w historii do likwidacji danego języka, do likwidacji jego struktury i do narodzin nowego języka o nowym zasobie słów i nowej budowie gramatycznej.

Od czasu śmierci Puszkina minęło przeszło 100 lat. W ciągu tego czasu w Rosji uległ likwidacji ustrój feudalny i kapitalistyczny i powstał trzeci ustrój, socjalistyczny. A zatem zlikwidowane zostały dwie bazy z ich nadbudowami i powstała nowa baza, socjalistyczna, ze swą nową nadbudową. Jeśli jednak weźmiemy na przykład język rosyjski, to w ciągu tego długiego okresu czasu nie uległ on żadnej radykalnej zmianie i współczesny język rosyjski niewiele różni się w swej strukturze od języka Puszkina.

Co w ciągu tego czasu zmieniło się w języku rosyjskim? Wzbogaciło się poważnie przez ten czas słownictwo języka rosyjskiego; odpadła z tego słownictwa duża ilość wyrazów przestarzałych; zmieniło się znaczenie pojęciowe znacznej ilości wyrazów; poprawiła się gramatyczna budowa języka. Co się tyczy struktury języka puszkinowskiego z jego budową gramatyczną i podstawowym zasobem słów, to zachowała się ona w całej swej istotnej treści jako podstawa współczesnego języka rosyjskiego.

Bo też jest to zupełnie zrozumiałe. Istotnie, w jakim celu właściwie istniejąca struktura języka, jego budowa gramatyczna i podstawowy zasób słów miałyby po każdym przewrocie ulegać zniszczeniu i ustępować miejsca nowym, jak to zwykle bywa z nadbudową? Komu to potrzebne, by „woda", „ziemia", „góra", „las", „ryba", „człowiek", „chodzić", „robić", „wytwarzać", „handlować" itd. nazywały się nie wodą, ziemią, górą itd., lecz jakoś inaczej? Komu to potrzebne, by odmiany wyrazów w języku i zestawienia wyrazów w zdaniu odbywały się nie według istniejącej gramatyki, lecz według jakiejś innej? Jaka byłaby korzyść dla rewolucji z takiego przewrotu w języku? Historia w ogóle nie robi nic istotnego bez szczególnej konieczności. Zachodzi pytanie, na czym polega konieczność takiego przewrotu językowego, skoro jest rzeczą dowiedzioną, że istniejący język ze swą strukturą jest w zasadzie całkowicie przydatny do zaspokojenia potrzeb nowego ustroju? Można i należy zniszczyć dawną nadbudowę i zastąpić ją nową w ciągu kilku lat, by stworzyć pole dla rozwoju sił wytwórczych społeczeństwa; jak wszakże zniszczyć istniejący język i zbudować zamiast niego nowy język w ciągu kilku lat, nie wprowadzając anarchii do życia społecznego, nie stwarzając groźby rozpadu społecznego? Któż prócz donkiszotów może stawiać sobie takie zadanie?

Wreszcie jest jeszcze jedna kardynalna różnica między nadbudową i językiem. Nadbudowa nie jest bezpośrednio związana z produkcją, z działalnością produkcyjną człowieka. Jest ona związana z produkcją jedynie pośrednio, za pośrednictwem ekonomiki, za pośrednictwem bazy. Dlatego też nadbudowa nie od razu i nie bezpośrednio odzwierciedla zmiany w poziomie rozwoju sił wytwórczych, lecz po zmianach w bazie, poprzez przełamywanie się zmian w produkcji — w zmianach w bazie. Znaczy to, że strefa działania nadbudowy jest wąska i ograniczona.

Język natomiast, przeciwnie, związany jest bezpośrednio z działalnością produkcyjną człowieka, i nie tylko z działalnością produkcyjną, lecz także z wszelką inną działalnością człowieka we wszystkich sferach jego pracy, od produkcji do bazy, od bazy do nadbudowy. Dlatego też język odzwierciedla zmiany w produkcji od razu i bezpośrednio, nie czekając na zmiany w bazie. Dlatego też sfera działania języka, który obejmuje wszystkie dziedziny działalności człowieka, jest o wiele szersza i bardziej różnorodna, niż sfera działania nadbudowy. Co więcej, jest ona niemal że nieograniczona.

Tym się właśnie przede wszystkim tłumaczy, że język, ściśle jego słownictwo, znajduje się w stanie nieustannych prawie zmian. Nieustanny rozwój przemysłu i rolnictwa, handlu i transportu, techniki i nauki, wymaga od języka uzupełniania jego słownika przez nowe wyrazy i wyrażenia, nieodzownie w ich pracy. Język odzwierciedlając bezpośrednio te potrzeby, uzupełnia swój słownik nowymi wyrazami, doskonali swą budowę gramatyczną.

Tak więc:

a) marksista nie może uważać języka za nadbudowę bazy;

b) mylić język z nadbudową — znaczy to popełniać poważny błąd.

PYTANIE: Czy słuszne jest, że język był zawsze i nadal pozostaje klasowy, że nie ma jednego i wspólnego języka dla całego społeczeństwa, języka nieklasowego, ogólnonarodowego?

ODPOWIEDŹ: Nie, niesłuszne.

Nie trudno zrozumieć, że w społeczeństwie, w którym nie ma klas, nie może być też mowy o języku klasowym. Pierwotny ustrój wspólnoty rodowej nie znał klas, a zatem nie mógł tam również istnieć język klasowy. Język był tam jeden, wspólny dla całej zbiorowości. Argument, że przez klasę rozumieć należy wszelką zbiorowość ludzką, nie wyłączając również zbiorowości wspólnoty pierwotnej, nie jest argumentem, lecz grą słów, która nie zasługuje na to, by ją obalać. Jeśli chodzi o dalszy rozwój — od języków rodowych do języków plemiennych, od języków plemiennych do języków narodowości i od języków narodowości do języków narodowych — to wszędzie, we wszystkich stadiach rozwoju, język jako środek komunikowania się ludzi w społeczeństwie był jeden i wspólny dla społeczeństwa, obsługując na równi członków społeczeństwa niezależnie od ich sytuacji społecznej.

Nie mam tu na myśli imperiów okresu niewolniczego i średniowiecznego, powiedzmy imperium Cyrusa i Aleksandra Wielkiego, lub imperium Cezara i Karola Wielkiego, które nie miały własnej bazy ekonomicznej i stanowiły przejściowe i nietrwałe związki wojskowo - administracyjne. Imperia te nie tylko nie miały, lecz nie mogły mieć jednego języka dla całego imperium, zrozumiałego dla wszystkich członków imperium. Stanowiły one konglomerat plemion i narodowości, które żyły własnym życiem i posiadały swe własne języki. Mam więc na myśli nie te i temu podobne imperia, lecz te plemiona i narodowości, które wchodziły w skład imperium, miały swą bazę ekonomiczną i miały swe od dawna ukształtowane języki. Historia dowodzi, że języki tych plemion i narodowości nie były klasowe, lecz ogólnonarodowe, wspólne dla plemion i narodowości i zrozumiałe dla nich.

Oczywiście, były obok tego dialekty, miejscowe narzecza, ale górował nad nimi i podporządkowywał je sobie jeden wspólny język plemienia lub narodowości.

Później, z chwilą gdy pojawił się kapitalizm, gdy zlikwidowane zostało rozdrobnienie feudalne i powstał rynek narodowy, narodowości rozwinęły się w narody, a języki narodowości — w języki narodowe. Historia dowodzi, że języki narodowe nie są językami klasowymi, lecz językami ogólnonarodowymi, wspólnymi dla członków narodu i jedynymi dla całego narodu.

Stwierdzono powyżej, że język jako środek komunikowania się ludzi w społeczeństwie, obsługuje na równi wszystkie klasy społeczeństwa i wykazuje pod tym względem swoistą obojętność wobec klas. Jednakże ludzie, poszczególne grupy społeczne, klasy nie są bynajmniej obojętne w stosunku do języka. Usiłują one wykorzystać język we własnym interesie, narzucić mu swój szczególny leksykon, swe szczególne terminy, swe szczególne wyrażenia. Pod tym względem wyróżniają się zwłaszcza górne warstwy klas posiadających, które oderwały się od narodu i nienawidzą go: arystokracja szlachecka, górne warstwy burżuazji. Powstają „klasowe" dialekty, żargony, „języki" salonowe. W literaturze dość często te dialekty i żargony kwalifikuje się niesłusznie jako języki: „język szlachecki", „język burżuazyjny" — w przeciwieństwie do „języka proletariackiego", „języka chłopskiego". Na tej podstawie, jakkolwiek może się to wydać dziwne, niektórzy nasi towarzysze doszli do wniosku, że język narodowy jest fikcją, że realnie istnieją tylko języki klasowe.

Sądzę, że nie ma nic bardziej błędnego, niż taki wniosek. Czy można te dialekty i żargony uważać za języki? Stanowczo nie można. Nie można, po pierwsze, dlatego, że te dialekty i żargony nie mają własnej budowy gramatycznej i podstawowego zasobu słów, lecz zapożyczają je z języka narodowego. Nie można, po wtóre, dlatego, że dialekty i żargony mają wąską sferę obiegu wśród członków górnej warstwy tej lub innej klasy i zupełnie nie nadają się, jako środek komunikowania się ludzi, dla społeczeństwa jako całości. Cóż więc one mają? Mają one: określony zasób pewnych specyficznych wyrazów, odzwierciedlających specyficzne gusty arystokracji lub górnych warstw burżuazji; pewną ilość wyrazów i zwrotów, różniących się wyszukaniem, galanterią i wolnych od „ordynarnych" wyrażeń i zwrotów języka narodowego; wreszcie pewną ilość wyrazów obcych. Jednakże podstawa, to znaczy przytłaczająca większość wyrazów i budowa gramatyczna — zaczerpnięte są z ogólnonarodowego języka danego narodu. Tak więc, dialekty i żargony stanowią odgałęzienia ogólnonarodowego języka danego narodu, pozbawione wszelkiej samodzielności językowej i skazane na wegetację. Sądzić, że dialekty i żargony mogą rozwinąć się w samodzielne języki, które potrafią wyprzeć i zastąpić język narodowy — to znaczy zatracić perspektywę historyczną i zejść z pozycji marksistowskich.

Powołują się na Marksa, cytują pewien ustęp z jego artykułu „Święty Maks", gdzie powiedziane jest, że burżua ma „swój własny język", że język ten „jest wytworem burżuazji", że jest on przesiąknięty duchem merkantylizmu i kupna — sprzedaży. Przy pomocy tego cytatu niektórzy towarzysze chcą dowieść, że Marks opowiadał się rzekomo za „klasowością" języka, że negował istnienie jednego wspólnego języka narodowego. Gdyby ci towarzysze mieli do tej sprawy stosunek obiektywny, powinniby przytoczyć również drugi cytat z tego samego artykułu „Święty Maks", gdzie Marks, nawiązując do zagadnienia dróg kształtowania się jednego wspólnego języka narodowego, mówił o „koncentracji dialektów w jeden język narodowy, uwarunkowanej koncentracją ekonomiczną i polityczną".

A zatem Marks uznawał konieczność istnienia **jednego** języka narodowego jako formy wyższej, której podporządkowane są dialekty, jako formy niższe.

Czymże jest w takim razie język burżua, który według wyrażenia Marksa „jest wytworem burżuazji". Czy Marks uważał go za taki sam język, jak język narodowy z jego szczególną strukturą językową? Czy mógł uważać go za taki język? Oczywiście, że nie! Marks po prostu chciał przez to powiedzieć, że burżua zapaskudzili wspólny język narodowy swym kramarskim leksykonem, że burżua zatem mają swój żargon kramarski. Wynika z tego, że towarzysze ci wypaczyli stanowisko Marksa. A wypaczyli je dlatego, że cytowali Marksa nie jak marksiści, lecz jak tępi erudyci, nie wnikając w istotę rzeczy.

Powołują się na cytat z broszury Engelsa pt. „Położenie klasy robotniczej w Anglii", że: „...Z biegiem czasu angielska klasa robotnicza stała się zupełnie innym narodem niż burżuazja angielska", że „robotnicy mówią innym dialektem, mają inne idee i wyobrażenia, inne obyczaje i zasady moralne, inną religię i politykę niż burżuazja". Na podstawie tego cytatu niektórzy towarzysze wyprowadzają wniosek, że Engels negował konieczność istnienia ogólnonarodowego języka danego narodu, że opowiadał się zatem za „klasowością" języka. Wprawdzie Engels mówi tu nie o języku, lecz o dialekcie, rozumiejąc doskonale, że dialekt jako odgałęzienie języka narodowego nie może zastąpić samego języka narodowego. Ale, jak widać, towarzyszom tym nie bardzo przypada do gustu istnienie różnicy między językiem a dialektem...

Jest rzeczą oczywistą, że cytat przytoczony jest nie na miejscu, Engels bowiem mówi tu nie o „językach klasowych", lecz w głównej mierze o klasowych ideach, wyobrażeniach, obyczajach, zasadach moralnych, religii i polityce. Zupełnie słuszne jest, że idee, wyobrażenia, obyczaje, zasady moralne, religia, polityka burżua i proletariuszy są wręcz przeciwstawne. Ale co ma z tym wspólnego język narodowy, albo „klasowość" języka? Czy istnienie sprzeczności klasowych w społeczeństwie może służyć jako dowód na rzecz „klasowości" języka, bądź też być argumentem przemawiającym przeciwko konieczności jednego języka narodowego? Marksizm głosi, że wspólność języka jest jedną z najważniejszych cech narodu, wiedząc przy tym doskonale, że wewnątrz narodu istnieją sprzeczności klasowe. Czy wzmiankowani towarzysze uznają tę marksistowską tezę?

Powołują się na Lafargue'a, wskazując na to, że Lafargue w swej broszurze „Język a rewolucja" uznaje „klasowość" języka, że neguje rzekomo konieczność istnienia ogólnonarodowego języka danego narodu. To nieprawda. Lafargue rzeczywiście wspomina o języku „szlacheckim", czy też „arystokratycznym", o „żargonach" rozmaitych warstw społeczeństwa. Towarzysze ci zapominają jednak, że Lafargue nie interesując się kwestią różnicy między językiem i żargonem i określając dialekty bądź jako „mowę sztuczną", bądź jako „żargon" — wyraźnie oświadcza w swej broszurze, że „mowa sztuczna cechująca arystokrację... wyodrębniła się z języka ogólnonarodowego, którym mówili zarówno burżua jak i rzemieślnicy, miasto i wieś".

A zatem Lafargue uznaje istnienie i konieczność języka ogólnonarodowego, rozumiejąc doskonale, że „język arystokratyczny" oraz inne dialekty i żargony podporządkowane są językowi ogólnonarodowemu i od niego zależne.

Okazuje się, że powoływanie się na Lafargue'a mija się z celem.

Powołują się na to, że w pewnym okresie w Anglii feudałowie angielscy „w ciągu całych stuleci" mówili po francusku, podczas gdy naród angielski mówił po angielsku, że okoliczność ta stanowi rzekomo dowód na rzecz „klasowości" języka i przeciwko konieczności języka ogólnonarodowego.

Nie jest to jednak dowód, lecz jakaś anegdota. Po pierwsze po francusku mówili wówczas nie wszyscy feudałowie, lecz nieliczna górna warstwa feudałów angielskich, rezydujących na dworze królewskim i w hrabstwach. Po drugie, mówili oni nie jakimś językiem „klasowym", lecz zwykłym ogólnonarodowym językiem francuskim. Po trzecie, jak wiadomo, to bawienie się językiem francuskim znikło później bez śladu, ustępując miejsca ogólnonarodowemu językowi angielskiemu. Czyż towarzysze ci sądzą, że feudałowie angielscy i naród angielski „w ciągu stuleci" porozumiewali się ze sobą za pośrednictwem tłumaczy, że feudałowie angielscy nie używali języka angielskiego, że ogólnonarodowy język angielski wówczas nie istniał, że język francuski był wówczas w Anglii czymś więcej niż językiem salonowym, który był w użyciu jedynie w ciasnym gronie górnej warstwy arystokracji angielskiej? Jak można na podstawie takich anegdotycznych „dowodów" negować istnienie i konieczność języka ogólnonarodowego?

W pewnym okresie arystokraci rosyjscy również bawili się językiem francuskim na dworze carskim i w salonach. Chełpili się, że mówiąc po rosyjsku, jąkają się po francusku, że umieją mówić po rosyjsku jedynie z akcentem francuskim. Czy znaczy to, że w Rosji nie było wówczas ogólnonarodowego języka rosyjskiego, że język ogólnonarodowy był wówczas fikcją, a „języki klasowe" — rzeczywistością?

Towarzysze nasi popełniają tu co najmniej dwa błędy. Pierwszy błąd polega na tym, że mylą oni język z nadbudową. Sądzą oni, że skoro nadbudowa ma charakter klasowy, to i język powinien być nie ogólnonarodowy, lecz klasowy. Mówiłem już jednak wyżej, że język i nadbudowa, to dwa różne pojęcia, że marksiście nie wolno ich mylić.

Drugi błąd polega na tym, że towarzysze ci ujmują przeciwieństwo interesów burżuazji i proletariatu, ich zaciekłą walkę klasową jako rozpad społeczeństwa, jako zerwanie wszelkich związków między wrogimi klasami.

Uważają oni, że skoro społeczeństwo się rozpadło i nie ma już jednolitego społeczeństwa, lecz istnieją tylko klasy, to niepotrzebny też jest wspólny język dla społeczeństwa, to niepotrzebny jest język narodowy. Cóż więc pozostaje, skoro nastąpił rozpad społeczeństwa i nie ma już ogólnonarodowego języka danego narodu? Pozostają klasy i „języki klasowe". Zrozumiałe jest, że każdy „język klasowy" będzie miał własną „klasową gramatykę" — gramatykę „proletariacką", gramatykę „burżuazyjną". Co prawda, gramatyk takich nie ma na świecie, ale fakt ten wcale nie zbija tych towarzyszy z tropu: wierzą, że takie gramatyki powstaną.

W swoim czasie byli u nas „marksiści" którzy twierdzili, że koleje, które pozostały w naszym kraju po przewrocie październikowym, są burżuazyjne i że nam, marksistom, nie przystoi z nich korzystać, że należy je zrównać z ziemią i zbudować nowe, „proletariackie" koleje. Zyskali sobie za to przydomek „jaskinioweów"...

Zrozumiałe, że taki prymitywnie anarchiczny pogląd na społeczeństwo, na klasy, na język nie ma nic wspólnego z marksizmem. Istnieje on jednak niewątpliwie nadal i żyje w głowach pewnych naszych zbałamuconych towarzyszy.

W sprawie marksizmu w językoznawstwie

Oczywiście nie jest prawdą, że wobec istnienia zaciekłej walki klasowej społeczeństwo rzekomo rozpadło się na klasy nie związane ze sobą więzami ekonomicznymi w ramach jednego społeczeństwa. Przeciwnie. Dopóki istnieje kapitalizm, burżua i proletariusze związani będą ze sobą wszystkimi nićmi ekonomiki, jako części składowe jednego społeczeństwa kapitalistycznego. Burżua nie mogą żyć i wzbogacać się nie mając do dyspozycji robotników najemnych, proletariusze nie mogą kontynuować swego bytu, nie najmując się do pracy u kapitalistów. Zerwanie wszelkich więzi ekonomicznych między nimi oznacza przerwanie wszelkiej produkcji, a przerwanie wszelkiej produkcji prowadzi do zagłady społeczeństwa, do zagłady samych klas. Rozumie się, że żadna klasa nie zechce pójść na zagładę. Dlatego też walka klasowa, choćby była najostrzejsza, nie może doprowadzić do rozpadu społeczeństwa. Jedynie ignorancja w kwestiach marksizmu i całkowite niezrozumienie natury języka mogło podyktować niektórym naszym towarzyszom bajeczkę o rozpadzie społeczeństwa, o językach „klasowych", o „klasowych" gramatykach.

Powołuja sie dalej na Lenina i przypominają, że Lenin uznawał istnienie dwóch kultur w warunkach kapitalizmu, burżuazyjnej i proletariackiej, że hasło kultury narodowej w warunkach kapitalizmu jest hasłem nacionalistycznym. Wszystko to prawda i Lenin ma tu absolutną słuszność. Ale co ma z tym wspólnego „klasowość" języka? Powołując się na słowa Lenina o dwóch kulturach w warunkach kapitalizmu, towarzysze ci pragną, jak widać, zasugerować czytelnikowi, że istnienie dwóch kultur w społeczeństwie, burżuazyjnej i proletariackiej, oznacza, że powinny również istnieć dwa języki, język bowiem związany jest z kulturą — a zatem Lenin neguje konieczność jednego języka narodowego, a zatem Lenin opowiada się za językami „klasowymi". Błąd tych towarzyszy polega tu na tym, że utożsamiają i mylą język z kulturą. A tymczasem kultura i język — to dwie różne rzeczy. Kultura może być i burżuazyjna i socjalistyczna, język natomiast, jako środek komunikowania się ludzi, jest zawsze językiem ogólnonarodowym i może obsługiwać zarówno kulturę burżuazyjną, jak i socjalistyczną. Czyż to nie fakt, że język rosyjski, ukraiński, uzbecki obsługują dziś kulturę socjalistyczną tych narodów równie dobrze, jak przed przewrotem październikowym obsługiwały ich kultury burżuazyjne? Znaczy to, że towarzysze ci mylą się głęboko, twierdząc, że istnienie dwóch różnych kultur prowadzi do ukształtowania się dwóch różnych języków i do negowania konieczności wspólnego języka.

Mówiąc o dwóch kulturach, Lenin wychodził właśnie z założenia, że istnienie dwóch kultur nie może prowadzić do negowania wspólnego języka i utworzenia się dwóch języków, że język powinien być jeden. Gdy bundowcy poczęli oskarżać Lenina o to, że neguje on konieczność języka narodowego i traktuje kulturę jako „bezNarodową", Lenin, jak wiadomo, ostro protestował przeciwko temu, oświadczając, że zwalcza kulturę burżuazyjną, lecz nie język narodowy, którego konieczność uważa za bezsporną. Dziwne jest, że niektórzy nasi towarzysze wloką się śladami bundowców.

Co się tyczy wspólnego języka, którego konieczność rzekomo neguje Lenin, należałoby przypomnieć sobie następujące słowa Lenina:

„Język jest najważniejszym środkiem komunikowania się ludzi; jedność języka i nieskrępowany jego rozwój — to jeden z najważniejszych warunków rzeczywiście wolnego i szerokiego obrotu handlowego, odpowiadającego współczesnemu kapitalizmowi, swobodnego i szerokiego grupowania się ludności według poszczególnych klas".

Okazuje się, że szanowni towarzysze wypaczyli poglądy Lenina.

Powołują się wreszcie na Stalina, przytaczając cytat ze Stalina, że „burżuazja i jej partie nacjonalistyczne były i pozostają w tym okresie główną siłą kierowniczą takich narodów". Wszystko to jest słuszne. Burżuazja i jej partia nacjonalistyczna rzeczywiście nadaje kierunek kulturze burżuazyjnej, tak samo jak proletariat i jego partia internacjonalistyczna nadaje kierunek kulturze proletariackiej. Cóż jednak ma z tym wspólnego „klasowość" języka? Czyżby ci towarzysze nie wiedzieli, że język narodowy jest formą kultury narodowej, że język narodowy może obsługiwać zarówno kulturę burżuazyjną, jak i socjalistyczną? Czyżby nasi towarzysze nie byli obeznani ze znanym sformułowaniem marksistów, stwierdzającym, że obecna kultura rosyjska, ukraińska, białoruska i inne są socjalistyczne w treści i narodowe w formie, to znaczy pod względem języka? Czy zgadzają się oni z tym marksistowskim sformułowaniem?

Błąd naszych towarzyszy polega tu na tym, że nie widzą różnicy między kulturą a językiem i nie rozumieją, że kultura zmienia się w swej treści z każdym nowym okresem rozwoju społeczeństwa, podczas gdy język pozostaje zasadniczo tym samym językiem na przestrzeni kilku okresów, obsługując jednakowo zarówno nową kulturę, jak i dawną.

A więc:

a) język jako środek komunikowania się zawsze był i pozostaje jeden dla społeczeństwa i wspólny dla jego członków;

b) istnienie dialektów i żargonów nie neguje, lecz potwierdza istnienie języka ogólnonarodowego, są one jego odgałęzieniami i są mu podporządkowane;

c) formuła „klasowości" języka jest formułą błędną, niemarksistowską.

PYTANIE: Jakie są charakterystyczne cechy języka?

ODPOWIEDŹ: Język należy do zjawisk społecznych, działających przez cały czas istnienia społeczeństwa. Rodzi się on i rozwija wraz z narodzinami i rozwojem społeczeństwa. Umiera wraz ze śmiercią społeczeństwa. Poza społeczeństwem nie ma języka. Dlatego też język i prawa jego rozwoju można zrozumieć tylko w tym wypadku, gdy bada się go w nierozerwalnym związku z historią społeczeństwa, z historią narodu, do którego badany język należy i który jest twórcą i nosicielem tego języka.

Język jest środkiem, narzędziem, przy którego pomocy ludzie komunikują się ze sobą, wymieniają myśli i osiągają wzajemne zrozumienie. Jako związany bezpośrednio z myśleniem, język rejestruje i utrwala w słowach i w zestawieniach słów, w zdaniach, wyniki pracy myślenia, osiągnięcia pracy poznawczej człowieka i w ten sposób umożliwia wymianę myśli w społeczeństwie ludzkim.

Wymiana myśli jest stałą i żywotną koniecznością, gdyż bez niej nie można zorganizować wspólnego działania ludzi w walce z siłami przyrody, w walce o produkcję niezbędnych dóbr materialnych, nie można osiągnąć sukcesów w działalności produkcyjnej społeczeństwa — niemożliwe jest zatem samo istnienie produkcji społecznej. A zatem, bez języka zrozumiałego dla społeczeństwa i wspólnego dla jego członków, społeczeństwo zaprzestaje produkować, rozpada się i przestaje istnieć jako społeczeństwo. W tym sensie język jako narzędzie obcowania jest zarazem narzędziem walki i rozwoju społeczeństwa.

Jak wiadomo, wszystkie wyrazy istniejące w języku, stanowią razem tzw. słownictwo języka. Rzeczą główną w słownictwie języka jest podstawowy zasób słów, do którego wchodzą wszystkie pierwiastkowe wyrazy, jako jego jądro. Jest on znacznie mniej obszerny niż słownictwo języka, lecz żyje bardzo długo, w ciągu stuleci i dostarcza językowi bazy do tworzenia nowych wyrazów. Słownictwo jest odbiciem stanu języka: im bogatsze i różnorodniejsze jest słownictwo, tym bogatszy i bardziej rozwinięty jest język.

Jednakże słownictwo samo przez się nie jest jeszcze językiem — jest ono raczej materiałem budowlanym języka. Podobnie jak materiały budowlane w budownictwie nie stanowią gmachu, chociaż bez nich zbudowanie gmachu jest niemożliwe, tak i słownictwo języka nie stanowi samego języka, chociaż bez niego żaden język jest nie do pomyślenia. Ale słownictwo języka uzyskuje ogromne znaczenie, gdy zostaje oddane do dyspozycji gramatyki języka, która określa reguły odmiany wyrazów, reguły łączenia wyrazów w zdania i w ten sposób nadaje językowi harmonijny, świadomy charakter. Gramatyka (morfologia, składnia) jest zbiorem reguł odmiany wyrazów i łączenia wyrazów w zdaniu. A zatem właśnie dzięki gramatyce język uzyskuje możność przyoblekania myśli ludzkich w materialną szatę językową.

Cecha wyróżniająca gramatyki polega na tym, że podaje ona reguły odmiany wyrazów, mając na względzie nie konkretne wyrazy, lecz wyrazy w ogóle, bez jakiejkolwiek konkretności; podaje ona reguły budowy zdań, mając na względzie nie jakieś konkretne zdania, powiedzmy konkretny podmiot, konkretne orzeczenie itp., lecz wszelkie zdania w ogóle, niezależnie od konkretnej formy tego lub owego zdania. A zatem, abstrahując od tego, co poszczególne i konkretne, zarówno jeśli chodzi o wyrazy, jak i o zdania, gramatyka bierze to co jest ogólne, co leży u podstaw odmiany wyrazów i łączenia wyrazów w zdania oraz buduje z tego reguły gramatyczne, prawa gramatyczne. Gramatyka jest wynikiem długotrwałej, abstrahującej pracy myślenia ludzkiego, wskaźnikiem ogromnych postępów myślenia.

Pod tym względem gramatyka przypomina geometrię, która układa swe prawa abstrahując od konkretnych przedmiotów, rozpatrując przedmioty jako ciała pozbawione konkretności i określając stosunki między nimi nie jako konkretne stosunki jakichś konkretnych przedmiotów, lecz jako stosunki ciał w ogóle, pozbawione wszelkiej konkretności.

W odróżnieniu od nadbudowy, która jest związana z produkcją nie bezpośrednio, lecz za pośrednictwem ekonomiki, język związany jest bezpośrednio z działalnością produkcyjną człowieka, tak samo jak i z wszelką inną działalnością we wszystkich bez wyjątku dziedzinach jego pracy. Toteż słownictwo języka, jako najbardziej czułe na zmiany, znajduje się w stanie nieomal nieprzerwanych przemian, przy czym w odróżnieniu od nadbudowy język nie musi czekać na likwidację bazy, wprowadza bowiem zmiany do swego słownictwa przed likwidacją bazy i niezależnie od jej stanu.

Jednakże słownictwo języka zmienia się nie jako nadbudowa, nie drogą zniesienia tego, co stare i budowy nowego, lecz drogą uzupełnienia istniejącego słownika nowymi wyrazami, powstałymi w związku ze zmianami ustroju socjalnego, z rozwojem produkcji, z rozwojem kultury, nauki itp. Przy tym, mimo, że ze słownictwa językowego zwykle wypada pewna ilość wyrazów przestarzałych, przybywa mu znacznie większa ilość wyrazów nowych. Jeśli zaś chodzi o podstawowy zasób słów, to utrzymuje się on we wszystkim, co jest w nim istotne i wykorzystywany jest jako podstawa słownictwa języka. Jest to zrozumiałe. Nie ma żadnej konieczności likwidowania podstawowego zasobu słów, jeśli może on być z powodzeniem wykorzystywany w ciągu szeregu okresów historycznych, nie mówiąc już o tym, że likwidacja podstawowego zasobu słów nagromadzonego w ciągu stuleci, wobec niemożności stworzenia nowego podstawowego zasobu słów w ciągu krótkiego czasu, doprowadziła by do sparaliżowania języka, do zupełnej dezorganizacji komunikowania się ludzi.

Budowa gramatyczna języka zmienia się jeszcze bardziej powoli, aniżeli jego podstawowy zasób słów. Budowa gramatyczna, która wypracowana została na przestrzeni epok i stała się częścią organiczną języka, zmienia się jeszcze wolniej, aniżeli podstawowy zasób słów. Ulega ona oczywiście z biegiem czasu zmianom, doskonali, ulepsza, precyzuje swe reguły, wzbogaca się o nowe reguły, ale podstawy budowy gramatycznej utrzymują się w ciągu bardzo długiego czasu, gdyż mogą one, jak o tym świadczy historia, z powodzeniem obsługiwać społeczeństwo w ciągu szeregu epok.

Tak więc, gramatyczna budowa języka i jego podstawowy zasób słów stanowią podstawę języka, istotę jego specyfiki.

Historia stwierdza wielką trwałość i olbrzymią odporność języka wobec przymusowej asymilacji. Niektórzy historycy, zamiast wyjaśnić to zjawisko, ograniczają się do zdziwienia. Ale do zdziwienia nie ma tu żadnych podstaw. Trwałość języka tłumaczy się trwałością jego budowy gramatycznej i podstawowego zasobu słów. W ciągu stuleci asymilatorzy tureccy usiłowali okaleczyć, zburzyć i zniszczyć języki narodów bałkańskich. W ciągu tego okresu słownictwo języków bałkańskich uległo poważnym zmianom, wchłonęło wiele słów i wyrażeń tureckich, były „zbliżanie się", i „oddalanie się", jednakże języki bałkańskie wytrwały i przeżyły. Dlaczego? Dlatego, że budowa gramatyczna i podstawowy zasób słów tych języków w zasadzie się utrzymał.

Z tego wszystkiego wynika, że języka, jego struktury nie można traktować jako wytworu jakiejś pojedyńczej epoki. Struktura języka, jego budowa gramatyczna i podstawowy zasób słów są wytworem szeregu epok.

Należy przypuszczać, że elementy współczesnego języka powstały już w zamierzchłej starożytności, przed epoką niewolnictwa. Był to język nieskomplikowany, o niezwykle ubogim zasobie słów, ale z własną budową gramatyczną, co prawda prymitywną, ale jednak budową gramatyczną.

Dalszy rozwój produkcji, pojawienie się klas, pojawienie się piśmiennictwa, narodziny państwa, któremu dla celów administracji potrzebna była mniej lub bardziej uporządkowana korespondencja, rozwój handlu, który jeszcze bardziej potrzebował uporządkowanej korespondencji, pojawienie się prasy drukarskiej, rozwój literatury — wszystko to spowodowało wielkie zmiany w rozwoju języka. Przez ten czas plemiona i narodowości rozdrabniały się i rozszczepiały, mieszały się i krzyżowały, później pojawiły się narodowe języki i państwa, dokonały się przewroty rewolucyjne, dawne ustroje społeczne ustąpiły miejsca nowym. Wszystko to pociągnęło za sobą jeszcze większe zmiany w języku i jego rozwoju.

Byłoby jednak wielkim błędem sądzić, że rozwój języka odbywał się w ten sam sposób, jak rozwój nadbudowy: drogą unicestwienia tego co istniało i budowania nowego. W istocie rzeczy rozwój języka odbywał się nie drogą unicestwienia języka istniejącego i budowy nowego, lecz drogą rozwijania i doskonalenia podstawowych elementów istniejącego języka. Przejście od jednej jakości języka do innej odbywało się przy tym nie drogą wybuchu, nie drogą unicestwienia za jednym zamachem tego co stare i budowy nowego, lecz drogą stopniowego i długotrwałego gromadzenia elementów nowej jakości, nowej struktury języka, drogą stopniowego obumierania elementów dawnej jakości.

Powiadają, że teoria stadialnego rozwoju języka jest teorią marksistowską, uznaje bowiem konieczność nagłych wybuchów jako warunku przejścia języka od dawnej jakości do nowej. Jest to oczywiście niesłuszne, trudno bowiem znaleźć cokolwiek marksistowskiego w tej teorii. A jeśli teoria stadialności rzeczywiście uznaje nagłe wybuchy w historii rozwoju języka, tym gorzej dla niej. Marksizm nie uznaje nagłych wybuchów w rozwoju języka, nagłej śmierci istniejącego języka i nagłej budowy nowego języka. Lafargue nie miał racji, gdy mówił o „nagłej rewolucji językowej, która dokonała się między rokiem 1789 i 1794" we Francji (patrz broszurę Lafargue'a „Język a rewolucja"). Żadnej rewolucji językowej, a tym bardziej nagłej, we Francji wówczas nie było. Rzecz oczywista, że w ciągu tego okresu słownictwo języka francuskiego wzbogaciło się o nowe słowa i wyrażenia, odpadła pewna ilość wyrazów przestarzałych, zmieniło się znaczenie pojęciowe niektórych wyrazów i to wszystko. Takie jednak zmiany wcale nie decydują o losie języka. Rzecz główna w języku — to jego budowa gramatyczna i podstawowy zasób słów. Jednakże budowa gramatyczna i podstawowy zasób słów języka francuskiego nie tylko nie zniknęły w okresie francuskiej rewolucji burżuazyjnej, lecz utrzymały się bez istotnych zmian, i nie tylko się utrzymały, lecz żyją do dziś dnia we współczesnym języku francuskim. Nie mówię już o tym, że dla likwidacji istniejącego języka i budowy nowego języka narodowego („nagła rewolucja językowa"!) okres pięciu — sześciu lat jest śmiesznie krótki — do tego potrzebne są stulecia.

Marksizm uważa, że przejście języka od dawnej jakości do nowej odbywa się nie drogą wybuchu, nie drogą unicestwienia istniejącego języka i stworzenia nowego, lecz drogą stopniowego gromadzenia elementów nowej jakości, a więc drogą stopniowego obumierania elementów dawnej jakości.

W ogóle trzeba powiedzieć, do wiadomości towarzyszy pasjonujących się wybuchami, że prawo przechodzenia od dawnej jakości do nowej drogą wybuchu nie daje się zastosować nie tylko do historii rozwoju języka — nie zawsze daje się ono zastosować również do innych zjawisk społecznych, należących do kategorii bazy lub nadbudowy.

Obowiązuje ono w stosunku do społeczeństwa podzielonego na wrogie klasy. Nie ma ono natomiast zupełnie mocy obowiązującej dla społeczeństwa nie mającego wrogich klas. W ciągu ośmiu — dziesięciu lat zrealizowaliśmy w rolnictwie naszego kraju przejście od ustroju burżuazyjnego, indywidualno-chłopskiego do socjalistycznego ustroju kołchozowego. Była to rewolucja, która zlikwidowała dawny burżuazyjny ustrój gospodarczy wsi i stworzyła nowy ustrój socjalistyczny. Jednakże ten przewrót dokonał się nie drogą wybuchu, tj. nie drogą obalenia istniejącej władzy i utworzenia nowej władzy, lecz drogą stopniowego przejścia od dawnego burżuazyjnego ustroju wsi do nowego. Udało się zaś tego dokonać dlatego, że była to rewolucja od góry, że przewrót nastąpił z inicjatywy istniejącej władzy, przy poparciu podstawowych mas chłopstwa.

Powiadają, że liczne fakty skrzyżowania języków, jakie zachodziły w dziejach, dają podstawę do przypuszczenia, że przy skrzyżowaniu następuje wytworzenie się nowego języka drogą wybuchu, drogą nagłego przejścia od starej jakości do nowej. Jest to zupełnie niesłuszne.

Skrzyżowanie języków nie może być traktowane jako jednorazowy akt rozstrzygającego ciosu, dający wyniki w ciągu kilku lat. Skrzyżowanie języków jest długotrwałym procesem, trwającym setki lat. Toteż o żadnych wybuchach nie może być tutaj mowy.

Dalej. Byłoby zupełnie niesłuszne sądzić, że w wyniku skrzyżowania, powiedzmy, dwóch języków otrzymuje się nowy, trzeci język, niepodobny do żadnego ze skrzyżowanych języków i różniący się jakościowo od każdego z nich. W istocie rzeczy, przy skrzyżowaniu jeden z języków wychodzi zwykle zwycięsko, zachowuje swoją budowę gramatyczną, swój podstawowy zasób słów i rozwija się w dalszym ciągu zgodnie z wewnętrznymi prawami swego rozwoju, podczas gdy drugi język traci stopniowo swą jakość i stopniowo obumiera.

A zatem skrzyżowanie nie daje jakiegoś nowego, trzeciego języka, lecz zachowuje jeden z języków, zachowuje jego budowę gramatyczną i podstawowy zasób słów oraz umożliwia mu rozwój według wewnętrznych praw swego rozwoju.

Wprawdzie następuje przy tym pewne wzbogacenie słownictwa języka zwycięskiego kosztem języka zwyciężonego, ale to nie osłabia go, lecz przeciwnie, wzmacnia.

Tak było na przykład z językiem rosyjskim, z którym krzyżowały się w toku rozwoju historycznego języki szeregu innych narodów i który zawsze wychodził z tego zwycięsko.

Oczywiście, słownictwo języka rosyjskiego uzupełniało się przy tym, czerpiąc ze słownictwa innych języków, ale to nie tylko nie osłabiło, lecz przeciwnie, wzbogaciło i wzmocniło język rosyjski.

Jeśli chodzi o swoistość narodową języka rosyjskiego, to nie doznała ona najmniejszej szkody, język rosyjski bowiem, zachowując swą budowę gramatyczną i podstawowy zasób słów, czynił dalsze postępy i doskonalił się według wewnętrznych praw swego rozwoju.

Nie ulega wątpliwości, że teoria krzyżowania nie może dać nic poważnego językoznawstwu radzieckiemu. Jeśli słuszne jest, że głównym zadaniem językoznawstwa jest badanie wewnętrznych praw rozwoju języka, to trzeba stwierdzić, że teoria krzyżowania nie tylko nie rozwiązuje tego zadania, lecz nawet go nie stawia — ona go po prostu nie zauważa lub nie rozumie.

PYTANIE: Czy „Prawda" postąpiła słusznie inicjując swobodną dyskusję w sprawach językoznawstwa?

ODPOWIEDŹ: Postąpiła słusznie.

W jakim kierunku zostaną rozwiązane zagadnienia językoznawstwa — stanie się jasne w końcu dyskusji. Ale już teraz można powiedzieć, że dyskusja przyniosła znaczną korzyść.

Dyskusja wyjaśniła przede wszystkim, że w organach językoznawstwa zarówno w centrum, jak i w republikach panował reżim niewłaściwy nauce i uczonym. Najmniejszą krytykę stanu rzeczy w językoznawstwie radzieckim, nawet najbardziej nieśmiałe próby krytykowania tzw. „nowej nauki" w językoznawstwie, kierownicze koła w dziedzinie językoznawstwa prześladowały i tępiły w zarodku. Za krytyczny stosunek do spuścizny N. J. Marra, za najmniejszą dezaprobatę nauki N. J. Marra wartościowych pracowników i badaczy w dziedzinie językoznawstwa usuwano ze stanowisk lub przenoszono na niższe stanowiska. Za podstawę do wysuwania językoznawców na odpowiedzialne stanowiska służyła nie rzeczowa ocena, lecz bezwarunkowe uznanie nauki N. J. Marra.

Jest rzeczą powszechnie uznaną, że żadna nauka nie może rozwijać się i prosperować bez walki poglądów, bez wolności krytyki. Jednakże ta powszechnie uznana reguła była w sposób najbardziej bezceremonialny ignorowana i lekceważona. Powstała zamknięta grupa nieomylnych kierowników, która, zabezpieczywszy się przed wszelką możliwą krytyką, zaczęła zachowywać się w sposób samowolny i warcholski.

Oto jeden z przykładów: tzw. „Kurs bakiński" (wykłady N. J. Marra, wygłoszone w Baku), który sam autor zdyskwalifikował i zabronił wydać ponownie, został jednakże z polecenia kasty kierowników (t. Mieszczaninow nazywa ich „uczniami" N. J. Marra) ponownie wydany i włączony bez żadnych zastrzeżeń do zalecanych studentom pomocy naukowych. Oznacza to, że studentów oszukano, dając im zdyskwalifikowany „Kurs" jako pełnowartościową pomoc naukową. Gdybym nie był przekonany o uczciwości tow. Mieszczaninowa i innych językoznawców, powiedziałbym, że tego rodzaju postępowanie równoznaczne jest ze szkodnictwem.

Jak to się mogło stać? Stało się to dlatego, że reżim Arakczejewa, wprowadzony w językoznawstwie, kultywuje brak odpowiedzialności i zachęca do takich warcholstw.

Dyskusja okazała się bardzo pożyteczna przede wszystkim dlatego, że wydobyła ona ten reżim Arakczejewa na światło dzienne i doszczętnie go zdruzgotała.

Jednakże korzyść z dyskusji na tym się nie kończy. Dyskusja nie tylko zdruzgotała dawny reżim w językoznawstwie, lecz ujawniła ponadto tę nieprawdopodobną gmatwaninę poglądów w najważniejszych zagadnieniach językoznawstwa, która panuje w kierowniczych kołach tej gałęzi nauki. Przed rozpoczęciem dyskusji milczały one i pokrywały milczeniem niepomyślny stan rzeczy w językoznawstwie. Po rozpoczęciu dyskusji milczenie stało się już jednak niemożliwe — musiały zabrać głos na łamach prasy. I cóż się okazało? Okazało się, że w nauce N. J. Marra istnieje szereg luk, błędów, niesprecyzowanych problemów, nieopracowanych tez. Nasuwa się pytanie, dlaczego „uczniowie" N. J. Marra zaczęli o tym mówić dopiero teraz, po rozpoczęciu dyskusji? Dlaczego nie zatroszczyli się o to wcześniej? Dlaczego nie powiedzieli tego we właściwym czasie otwarcie i uczciwie, jak przystoi uczonym!

Uznając „pewne" błędy N. J. Marra, „uczniowie" N. J. Marra, jak się okazuje, sądzą, że dalej rozwijać językoznawstwo radzieckie można tylko na gruncie „sprecyzowanej" teorii N. J. Marra, którą uważają za marksistowską. Nie, uchrońcie nas już od „marksizmu" N. J. Marra. Marr rzeczywiście chciał być i starał się być marksistą, ale nie potrafił stać się marksistą. Był on li tylko upraszczaczem i wulgaryzatorem marksizmu w rodzaju „Proletkultowców" lub „Rappowców".

N. J. Marr wniósł do językoznawstwa niesłuszną, nie marksistowską formułę o języku jako nadbudowie i zaplątał się, zagmatwał językoznawstwo. Nie można rozwijać językoznawstwa radzieckiego na podstawie niesłusznej formuły.

N. J. Marr wniósł do językoznawstwa inną również niesłuszną i nie marksistowską formułę o „klasowości" języka i zaplątał się, zagmatwał językoznawstwo. Nie można rozwijać językoznawstwa radzieckiego na podstawie niesłusznej formuły, przeczącej całemu biegowi historii narodów i języków.

N. J. Marr wniósł do językoznawstwa niewłaściwy marksizmowi, nieskromny, chełpliwy, wyniosły ton, prowadzący do gołosłownego i lekkomyślnego negowania wszystkiego, co było w językoznawstwie przed N. J. Marrem.

N. J. Marr krzykliwie szkaluje metodę porównawczo-historyczną jako „idealistyczną". A jednak należy stwierdzić, że metoda porównawczo-historyczna pomimo jej poważnych braków jest jednak lepsza, aniżeli rzeczywiście idealistyczna czteroelementowa analiza N. J. Marra, albowiem pierwsza metoda pobudza do pracy, do badania języków, druga natomiast pobudza jedynie do tego, aby wylegiwać się na piecu i wróżyć z fusów na temat sławetnych czterech elementów.

N. J. Marr wyniośle pomiata każdą próbą zbadania grup (rodzin) językowych jako przejawem teorii „prajęzyka". A przecież nie można negować, że pokrewieństwo językowe takich na przykład narodów, jak słowiańskie, nie ulega wątpliwości, że zbadanie pokrewieństwa językowego tych narodów mogłoby przynieść językoznawstwu znaczną korzyść w dziedzinie badania praw rozwoju języka. Nie mówię już o tym, że teoria „prajęzyka" nie ma z tą sprawą nic wspólnego.

Gdy się słucha N. J. Marra, a zwłaszcza jego „uczniów", pomyśleć można, że przed N. J. Marrem nie było żadnego językoznawstwa, że językoznawstwo zaczęło się z chwilą pojawienia się „nowej nauki" N. J. Marra. O ileż skromniejsi byli Marks i Engels: uważali oni, że ich materializm dialektyczny jest produktem rozwoju nauk, w tej liczb' filozofii, w ciągu poprzedniego okresu.

Tak więc dyskusja pomogła sprawie również i pod tym względem, że ujawniła luki ideologiczne w językoznawstwie radzieckim.

Sądzę, że im szybciej wyzwoli się nasze językoznawstwo z błędów N. J. Marra, tym szybciej można będzie wyprowadzić je z kryzysu, który obecnie przeżywa.

Likwidacja reżimu Arakczejewa w językoznawstwie, wyrzeczenie się błędów N. J. Marra, wprowadzenie marksizmu do językoznawstwa — oto, moim zdaniem, droga, na której można byłoby uzdrowić językoznawstwo radzieckie.

J. STALIN

TADEUSZ BOROWSKI

Rys. J. KRAJEWSKI

Kłopoty pani Doroty albo „Śmierć frajerom"

(Dokończenie)

ŚMIERĆ FRAJEROM (CIĄG DALSZY)

— Śmierć frajerom! — zawtórował pogodnie pan Stasinek, powróciwszy sypialką do B. Odbył w willi filmowców ważne rozmowy polityczne, zabrał z Warszawy delegata na wizytację majątków i ugadywał go przez drogę. Rano zostawił go w hotelu, przybiegł na ósmą do biura, pokręcił się po pokojach, roześmiany, opalony, tryskający zdrowiem i energią, zajrzał do personalnego i do osiedleńczego, wpadł do stołówki i pokręcił nosem, że zupa za cienka, przejrzał akty, sprawdził rachunki, podyktował sekretarce korespondencję, odbył kilka konferencji na mieście, powąchał sprawę Pokrzywek, wzdrygnął się trochę, niczego się nie dowiedział i musiał się zadowolić wiadomością, że dzieci spaliły zabudowania a administratora posadzono do wyjaśnienia. Po czym, zmęczony i rozgrzany kilku wódkami, poprosił panów członków komisji rewizyjnej na małe zebranko.

— Słuchajcie no, ludkowie — powiedział, zacierając ręce wystające z przykrótkich rękawów cajgowej marynareczki i popijając cienką herbatkę, która parzyła mu wargi — do walnego zebrania zostało jeszcze trzy miesiące, więc po co krzesełka z przerażenia łamać? Ja muszę kupę spraw załatwić w Warszawie i naprawdę nie mam czasu zajmować się duperelami, tymi wszystkimi spisami, rachunkami, księgami, asygnatami i czort go wie, czym jeszcze. Wynająć buchaltera i niech się grzebie. I tylko mu pomóc, nie?

— Właściwie, prezes jest odpowiedzialny za stan ksiąg i w ogóle, — powiedział z wahaniem członek komisji.

Pan Stasinek spojrzał ironicznie na członka.

— A zarząd rączki umyje i do domu lulu, nie? Pan wiceprezes chciałby szyszką w partii być, a tutaj, w związku, na mnie wszystko zwala, tak? Pan sekretarz swoje interesiki przez teściową załatwia i do roboty się nie bierze. I znowu ja winien, tak? A wyście gdzie byli przez te trzy kadencje zarządu? Spali, nie? I mleczko popijali? Trzeba sprawozdanie wyszykować na walne zebranie i gadania nie ma. Manca nie może być ani w książkach ani w magazynie. Wszystko trzeba wyrychtować na sto dwa!

— A co z tymi Pokrzywkami?

— Przecie wiecie lepiej ode mnie, co. Dzieciaki spaliły. Konie się spiekły, krowy. Nieszczęście.

— Ludzie różnie gadają.

— Ludzie zawsze gadają — przeciął pan Stasinek.

— Znaczy się, musicie, prezesie, wygotować sprawozdanie, kieszeń musi być czysta.

— Trzy lata robiłem i nikt mi ani w kieszenie, ani w zęby nie zaglądał. A teraz, jak odchodzę do Warszawy, to wszyscy huzia na Stasinka? — Pan Stasinek podniósł się zza stołu i stanął naburmuszony przy oknie. Cholera go wie, pomyśleli członkowie komisji, co on ugadał w tej Warszawie. Taki to zawsze wylizie, ma znajomości, z każdym ponije i pogwarzy, a potem człowieka utrąci.

— Niech inni popracuja jak ja — ciągnął pan Stasinek — a dopiero zobaczą, jak to słodko. Niejednemu główka poleci. No, panowie, ja sprawozdanie wygotuje jak ta lala, ale nie wtykajcie nosa w nieswoje sprawy. I chodźcie na obiad, bom głodny.

Poszli hurma do restauracji pana Olejnika, przywitali się z prokuratorem Zabiegą, który wyjeżdżał w teren, zamówili suty obiadek i dokończyli konferencji.

Po południu pan Stasinek wyjechał z delegatem warszawskim do majątków. Obejrzeli pałacyki, z których, jak wzdychając zapewniał pan Stasinek, meble zabrali szabrownicy i w ogóle rekwizycja; przeszli się po polach, obejrzeli orkę pod kartofle, odbyli zebranie związkowe, znowu wsiedli w samochód, ominęli z daleka nieszczęsne Pokrzywki i pojechali do pokazowego majątku, 80 km od B, na dziki. Zaparkowali wóz, wzięli od administratora po dubeltówce i poleźli wieczorkiem na stanowisko. Gadali o związku; pan Stasinek nalegał, aby go przeniesiono do Warszawy, do zarządu głównego. Ma już dosyć gnicia w B. Trzy lata! Kawałek życia! Dla polityka — to samobójstwo siedzieć na prowincji! Delegat, młody chłopak z partyzantki, który pracował przy oczyszczaniu portu w Szczecinie a potem przeszedł do roboty związkowej, nienawidził papierków i biurka, marzył o przejściu do produkcji i patrzał na pana Stasinka, jak sowa patrzy na wychylającą się z nory mysz. Przecież, uświadamiał go cierpliwie, nadchodzą wielkie zmiany w życiu związków zawodowych. Dotychczas w związkach gdzie niegdzie panoszyły się tradycje przedwojenne, socjaldemokratyczne, bonzowskie, ba! nawet klerykalne. Inni działacze traktują związki jako instytucje równorzędne z partiami robotniczymi, niezależne od władzy ludowej, pełne nieufności do niej.

Szli miedzą pod cieniem sosen. Zapadał już zmierzch. Jeszcze godzinka, półtorej, i dziki wyjdą na żer. Mieli dosyć czasu, przedzierali się więc spacerkiem do wyżki panującej nad polem.

— Brakowało, żeby jeszcze partie kierowały życiem związkowym! Nikt się w związkach na to nie zgodzi! Komenda partyjna? Ho, ho, ho! — Żadna komenda! — przerwał delegat. — Partia nigdy nie komenderuje związkami, ale może udzielać poleceń swym członkom, którzy pracują związkowo, i w ten sposób wpływać na ich politykę. A ci przekonają innych, że droga partii jest słuszna. Bo tę słuszność potwierdza życie, obywatelu prezesie.

— Pewnie, pewnie, pewnie — zgodził się pan Stasinek.

Wdrapali się na wyżkę, obejrzeli pole obstrzału, położyli strzelby na parapecie i zapalili papierosy, aby odegnać komary. Delegat mówił dalej:

— Jeszcze w związkach dużo gnoju trzeba uprzątnąć. Reformizm, klerykalizm, zaślepienie. A przeróżne kacyki! A całe gniazda dywersyjne! Oczy człowiekowi wyłażą ze zdumienia, jak się na to patrzy! I ręce świerzbią! A nieraz trzeba czekać. Ten ma wujka, ten ma stryjka, tamten przedwojenne zasługi. Bo przewrót majowy pomagać robić! Eh, żebyż prędzej zjednoczyć nasze partie robotnicze! Wtedy ruszy robota!

— A cóż my, działacze związkowi, będziemy mieli wtedy do roboty? — spytał nieco rozdrażniony pan Stasinek.

— A szkolić ludzi w codziennym realizowaniu zasad socjalizmu? Mobilizować masy do stałego podnoszenia produkcji i wydajności pracy? Planowo oszczędzać? Zaspakajać potrzeby mas? Poprawiać im byt i warunki pracy? Opiekować się poszczególnym człowiekiem, tym naszym największym kapitałem? Walczyć z wrogiem klasowym, z dywersją i sabotażem? Związki zawodowe, panie Stasinek, to wielka szkoła socjalizmu i tylko zahartowani działacze mogą się w niej ostać.

— Nam tu, na ziemiach odzyskanych, hartu nie brakło — rzekł półgębkiem pan Stasinek i ścisnął kurczowo ramię delegata. — Patrz pan, jak babcię kocham, dziki! Strzelaj pan, strzelaj!

Delegat podniósł dubeltówkę, przycelował, nacisnął cyngiel. Echo strzału rozniosło się po lesie. Dziki zawróciły i pierzchły w las. I tyle ich było widać.

— Cholera jasna! — zaklął delegat. — Już go na muszce miałem. Fuzja do luftu!

— Trza nam było wziąć drylingera — rzekł pan Stasinek. — Drylinger — dobra sztuka. Każdą zwierzynę położy. I nie podrzuca jak koń nogą. Zleźli z wyżki i ponuro poczłapali do folwarku. Pan Stasinek ciągnął uprzejmie konwersację:

— Ja myślę, że każdy działacz powinien po przejściu stażu na prowincji, w terenie, iść coraz wyżej, aż do zarządu głównego. Przecie tu marnują się ludzie, którzy nie mogą się rozwinąć, bo i gdzie? W B? Czterech ludzi na krzyż, dwa folwarki w okolicy, poczta, dworzec i urząd bezpieczeństwa — i masz całe B.

Delegat zgodził się mrukliwie, że B. to dziura, ale nic konkretnego nie obiecał. Na oglądanie innych folwarków czasu im nie starczyło, gdyż samochód pana Stasinka się popsuł i szofer całą noc porał się z motorem. Powrócili do B. nad ranem, zmordowani i senni, i prosto udali się do restauracji pana Olejnika, gdzie pan Stasinek zamówił gorące, dobrze zakrapiane śniadanko. Po czym zaszli jeszcze do sekretariatu i tam delegat zobaczył wreszcie tego wspaniałego drylingera, który filuternie wystawał z szafy.

— O, jaka ładna dubeltówka! — zawołał z zapałem i wziął strzelbę do ręki.

— To nie dubeltówka, szanowny towarzyszu, to dryling — odpowiedział fachowo pan Stasinek. — Dwie lufy na śrut, trzecia, ta w dole, na kulki. Nie tylko dzika, słonia tym ukatrupić można!

— Czemu nie oddacie tego do majątku? Administrator mówił, że dziki okropnie niszczą oziminę — spytał delegat.

— Administrator ma swoją fuzję, tylko bestia nie chce jej używać! — zaśmiał się pan Stasinek.

— Ach, tak? To po co ten gnat ma tu sterczeć?

— Chcecie, to go wam dam, niech stracę! — i szczerym gestem wsadził mu w łapę drylingera. — Ludzie mi znosili. Dobro za dobro.

— No, jeżeli tak — rzekł z wahaniem delegat.

— Jasne, że tak! — zawołał z pijacką wylewnością pan Stasinek.

Sekretarka podniosła na nich oczy z nad maszyny i nic nie powiedziała. Niech no by spróbowała! A szkoda, że nie spróbowała. Bo wtedy strzelba nie powędrowałaby godzinę później na biurko naczelnika urzędu bezpieczeństwa i delegat nie kiwałby głową: „Ależ wy aktyw związkowy macie, no, no! Czort w tym bałaganie się nie rozezna!" „Przyjdzie czas, to się rozeznamy, nie martwcie się"! — odpowiedział naczelnik i wstawił drylingera do szafy. Pogadali, pogadali i rozeszli się, trochę zmartwieni.

Kiedy chcesz, żeby cię nie zauważyli, nie właź na szczudła. Gdy pracujesz, ludzie patrzą ci na ręce. Ty też przecież patrzysz na ręce ludzi. Szpilki człowieku nie ukryjesz, a cóż dopiero swoje życie! Kontrola społeczna — to tysiąc czujnych oczu. Najlepiej osadza człowieka, byle tylko tysiąc ust chciało przemówić. Ale usta nie zawsze chcą mówić, czasem się boją, czasem się krzywią pogardliwie, czasem się lenią. To też w B. dziwiono się powszechnie, ale szeptem, skąd pan Stasinek bierze forsę na utrzymanie takiej drogiej kobiety, jak Dorotka. Obliczano, że samo siedzenie u fryzjera pochłania miesięcznie kilkanaście tysięcy złotych, a pielęgnacja twarzy, a maście, a prześliczne stroje, a mieszkanko, a wyjazdy do Krynicy i Zakopanego, nie mówiąc już o jedzeniu — toż to trzeba mieć porządny sklep, aby wydatki opędzić, a nie być płatnym urzędnikiem, choćby nawet prezesem! Ale wiadomo, jak to inteligenci: pogadają po kątach, poszepczą, pośmieją się, poplotkują, żony trochę pozazdroszczą, a w oczy się przymilają i na zebraniach nabierają wody w usta. Lubią mówić, ale przy wódce. Dawniej gadali przy brydżu. A zebranie związkowe czy partyjne — to zło konieczne, nudna, wyczerpująca nasiadówka. Zadymiona sala, półanalfabeci, którzy żadnego języka nie znają a gadają o demokracji ludowej, jakby uniwerek skończyli. Mimo to jednak nienawiść do pani Doroty wzbierała wśród inteligentów w B. pokryjomu jak wrzód. Zaciskano zęby, kiedy wyniosła i „zimna jak lód" pokazywała się w majątkach, zabierała pana Stasinka z biura na wycieczkę po województwie, bo była ciekawa rozmaitych rzeczy. Oglądała, wypytywała, uczyła się, przygotowywała do przyszłej roli protektorki i filantropki, która — jako żona posła — będzie kiedyś jeździła po biednych wsiach swego okręgu, rozmawiała z gospodyniami wiejskimi, ocierała brudne buziaki dzieciom, rozdawała dziewczynkom cukierki i kiwała dłonią z odjeżdżającego auta zebranym na podwórzu chłopom. Coś z tych plotek musiało docierać do pana Stasinka, gdyż nalegał, aby prędzej przeprowadziła rozwód. Cóż, kiedy sama pani Dorota była jakby niezdecydowana. Lubiła, raz się sprzedawszy, jeszcze się trochę pocenić. I diabeł tej kobiety nie zrozumie! — myślał czasem zrozpaczony pan Stasinek. A jednak śpi ze mną! — pocieszał się i cierpliwie zarabiał na wyższe stanowisko.

Tak czy owak, wojewódzkie miasto B. pełne było plotek o panu Stasinku. Pan Stasinek troszkę się złościł, ale w gruncie rzeczy je lekceważył. Miał

napięte rozmowy z Warszawą, przeprowadzał duże kombinacje handlowe dla związku, gadał i z sekretarzem partii, i z naczelnikiem, i z prokuratorem przy kieliszku. O przyszłość się nie troszczył, zebranie podszykował, klepał znajomych po ramieniu. No, i na co mu się to przydało? Na nic. Bo na walnym zebraniu pan Stasinek dowiedział się ze zdumieniem, że w miasteczku o wiele więcej wiedzą o nim niż mógł on przypuszczać. Tak, tak, jeżeli chcesz, żeby cię nie zauważyli, nie właź na szczudła.

ZŁAŹ ZE SZCZUDEŁ

Walne zebranie związku zawodowego samorządowców województwa B. odbyło się, jak wiemy, w lipcu. Od wiosny pan Stasinek siedział w biurze, porządkował papiery, przeprowadzał tranzakcje, urabiał ludzi i coraz to wyskakiwał na kilka dni do Warszawy, gdzie chodził od zarządu głównego do Dorotki i z powrotem. Dorotka była chętna, zarząd o wiele mniej, i wyjazd do stolicy na wyższe stanowisko stanowczo się odwlekał. Wobec tego pan Stasinek zaczął przemyśliwać o ponownym wyborze swym na prezesa związku. Lepiej mieć związek w garści niż kanarka w Warszawie.

Stołówkę związku ozdobiono na ten dzień portretami dostojników państwowych, hasłami z wycietych liter, powieszono na ścianie gazetkę T-wa Przyjaźni Polsko - Radzieckiej, wymyto podłogę i ławki. Na scenie, która mogła służyć zespołowi artystycznemu, ale nie służyła, bo takowego nie było, ustawiono parę krzesełek i wielki, nakryty obrusem stół. Pod wieczór zaczęli się zbierać delegaci i zwolna rozsiadali się w ławach. Kiedy sala się zapełniła, zaświecono wszystkie lampy i pan Stasinek w otoczeniu zarządu wszedł na scenę. Po zwykłych formalnościach, odczytał krótkie sprawozdanie zarządu i skomentował je własnym, ognistym przemówieniem. Mniej więcej takim:

— Związek nasz jest najlepiej zorganizowany w całym B. Jako pierwsza organizacja społeczna po wojnie na tych odzyskanych dla macierzy polskiej ziemiach, była zalążkiem władzy ludowej. Uczyniła z nas jedną wspólną rodzinę. W niej wszyscy są sobie braćmi i siostrami. W niej — jeden za wszystkich i wszyscy za jednego. Ona pomagała każdemu, kto się do niej zwrócił. Pewnie, nie zawsze może umiejętnie gospodarzyła, ale przecież człowiek wyrabia się w robocie, w konkretnej działalności i nie ma się co wstydzić błędów. Ale nawiązaliśmy piękne współżycie z autochtonami i pozyskaliśmy wielu ludzi dla Ojczyzny. Z Warszawy przyjeżdżali i podziwiali nas, mówili, że takiego związku, jak nasz, nie ma w całej Polsce Zachodniej. Nie byłoby to możliwe bez obywatelskiego stosunku do pracy związkowej całego zarządu, któremu na tym miejscu, jako jego prezes, wyrażam podziękowanie za pomoc i lojalność.

— Pewnie, że pomagał! — krzyknął młody robotnik z elektrowni, który przyszedł na zebranie, jak to się mówi, z ciekawości. I roześmiał się bezczelnie.

— A folwarki dawały dochód? — zapytał rzeczowo inspektor terenowy Rady Narodowej.

— Folwarki przejęliśmy w stanie zdewastowanym — odrzekł godnie pan Stasinek. — Bez maszyn, bez ludzi, bez bydła. W dworach nie było mebli. Jak przyjechali ludzie, to nie mieli na czym spać.

— Boście meble pokradli! — krzyknięto z sali. Zrobił się gwar, padły jakieś pytania, ale na dzwonek wszyscy umilkli.

— Zabudowania gospodarcze były popalone — ciągnął pan Stasinek. — Mamy dopiero trzy lata po wojnie. Sprowadziliśmy trochę bydła i koni.

— Które sprzedaliście pokryjomu! — krzyknął fornal z Pokrzywek.

— Które spaliły się podczas pożaru, obywatelu, boście nie pilnowali majątku — powiedział spokojnie pan Stasinek, ale szczęka zaczynała mu latać. Opierał się o stół rękoma, które wyłaziły z przykrótkich rękawków cajgowej marynarki, poprawił sobie krawat i wyprostował się. — Wyremontowaliśmy jako tako pewną ilość maszyn i prowadziliśmy jak najoszczędniej gospodarkę. Czego jeszcze chcecie? — zapytał gburowato.

— Można było mniej jeździć po Krynicy a więcej siedzieć na tyłku w B., to byłoby jeszcze oszczędniej! — odpowiedział zapytany i sala wybuchnęła śmiechem. Pan Stasinek pobladł, zrozumiał, że stoi na oślizgłej kładce. Ale odparł mocnym głosem:

— Jak obywatel będzie na moim stanowisku, to będzie się rządził po swojemu; na razie ja odpowiadam za całość roboty. Nieraz trzeba i do Krynicy jechać na konferencję z kimś ważnym. Ot, co!

Nastrój pozytywny wrócił na chwilę i zebrani uspokoili się. Nie wszyscy rozumieli, o co gra się toczy, ale podniecenie sąsiadów i im się udzielało. Pan Stasinek też jeszcze nie pojmował. Jeżeli co mają przeciw mnie, to czemu wywlekają dopiero na zebraniu? — myślał, siedząc z opartą na dłoni głową. Przecie mogli o wiele wcześniej zadziałać. Ale widocznie nic nie mają i macają po ciemku. Tylko kto jest ten wróg? Do koni nawet UB się nie czepiało. Spaliły się razem z krowami, trudno, nasza strata. Trza było pilnować. Tak głowił się pan Stasinek, a przewodniczący zebrania otworzył dyskusję nad sprawozdaniem zarządu. Pierwszy podniósł się sekretarz zarządu, pracownik rady miejskiej. Podszedł do stołu, zdjął rogowe okulary, machinalnie przetarł je palcami i powiedział:

— Ja, obywatele, będę mówił prosto. Przez dwa lata nasz zarząd, nie wiem, czy odbył ze trzy zebrania. Raz się ukonstytuował, potem długo, długo nic, potem raz zatwierdził sprawozdanie prezesa (to było w tamtym roku), potem znowu ten zarząd wybrali, znowu się ukonstytuował a potem — to już nie mieliśmy żadnych zebrań, aż do dzisiaj. Wszystko szło na gębę, bez protokułu i pieczątki. Faktycznie urzędowało się albo u Olejnika albo na korytarzu. Prezes latał i mówił: „Wiecie co, podpiszcie ten papierek, bo trzeba wysłać do centrali", albo: „Wyjeżdżam do Warszawy na trzy tygodnie, zastąpcie mnie w robocie", a w czym zastąpić, jak nikt nie wie, co się robi, ile pieniędzy wychodzi i gdzie? Każdy z członków zajął się swoim odcineczkiem pracy, a całość — niech pan prezes decyduje. Aby do wiosny! A od wiosny — aby do jesieni. I żeby się tylko nikt nas nie czepiał! No, i doczekaliśmy się. Czegośmy się doczekali, obywatele? Niedbalstwa, obywatele, marnotrawstwa, obywatele! I jeszcze gorzej! Sabotażu doczekaliśmy się! Dopiero teraz wychodzi na jaw to i owo. Każdy z nas coś widział, każdy coś słyszał, ale ręka machał. Mówiło się: gdzie drzewo rąbią, tam wióry lecą. Ale się nie patrzało, do czyjej kieszeni te wióry lecą. A to jakiś tłuszcz, bagatelka, sto kilo; a to parę tysiączków dla przyjaciela, który się rozwodzi, a to rachuneczki za wyjazdy przez trzy lata niesprawdzane, a to podpalenie zabudowań w Pokrzywkach, niby przypadek, ale jakiś dziwny. A te konie? Ludzie tyle mówią, że się w głowie kręci. Mówią, że administrator część koni sprzedał, a część się spaliła. Mówią jeszcze więcej, a co to znaczy, że mówią? Znaczy to, że nie działaliśmy dobrze, że wpuściliśmy między siebie wrogów i dywersantów. Albo to, że majątki nie przynoszą dochodu. I trzeba jeszcze dokładać z zasiłków państwowych. Przecie państwo ludowe dało nam tę ziemię, żeby nam było lżej, żebyśmy mogli przetrzymać te głodne lata, a nie żebyśmy wciąż wyciągali rękę jak żebraki. Masz a nie umiesz gospodarzyć. Marnujesz dobro społeczne. Znaczy — szkodzisz narodowi. Bo kto ma nam dać? Ten polski górnik, co pod ziemią siedzi? Ten polski hutnik, co robi mosty dla Warszawy? A może mają nam dać buraków i kartofli ci, co lepiej gospodarują? Ja, obywatele, uważam jedno: nasz zarząd nie umiał pracować, nie dopatrzył gospodarki i trzeba go wyrzucić won — albo i jeszcze gorzej. A ci, co chcą pracować, powinni pracować; na pewno potrafią. Ja nie zabieram głosu, obywatele, dlatego że jestem niewinny; tak samo nie umiałem robić jak inni. Ale mnie się wydaje, że już dosyć tego!

Pan Stasinek zerwał się z miejsca i zawołał:

— Tak nie można, panie kolego! Trzeba było składać zażalenia na zarządzie a nie uprawiać demagogię na zebraniu! Pewno, żeście nic nie robili! To każdy wie! Pewno, że nie będziecie w nowym zarządzie!

Uderzył pięścią w stół i usiadł z trzaskiem. Ludzie zaczęli głośno krzyczeć i wołać, zrobił się prawdziwy tumult. Przez gęsty dym papierosów nic nie można było zobaczyć; ludzie wstawali z miejsc, machali rękami, wspinali się na ławki, przewodniczący dzwonił wytrwale dzwonkiem.

Wreszcie uciszono salę i głos zabrała urzędniczka z biura pana Stasinka.

— Ja mam tylko jedno zapytanie do zarządu: przepisując sprawozdanie inwentarza, zauważyłam, że nie ma w nim mowy o drylingerze, który pan Stasinek dał jednemu panu z Warszawy, delegatowi czy jak mu tam. Przecież drylinger był przeznaczony na dziki? Więc proszę zarządu o wyjaśnienie,

Kierownik stołówki:

— Czemu nigdy nie otrzymywałem rachunków z interesów, które zarząd związku prowadził w imieniu stołówki z restauratorem kolejowym? Zawsze dostawałem polecenia przez telefon, to dobra metoda, bo papierki nie zostają. Ileśmy wydali przez ten czas, to nikt nie zliczy! Ja myślę, że koło stu kilo tłuszczu, kilkadziesiąt kilo kawy i parę kilo herbaty, a mąki, a mięsa, a kartofli! A paczki! Niby na pokrycie wydatków reprezentacyjnych! Pan prezes mówił: człowieku, nie wtrącaj się do nieswoich spraw, pilnuj nosa, żeby ci nie odpadł! I gdzie miałem pójść, komu powiedzieć? Bałem się i tyle. Ale myślę, że teraz nie ma się co bać. Minęły czasy, kiedy każdy rządził jak chciał.

Fornal z folwarku Pokrzywki, członek partii:

— Myśmy, obywatele, nieraz już mówili, że z tym zarządem trzeba raz zrobić porządek. Ale partia ma cierpliwość: a nuż człowiek raz pobłądził, zalazł jak krowa w szkodę, a potem oprzytomniał? Ale widać, tuśmy za długo patrzyli. Wina największa towarzyszy, którzy siedzieli w zarządzie i dawali się wodzić za nos. Pan Stasinek założył im kółka w nos i wodził ich jak byków naokoło swoich spraw. Nie przeszkadzajcie, obywatelu Stasinek, teraz ja mówię. Wyście już dosyć gadali. Więc. Doprowadziliśmy majątki do użytku, uprawialiśmy, dawały przecie niektóre jakie takie pieniądze. Gdzie są one? Gdzie są kwity i rachunki? W kieszeni u pana Stasinka. Pan Stasinek chce, żebyśmy go znowu wybrali na prezesa, chce nam prezesować, reprezentować nas, zarządzać nami. Reprezentować w Zakopanem to on potrafi, ale czy był kiedy na roli i wie, jak wygląda nasza robota? Bywało, przyjedzie samochodem z kobietą, połazi po pustym pałacu, zajdzie do stajni, konia pogłaszcze, papierosem stajennego poczęstuje, a potem obiadek i albo do łóżeczka albo w samochód, i dalej, na drugi koniec szosy, do drugiego majątku, na kolację. Kobicie to się musi podobać, ale nam mniej. Skończyłem.

Członkowie zarządu siedzieli z pochylonymi głowami za stołem zasłanym czyściutkim obrusem i bali się spojrzeć na salę. Pan Stasinek, okazuje się, rządził jak chciał, a oni nic nie mówili przez cały boży rok! Ładna historia!

Kiedy listę mówców wyczerpano (a było ich sporo), przewodniczący zebrania, były skarbnik pana Stasinka, zaproponował polubowne załatwienie sprawy: ponieważ wiadome było, że pan Stasinek odejdzie wkrótce na wyższe stanowisko do Warszawy, proponuje się uchwalenie absolutorium ustępującemu zarządowi i przystąpienie do wyborów, przy czym na prezesa on, przewodniczący, pozwoli sobie zaproponować... I podał nazwisko dotychczasowego wiceprezesa związku, który ponuro bębnił palcami po stole.

Może by i wniosek przeszedł, bo ludzie byli pomęczeni i nie mieli jeszcze wprawy w walce z kliką, ale ze szkodą dla pana Stasinka wnioskowi przeciwstawiła się komisja rewizyjna, z którą jeszcze niedawno pan Stasinek popijał u Olejnika. Ale komisja komisją i swoje chciała zrobić. Sekretarka nie mogła jej wydać ksiąg, ponieważ pan prezes był w Warszawie. Proponuje się więc ze względów formalnych zebranie w nowym terminie, mianowicie za miesiąc. Przez ten czas komisja rozpatrzy również zarzuty postawione prezesowi związku przez walne zgromadzenie. Wniosek po burzliwej dyskusji przyjęto i zebranie zamknięto. Było już po północy.

— Ciężki miesiąc czeka pana, panie prezesie — powiedział przewodniczący, kiedy schodzili nareszcie z estrady. — Dużo roboty buchaltervjnej. W samo najpiękniejsze lato! Ale niech pan choć wszystko doprowadzi do porządku! Bo skóra na człowieku ciernie, jak się słucha, co ci ludzie wygadują!

Pan Stasinek ocierał pot z czoła i z trudem przepychał się przez milczący tłum.

— Śmierć frajerom! — zawołał wesoło. — Da się radę. Gorzej było przed trzema laty, kiedy człowiek musiał sam wszystko robić. Pamiętacie, jak siedzieliśmy tu we dwu i robiliśmy Polskę? Teraz niech się ludzie nauczą, że także trzeba głową pokręcić, skończyły się dobre czasy. Pan Stasinek poszedł dalej, na państwową robotę.

W drzwiach stołówki zastąpił im drogę prokurator Zabiega.

— Przysłuchiwałem się dzisiejszej dyskusji — powiedział przyjaźnie, skubiąc wąsika, który mu się wysypywał nad wargą i dodawał wiele powagi. — Rusza się naród, wypowiada swoje zdanie, nie boi się. Dojrzewa do rządzenia.

— Zazdroszczą człowiekowi — odparł krótko pan Stasinek. — Do gadania to ich wielu, ale do roboty nikogo. Sam człowieku myśl za wszystkich, jakby to nie ludzie, a nieprzymierzając — krowy. Nic dziwnego, że czasem człowiekowi noga się powinie. Zapomni czegoś, nie wypisze asygnaty, zgubi kwit. I wtedy wszyscy nagle mądrzy! Huzia, bij, zabij! No, nie?

— No, tak — odpowiedział w zamyśleniu prokurator Zabiega i popatrzył na pana Stasinka spod zmrużonych oczu. — Wie pan co, panie Stasinek? Są tam jakieś niedokładności w związku? Zaniedbanie gospodarki, sabotażyk, wyjazdy i przyjazdy niewiadomo z kim, handelki? I te brzydkie konie, aj, aj aj! Cóż to znowu za historia?

— Żadna historia! Ludzie dużo lubią mówić! — prychnął pan Stasinek. — Konie nie są najważniejsze. Były chore i tak. No, prokuratorze, czas nam iść spać, bo człowiek się narobił jak w tartaku. Tęsknię do swego łóżeczka.

— Boję się, że będzie pan dzisiaj niewygodnie spał — powiedział prokurator, nie ruszając się spod drzwi. Pan Stasinek spojrzał na niego i zrozumiał. Pokręcił niecierpliwie głową, jakby go uwierał przyciasny kołnierzyk, wsunął ręce do kieszeni cajgowej marynareczki i zagryzł wargi. Chwilę się namyślał, wreszcie przełknął ślinę i uśmiechnął się swym serdecznym, szczerym, ujmującym uśmiechem: „Śmierć frajerom."

— Co to, to nie! Ja łóżko mam wygodne!

— Eh, panie Stasinek, po co te komedie? — spytał ubawiony prokurator. — Będę musiał zatrzymać pana. Trzeba wszystko wyjaśnić od Adama i Ewy. Wszyscyśmy strasznie ciekawi.

Pan Stasinek spoważniał, odstąpił krok w tył i wyjął ręce z kieszeni.

— Jestem aresztowany? — zapytał z pogróżką w głosie. — Czy pan wie, co pan robi?

— Nie pierwszy raz i nie ostatni — powiedział z westchnieniem prokurator i kiwnął dłonią na milicjanta.

ŚMIERĆ FRAJEROM (JESZCZE CIĄG DALSZY)

Kiedy przyjechałem do B. na proces pana Stasinka, miasto tonęło w śniegu. Rozłożone na łagodnych wzgórzach, miniące się w słońcu czerwonymi dachami, jaśniejące strzelistymi topolami, na których skrzyły się białe czapy szronu, miasteczko było ciche i spokojne, jakby już zapomniało o sabotażyście. Któż by tam o nim pamiętał! Nawet miejscowy dziennik podawał tylko krótką wzmiankę z procesu. Koło dworca brodziły poważnie wrony między sankami dorożkarzy. Wsiadłem; dorożkarz trzasnął batem, koń parsknął, dzwoneczki zadźwięczały cieniutko, wrony uleciały z krzykiem — i pojechaliśmy do sądu. Sąd okręgowy mieścił się przy rynku. Przejechać nie można było: odbywał się cotygodniowy jarmark, tym wrzaskliwszy, że przedświąteczny. Zapobiegliwe gospodynie robiły już zapasy, choć dopiero połowa listopada; ładowały w koszyki cebulę, grzyby suszone, mak i makę. Popatrzyłem chwilę na tłuste króliki i zające zwisające z drabiniastych wozów, na wielkie gary śmietany i bańki mleka, na kramiki z obuwiem, wstążkami, lampkami naftowymi i dewocjonaliami, zapłaciłem wąsatemu dorożkarzowi i wbiegłem na pięterko, gdzie urzędował sąd. Przepchałem się energicznie przez tłumek, który wałęsał się po korytarzu, wpisałem się do księgi i stwierdziwszy, że nie świadczę w sprawie pana Stasinka, wsunąłem się na salę rozpraw i przykucnąłem na skrawku ławy. Rozejrzałem się: w sali było duszno i ciemnawo. Stłoczeni w ławach widzowie palili bez przerwy i dym snuł się po izbie. Byli to chłopi z majątków i pracownicy ze związku, którzy przyjechali specjalnie na rozprawę. Tak zdobywali uświadomienie

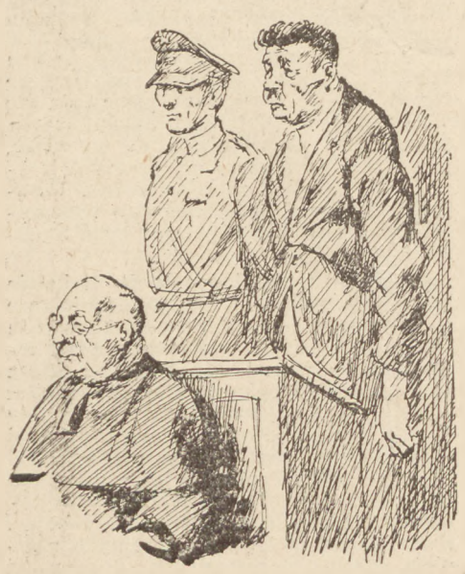

klasowe i poznawali władzę ludu. Pod przeciwległą ścianą ogromnej sali urządzonej z dwu pokojów, między którymi wyjęto przegrodę, stał stół sędziowski, z boku przystawiono stolik prokuratora, pod oknem zaś znajdowała się ława oskarżonych. Pan Stasinek stał wyprostowany w ławce, był nieogolony i wychudły i nie miał już wyglądu „śmierć frajerom", który mu przez tyle lat zdobywał zaufanie i sympatię. W wymiętej cajgowej marynarczynie, przestraszony i zmieszany wyglądał na tuzinkowego urzędniczka, który ukradł z kasy pięć set złotych, aby się „zabawić", i teraz bardzo tego żałuje. Przed ławą oskarżonego siedział siwy, jowialnie usmiechnięty pan w złotych okularach, przeglądał mechanicznie papiery i z wielką wprawą operował ołówkiem. Warszawski adwokat! Nie jednemu już potrafił zmniejszyć wyrok, a nawet, jak mówiono, tego i owego umiał wyciągnąć sprzed kratek. Legenda wyolbrzymiała fakty, na zgubę spekulantom i sabotażystom. Obok oskarżonego stał cierpliwie milicjant z rękoma założonymi za plecy i z paskiem, służbowo wciśniętym pod brodę. Kolegium sędziowskie tworzyli: przewodniczący ozdobiony złotym łańcuchem, łysy starzec o dobrotliwym spojrzeniu człowieka, który już niejedno widział, działacz ze związku zawodowego, robotnik z gazowni miejskiej, oraz robotnica z tartaku, przodownica pracy.

Oskarżenie wnosił prokurator Zabiega, zapracowany i chudy jak głodna czapla.

Przewodniczący: (zaciągając z wileńska): Więc oskarżony sprzedał te czternaście koni bez licytacji, pokryjomu?

Pan Stasinek: Proszę Wysokiego Sądu, bez.

Przewodniczący: To bardzo niedobrze, oskarżony, to bardzo niedobrze. A do kasy oskarżony żadnych pieniędzy nie włożył za te konie? Czy może włożył?

Pan Stasinek: Proszę Wysokiego Sądu, mnie związek zawodowy był winien pewne sumy. Warszawa obiecała mi pożyczkę na ożenek i ja dlatego... Za te konie.

Przewodniczący: Znaczy się, nie włożył. Czy oskarżony wie ,jak to się nazywa, gdy ktoś nie ma prawa zabierać społecznej własności a zabiera?

Pan Stasinek: Proszę Wysokiego Sądu, ja nie wiem.

Prokurator: W związku z tymi końmi. Oskarżony przyjmował w Pokrzywkach panów z poselstwa?

Pan Stasinek: Proszę Wysokiego Sądu, nie.

Prokurator: A kto to przyjechał w tym samochodzie, co miał numer owinięty szmatą?

Pan Stasinek: Proszę Wysokiego Sądu, ja nie wiem.

Prokurator: A jak się oskarżonemu zdaje? Skoro w dwa tygodnie później wybuchł w Pokrzywkach pożar?

Nagle uczułem, że dłoń moją chwyciła kurczowo kobieca ręka. To pani Dorota, która siedziała za mną, denerwowała się okropnie.

— Czemu on męczy tego człowieka?— szepnęła z oburzeniem, gryząc nerwowo chusteczkę. — Przecież on naprawdę nie wie! Sam powiedział!

Za plecami pana Stasinka widać było przeczyste niebo, konary rozłożystego klonu, na którym wisiały kiście śniegu, a dalej, na obszernym placu stały chłopskie biedki. Z końskich pysków, zanurzonych w workach z owsem, buchała mleczna para.

— Sabotaż! Jasne jak na dłoni! Łotr, i jeszcze się wypiera! — mruknął fornal z Pokrzywek. Siedział koło mnie, trzymając córeczkę na kolanach.

Pani Dorota żachnęła się urażona.

— Pan Stasinek mówi prawdę! Nigdy nie kradł! — zasyczała szeptem. — Zawsze robił tylko dobrze dla ludzi!

— Tak, szanowna pani dobrodziejko? — mruknął fornal. — A to, widzi pani, to też pan Stasinek.

Podetkał jej pod nos drobne rączyny dziecka, na których widniały świeże ślady zaleczonego świerzbu.

— Gdzie podział pieniądze za te lekarstwa?

Pani Dorota odwróciła się i przytknęła batystową chusteczkę do oczu.

Wyszedłem z sali z bólem głowy i powlokłem się na miasto. W B. spotyka się znajomych na każdym kroku; każdy dorzucał swoje uwagi do sprawy w sądzie doraźnym. Jedni gadali o koniach, drudzy o mieszkaniu pana Stasinka, w którym ku zdumieniu przybyłych odkryto na parterze małą fontannę w salonie (podobno pierwszy burmistrz kazał sobie założyć; też siedzi); inni o jego kontaktach z podejrzanymi typami. Wszyscy udawali, że od lat o wszystkim wiedzieli, tylko nie chcieli mówić. Zwyczajnie, jak inteligenci. Zmęczyło mnie to gadanie, które raczej nadawało się do opowiadania niż do reportażu, i poszedłem do towarzyszki Józefkowej, do KW. Przyjęła mnie od razu i jej prosta, młoda jeszcze twarz rozpromieniła się serdecznym uśmiechem. Machnęła ręką na całą sprawę.

— Wybieramy sabotażystów jak gąsienice z kapusty — powiedziała. — Ale przecie nie o to chodzi, żeśmy jeszcze jednego złapali. Rozumiecie, ludzie uczą się rządzić. Słyszeliście o tym walnym zebraniu z lipca? Nie bardzo się udało. Mało aktywistów zabierało głos, nie umieli trafić w sedno sprawy, pokazać klasowe oblicze działalności pana Stasinka. Dopiero, kiedy wkracza partia i państwo, ludzie się ośmielają. Ale jeździe dziś po folwarkach, przyjrzyjcie się akcji oczyszczania szeregów partyjnych! Jak nasi partyjnicy zmądrzeli! Jak stali się czujni! I robota, towarzyszu, idzie.

— Sąd nie wszystko wyjaśni — mówiła dalej Józefkowa. — Są rzeczy, których trzeba dotykać delikatnie jak pajęczyny, żeby pająków nie spłoszyć. Ale i to, o czym się mówi na rozprawie, jest dobrą szkołą.

— Warto by o tym napisać jakiś reportażyk — rzuciłem mimochodem.

— Poczekajcie jeszcze z pół roku, wtedy napiszecie o Pokrzywkach.

— Planujecie coś urządzić w tych ruinach?

— Stację maszynową w majątku! A we wsi — pierwszą spółdzielnię produkcyjna w województwie! Tak, tak, zaczynamy!

Roześmiała się z triumfem i potrząsnęła mi rękę na pożegnanie:

— Tylko koniecznie przyjedźcie!

Robił się już zmierzch, kiedy wróciłem na salę. Była rzęsiście oświetlona. Chłopi siedzieli poważnie w ławkach; przewodniczący uśmiechnął się wyrozumiale, ale ze znużeniem. Ławnicy mieli twarze ostre i zacięte. Przemawiał prokurator. Wyłożywszy prawniczy punkt widzenia, naświetlił, jak to się mówi, sylwetkę oskarżonego. Nie potrafiłbym oddać żaru jego wymowy ani opisać pasji gestu. Słowem — dobrze mówił, a treść jego wywodów była mniej więcej taka:

— Oskarżony był działaczem związkowym. Politykiem. Wiedział dobrze, jakie ciążą na nim obowiązki. Zaufał mu lud, zawierzyło państwo. Pan Stasinek tłumaczył się, że w okresie organizowania państwowości praca jego nie była uregulowana regulaminami i że musiał nieraz decydować sam. To słuszne, i piękne. i odpowiedzialne. Ale kiedy inni zapracowywali się na śmierć, żeby ruszył transport i przemysł, żeby dać ludziom chleba i mięsa, maszyn i ubrań, pan Stasinek czerpał chciwą łapą z kasy związku zawodowego. Zasmakowało; założył gniazdko kumoterskie w miasteczku, groził ludziom, że powyrzuca, powsadza, nauczy. Bali się go, patrzyli w milczeniu, jak rozkrada mienie państwowe. I dopiero, gdy ci ludzie dojrzeli, gdy przestały im imponować i przerażać światowe maniery pana prezesa i gdy trzeźwym, gospodarskim okiem spojrzeli na jego działalność, wtedy oskarżony wyciąga kumów w B. i w Warszawie, rzuca się jak szczupak na haczyku, wyciąga swoje stosunki, przedkłada dokumenty, z których wynika, że ułatwiał temu czy innemu biurokracie polowanie na jego obszarach leśnych! Na jego! A gdzie się podziały pieniądze? Przejedzone, przehulane po Krynicach i miłych wycieczkach w samochodziku! Pieniądze zasmakowały; potrzeba było wciąż więcej i więcej. Więc konszachciki z agentami, diabli wiedzą jakimi i gdzie; mały sabotażyk i jeszcze mniejsza kradzież. I tak w kółko.

Kiedy pan prezes wyjeżdżał samochodami służbowymi na delegacje, kiedy obwoził kochanki i z dostojnikami sanacyjnymi po restauracjach bruderszafty wypijał za pieniądze związkowe, kiedy rozjeżdżał po uzdrowiskach, w jego majątkach nawet maści na świerzb nie było! Czy widział on kiedy dzieci robotników rolnych? Zagrożone gruźlicą, niedożywione, zarażone świerzbem? To nie on zorganizował ekipy lekarskie. To nie z jego inicjatywy młodzi studenci medycyny pojechali na wieś. Mówię o tym, gdyż pan Stasinek strugał z siebie bohatera. Samotnika, który organizował tu Polskę.

Nie chcę się domyślać, mówił dalej prokurator, na co oskarżony wydawał takie ogromne sumy pieniędzy. Przyjdzie czas na wszystko. Ale wychowany w gospodarce kapitalistycznej, całe życie marzący o zrobieniu kariery, nienawidzący państwa ludowego, pan Stasinek myślał, że już przyszedł czas grabieży i samowoli. Zadaniem Sądu będzie pokazać jemu podobnym, że czas ten bezpowrotnie minął.

Prokurator przerwał i popatrzył chwilę na oskarżonego. Potem spokojnie zakończył:

— Podtrzymując w całej rozciągłości akt oskarżenia, wnoszę o karę śmierci dla oskarżonego.

I usiadł. Zaraz podniósł się adwokat, który bardzo cichutko i bardzo zręcznie zbijał tezy prokuratora, dowodząc, że pan Stasinek to ofiara nieporozumienia i poświęcenia, po czym rozprawę przerwano do jutro. Widzowie tłocząc się wyszli na korytarz. Pan Stasinek, bardzo blady, ale opromieniony aureolą śmierci, przeszedł między nimi z męczeńskim uśmiechem. Flegmatyczny milicjant wprowadził go do pokoju aresztantów na kolację od pani Doroty. Cichcem wsunęła się za nimi pani Dorota.

— Kochany Stasinek! Chciałam ci podać zapałki, poszłam do prokuratora, pokazuję mu pudełko, ale mnie jak z nóg ścięło, słowa nie mogłam wykrztusić! — szczebiotała beztrosko. — A on, wyobraź sobie, popatrzył na mnie takimi złymi oczyma i mówi: a jeszcze pani tu brakowało! Pani kto? Uciekłam i nawet pudełka z zapałkami zapomniałam!

Pan Stasinek usiadł i nie ruszając jedzenia palił w milczeniu papierosa.

Nagle oczy pani Doroty zapełniły się łzami.

— Stasinek, Stasinek, co to będzie? — zapytała żałośnie.

— Kobieto, nie wygłupiaj się! — odpowiedział ostro pan Stasinek. Odrzucił ogarek i wyciągnął się z rozkoszą na ławce. — Rozmasuj mi nogi, zanim mnie odprowadzą. Spuchły mi po tylu dniach stania w tej ławce oskarżonych.

PAN STASINEK BĘDZIE PREZESEM

Późnym wieczorem w zadymionej restauracji pana Olejnika siedzieli przy zastawionym stoliku zmartwiona pani Dorota, energiczna pani Ciepko i zmęczony, ale raźny jak skowronek adwokat warszawski. Podczas gdy pani Dorota przesiadywała na rozprawie, pani Ciepko zwiedziła gruntownie sklepy tekstylne, nawiązała kontakty z miejscowymi zabawkarzami i korzystając z jarmarku, kupiła sobie do Warszawy zająca i tłustą kurę. Śmiechu było przy kolacji co nie miara, bo kupno się udało. Pani Ciepko umiała oszwabić autochtonkę, co było tym trudniejsze, gdyż ledwo się z nią dogadała. Poza tym rozmawiano przy kolacji o procesie.

— Nic się, Umiastowska, nie przejmuj— mówiła pani Ciepko, zajadając sałatkę z pomidorów. — Póki Ciepko i Spółka mają swoje chody, krzywda się nie stanie ani tobie ani twojemu Stasinkowi. Nie takie sprawy się załatwiało u Niemców, a to przecie nie Niemcy, nie hitlerowcy, tylko swoi.

Pani Dorota jadła bez apetytu, niemrawo grzebała widelcem w talerzu, ledwo umoczyła raz i drugi wargi w kieliszku starowinu. Pan Olejnik patrzył na nią ze współczuciem zza kontuaru i coraz to podsyłał kelnera, czy czego nie trzeba. Sam bał się podejść, dbał o reputację firmy.

— Gorsi niż hitlerowcy! — powiedziała z żalem pani Dorota. — Żeby takiego zmartwienia człowiekowi narobić! Tyle się tu naharował, parę lat na prowincji przesiedział, organizował, biegał, nie jadł, nie spał i co ma z tego? Powiedzą, że człowiek niedobry i zaraz wszyscy na niego! I ten prokurator! To jakiś nienormalny typ! Jakim prawem mówił o panu Stasinku jak o zbrodniarzu? Przecie gdyby mu dali czas, wszystko by w kasie wyrównał! Warszawa obiecała!

— Prokurator twierdził, że pan Stasinek sprzedawał konie na lewo, ale oczywiście grubo przesadził — powiedział adwokat, nabrał parę płatków szynki na talerz i z uwagą nakładał chrzan.

—No to co konie? Albo to on jeden sprzedawał? Nie należało mu się? Inni jak robią? Nie tak samo? Wszyscy mu taką przyszłość rokowali i tyle sobie obiecywali po nim!

— Właśnie! — sapnął adwokat i ujął w dwa palce kieliszek. — No, to się napijmy!

Wypili. Kelner podskoczył spod kantoru i napełnił próżne kieliszki.

Stasinek i tak daleko zajedzie, ja ci mówię, ja, Ciepkowa — powiedziała z przekonaniem siostra pani Doroty. — Grunt to forsa, moja droga Umiastowska, a forsy u Ciepków, panie Boże odpuść, nie braknie. Nie brakło za Niemców, nie zbraknie i za demokracji. Wyłoży się. Będziecie mieli, to oddacie. A nie, to nie. Niewielkie zmartwienie. Zarobi się nową. Bo co może być najgorszego?

— Śmierć! — powiedziała pani Dorota i zapłakała nad swoją sztufadą.

— Nie gadaj głupstw! — przerwała ostro pani Ciepko. — Co on może dostać? No, powiedzmy, sześć, dziesięć lat. Niech sobie dostanie. A my po roku złożymy podanie. Posmaruje się, gdzie potrzeba, obniżą, powiedzmy, do trzech, czterech lat. Będzie się zachowywał przyzwoicie, wypiszą mu dobre świadectwo, posmaruje się u dyrektora więzienia, obetną wyrok za dobre sprawowanie do dwu, trzech lat — i wyjdzie. I co za zmartwienie? U Ciepków w interesie zawsze się miejsce znajdzie dla człowieka ze stosunkami i zdolnościami Stasinka. Zresztą sama nie jedno jeszcze masz.

Pani Dorota potrząsnęła w zadumie głową.

Stasinek nie zechce pracować w inicjatywie prywatnej. To człowiek pracy społecznej. On innego życia nie znał poza swoim związkiem. On tak kochał swój związek! Tak się z nim zrósł! Niech mi pan powie, panie mecenasie, pan jest adwokatem, pan zna stosunki: czy Stasinek będzie mógł zostać znowu prezesem jak wyjdzie z więzienia?

— Na pewno! — potwierdziła gorąco pani Ciepko. — Forsa zawsze robi, że wszystko jest dobrze!

ŚMIERĆ FRAJEROM (ZAKOŃCZENIE)

Niestety, prawie wszystko nie poszło dobrze: sąd doraźny skazał pana Stasinka na karę śmierci; z prawa łaski nie skorzystano; wyrok został wykonany. Po kilku miesiącach żałoby pani Dorota, która początkowo pracowała w sklepie z zabawkami pani Ciepko, wróciła jednak do swego męża, pana mecenasa Umiastowskiego, i tak na razie skończyła się pomyślnie przynajmniej jedna jej sprawa.

OD AUTORA

A teraz, towarzyszu prokuratorze, dawajcie następną sprawę.

Tadeusz Borowski.

Z WYSTAWY RYSUNKÓW DZIECI

Aleksandra Grzywacz kl. VI lat 12 Szkoła Podstawowa w Gorzycach

Józef Mróz kl. VII lat 14 Szkoła Podstawowa w Rozmierzy

Andrzej Lutze - Birk kl. VII Szkoła Podstawowa w Warszawie

Zofia Bombicz kl. VII lat 13 Szkoła Postawowa w Tomaszowie Mazowieckim

ANDRZEJ KIJOWSKI

Żołnierski akt oskarżenia

Pierwszą z książek Stanisława Zielińskiego, tom opowiadań „Dno miski", omawiała już Janina Preger w 12 n-rze „Kuźnicy", stwierdzając, że jego treścią jest „spóźniony żal do Polski sanacyjnej, rozczarowanie i ironia w stosunku do tamtych porządków i ludzi", i że „choć krytyczne spojrzenie Zielińskiego wnosi jednak wprawdzie wartości pisarskie" oraz „pewne prawdy, które dotąd nie otrzymały dostatecznego wyrazu w literaturze" — to „z drugiej strony wartość książki ogranicza się do tego zakresu krytyki, czynionej z bardzo specyficznego wycinka rzeczywistości".

Już pobieżny rzut oka na drugi z kolei tom opowiadań Zielińskiego pt. „Przed świtem" *) pozwala zauważyć, że opowiadania te niczym właściwie nie różnią się od poprzednich, że np. pomieszczenie ich wszystkich w jednym zbiorze niczym nie podważyłoby jednolitości tak rozszerzonego tomu. Występuje tu ten sam „spóźniony żal", ten sam ton rozczarowania i ironii, to samo środowisko zdezorientowanych żołnierzy i oficerów, ten sam styl wreszcie.

Mimo to „Przed świtem" nie jest tylko prostym przedłużeniem tej samej linii krytyki. Jest także wzbogaceniem oskarżenia o nowe argumenty, wynikające z nowych doświadczeń, dostarczonych obficie przez rozczarowania dalszych etapów tułaczki. Na etapach tych znajduje też krytyka Zielińskiego nowych adresatów: są nimi ci sami sanacyjni oficerowie spod znaku Śmigłego, występujący teraz pod znakami Andersa, są nimi amerykańscy „sojusznicy", są nimi wreszcie Niemcy — ale w dwóch bardzo rozmaitych postaciach: najpierw jako zwycięzcy i strażnicy obozowi, potem jako... towarzysze broni swych niedawnych ofiar (zgermanizowani i sfaszyzowani Polacy, wcieleni do oddziałów Andersa).

Problem żołnierza posiada przy całej swojej specyficzności znacznie głębszą wymowę niż by to sobie można wyobrazić na podstawie stworzonej wokół niego literatury. Jest to bowiem specjalnie czuły i wrażliwy punkt każdego systemu, każdej ideologii, która w danym momencie historycznej rozgrywki potrzebuje usług swego „zbrojnego ramienia". W sposobie wychowania żołnierza, w urabianiu t.zw. „ducha armii", w deklaracjach ideologicznych, składanych przed frontem żołnierzy, którzy w imię ich mają pójść do walki z konkretnie i bez ogródek wskazanym już wrogiem — system faszystowski odkrywa już wszystkie karty, gra zupełnie jawnie, kompromituje się w sposób najbardziej drastyczny.

Patrząc dzisiaj na reżim sanacyjny, czy na koncepcje rządu londyńskiego od strony problemu żołnierza, napotykamy się na oczywistości najbardziej skondensowane, cynizm najbardziej otwarty i brutalny, frazesy najłatwiejsze do zdemaskowania. Stoimy też wobec problemu człowieka najokrutniej okłamanego i wykorzystanego: wobec problemu chłopa, robotnika, czy inteligenta, który wbrew swym bolesnym częstokroć doświadczeniom naraża się na śmierć i tułaczkę, pod wodzą ludzi niegodnych, na przekór swym własnym częstokroć ideałom.

Czytając książkę Zielińskiego śledzimy kartka po kartce narastanie poszczególnych wniosków i spostrzeżeń w oskarżającą syntezę. Jesteśmy świadkami bolesnego dramatu ludzi, którzy padli ofiarą głupoty i cynizmu.

Mówiąc o klęsce wrześniowej Zieliński nie poprzestaje na pokazaniu skutków (jak w „Dnie miski"). Sięga do poprzedzających ją symptomów — a przez nie do przyczyn. Rozpoczyna od groteskowych obrazków z manewrów wojskowych, pokazuje komedię „czujności bojowej" i politycznego uświadamiania żołnierzy. A dalej nastroje wśród ludności cywilnej: reżyserowany przez policję entuzjazm dla wojska („Defilada"), tragifarsę z żywymi torpedami, humorystyczne instrukcje OPL i na tym tle... kochankę generała, zamawiającą sobie kostium na modłę żołnierskiego uniformu.

Ale nigdzie chyba sprzeczności wewnętrzne reżimu nie znalazły silniejszego wyrazu, niż w opowiadaniach pt. „Dragony" i „Przed świtem". — szczególnie w tych momentach, kiedy chłopi zgoła obojętnie reagują na wieść o tym, że pan starosta złapał szpiega, ale na widok zbliżającego się do wsi szwadronu policji konnej cała wieś ucieka w pole, wrzeszcząc w niebogłosy, — i w końcowym momencie drugiego opowiadania (zamykającego cykl wrześniowy), kiedy prości żołnierze, wziąwszy zabłąkanego w lesie podchorążego za partyzanta rozstrzeliwują go po cichu, nie troszcząc się zbytnio o dowody jego zdrady. Jaką nieufność, nienawiść, czy obojętność zdobyła sobie Polska rządzona przez marionetki obszarników i kapitalistów — pokazuje pierwsze opowiadanie, jaką przepaść między inteligencją a ludem, między oficerem a żołnierzem wykopała taktyka sanacyjna, i — jak winami swymi obciążyła niewinnych ludzi — pokazuje drugie. I jeżeli słusznie dopatrujemy się — zwłaszcza w opowiadaniu ostatnim — pewnego powtórzenia schematu „Kordiana i chama", niech nam wolno będzie stwierdzić, że schemat ten został powtórzony trafnie.

Zanim powędruje Zieliński przez dalsze etapy tułaczki żołnierzy, zatrzyma się na obrazkach z życia obozu jeńców. Temat ten znalazł już wyraz w kilku opowiadaniach „Dna miski", z tym, że w „Przed świtem" został potraktowany w aspekcie bardziej psychologicznym, niż w zbiorze poprzednim, gdzie autor ustosunkował się doń od strony jakgdyby „socjologii obozu". Stanowi zatem uzupełnienie tamtego obrazu, zwłaszcza, że ze szczególną siłą postawił tu Zieliński sprawę trudu przetrwania, sprawę gromadzenia się w psychice jeńców gruzu obserwacji, manii, apatii, zdziwaczenia, przez które tak trudno będzie przebrnąć później wyzwolonym i rozpoczynającym normalne życie.

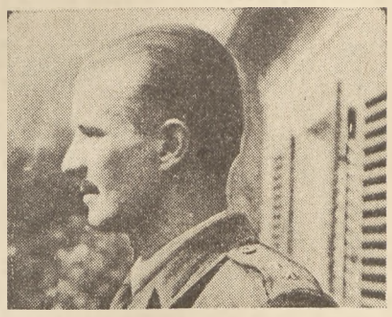

Stanisław Zieliński

Gromady ludzi złamanych błąkać się będą po Europie, a świat, na którego ujrzenie czekali przez pięć z górą lat, dostarczy im nowych goryczy, upokorzeń i rozczarowań. Gorzkie były spotkania z amerykańskimi „oswobodzicielami", spotkania z nowymi towarzyszami broni i dowódcami, kiedy wielu spośród tych ludzi szukało urzeczywistnienia swych marzeń o wojsku polskim w szeregach armii Andersa (samobójstwo por. Malarskiego w opowiadaniu „Castel di Tana").

Zieliński świetnie pokazuje, jak dezorientację wśród żołnierzy wykorzystują reakcyjni dowódcy, kierowani przez swych anglosaskich mocodawców, dla utrzymywania żołnierzy w ciągłym niezdecydowaniu, dla wybijania im z głów myśli o powrocie. Ale autor nie zatrzymuje się tylko na odmalowywaniu nastrojów wśród żołnierzy, demaskuje jednocześnie taktykę imperialistów, którzy utrzymując reakcyjnie nastawione garnizony polskie, używają ich do swoich celów: pułkownik Byczotupski (!) z opowiadania „Daleko od morza", zarabia nieźle na handlu z miejscowymi kapitalistami, a jednocześnie trzyma w ryzach „burzącą się komunę" (wydaje pozwolenie b. partyzantom włoskim na odbycie wiecu, ale pod warunkiem, że będą przemawiać po... polsku. Pomysł godny Zagłoby!), gdzie indziej dowiadujemy się, że żołnierze zdrapują z murów napisy na cześć pokoju, Związku Radzieckiego, że Anglicy robią wśród nich zaciągi do policji brytyjskiej w krajach kolonialnych itd.

Tak dociera Zieliński do dna rozczarowań i upokorzeń, do ostatniego etapu kłamstw i tułaczki żołnierza polskiego, etapu z którego wielu z nich do dzisiejszego dnia nie potrafiło znaleźć wyjścia, a dla innych wyjście znalazło się w drodze powrotnej do kraju. Cykl „Kwatery włoskie" kończy się tragicznym samobójstwem oficera dobrej woli, zwiedzionego przez reakcyjną propagandę, a cykl następny znaczyć już będzie drogę narratora do Polski. Książkę Zielińskiego kończy rozmowa z warszawską paniusią, pod łukiem bramy, ocalałej ze spalonego domu, przez którą w 1939 roku przeszedł człowiek powołany do wojska. Tytuł opowiadania: „Więcej, niż łuk triumfalny".

Pomimo nader przychylnego przyjęcia książek Zielińskiego przez dotychczasową krytykę, spotkały się one z cytowanym wyżej zarzutem ograniczenia zakresu krytyki (Janina Preger), pokazywania w faktach drobnego wymiaru tylko symptomów zła, nie sięgania do jego źródeł (L. Flaszen, „Wieś" Nr 21/50). Niewątpliwie w zarzutach tych jest wiele słuszności. Psychologia bohaterów Zielińskiego kryje w sobie wiele uproszczeń. Brak w tych opowiadaniach postaci pozytywnych świadomie walczących z tym złem, które autor demaskuje.

A trudno sobie przecież wyobrazić, by żołnierze doznając upokorzeń i rozczarowań, nie tłumaczyli sobie ich przyczyn, nie sumowali sobie zdobytych doświadczeń w sposób, zmieniający ich światopogląd, na przekór właśnie praktykom dowódców, zmierzających do ich systematycznego ogłupienia. Musieli być tacy, którzy sięgali wzrokiem „poza koniec lufy armatniej". Tymczasem u Zielińskiego olbrzymia większość wierzy dowódcom, niewielu patrzy dalej — lecz nie znajduje wyjścia i przeżywa tragedie, — a bardzo już niewielu wiedząc o wszystkim i widząc wszystko — także nie znajduje na to rady, więc kpi na potęgę ze wszystkiego, wszystkich, nie wyłączając siebie. I właśnie spojrzenie Zielińskiego pokrywa się na przemian to z postawą bezwyjściowego tragizmu, to z przymusem cynicznej kpiny.

Tylko taką dwustronną wymianą masek tłumaczyć sobie należy specyficzny styl Zielińskiego: styl wahający się między behawiorystycznym tragizmem, a humorystycznymi dowolnościami groteski. Styl ten — to nie tylko arcypomysłowe porównania i epitety, nie tylko krótkie zwięzłe, telegraficzne czasem zdania, nie tylko ów, właściwy Zielińskiemu, w części wisielczy, w części koszarowy dowcip. Właściwości stylowe Zielińskiego sięgają samego doboru faktów, samej konstrukcji nowel, zestawienia dysproporcjonalnych argumentów krytyki. Oczywiście jest to konwencja stylistyczna groteski, gdzie zawsze dowolnie dobrany drobiazg pęcznieje do rozmiarów na tyle istotnego symptomu, że bierze się go poważnie pod uwagę, jako istotny element argumentacji. O przydatności i rozmiarze groteski decydują ramy założonej koncepcji.

W tym miejscu nie mogę oprzeć się chęci powołania się na wielki wzór... Stendhala, który niezmiernie często w ramach realistycznych koncepcji, w momentach szczególnie dlań bolesnych uciekał się do deformującej rzeczywistość kpiny.

Zieliński nie zawsze umie jednak utrzymać miarę deformacji. Można zauważyć u niego pewnego rodzaju wyemancypowanie się jego tragiczmo-sowizdrzalskich grymasów w kierunku formalistycznego eksperymentowania, pewne — jakgdyby zastygnięcie tych grymasów w kształt trwalszej, ogólniejszej postawy życiowej. Mamy tu do czynienia z pewną manierą stylistyczną, zagrażającą Zielińskiemu z dwóch stron: zarówno ze strony owej przesady w dowolnościach fantastyki, jak i ze strony koszarowej „bylejakości" humoru. Przykładów umyślnie nie podaję. Nie chcę Zielińskiemu palcami wytykać potknięć, a czytelników zapoznawać ze stylem autora od gorszej strony, tym bardziej, że właśnie skądinąd zalety języka, umiejętność posługiwania się piórem stanowią jeden z głównych walorów książki, obok tego, że jest ona niewątpliwie cenną, gdyż konsekwetnie przeprowadzoną próbą syntetycznego spojrzenia od pewnej strony na minione lata wojenne.

Andrzej Kijowski

*) Stanisław Zieliński: „Przed świtem". Opowiadania. „Czytelnik", 1949 (KDK), str. 187 i 3 nlb.

Perspektywy rozwojowe literatury polskiej

(Dokończenie ze str. 2)

lania się od materiałów i dokumentów, natomiast książce tej zabrakło ciepła i pasji — portret Słowackiego nie dość pociąga czytelnika. Obie te książki wymagają pogłębienia przy współudziale historyków i badaczy literatury. Słusznie postępują autorzy, pracując nad nimi nadal.

Stan badań literackich przeszłości wpływa z drugiej strony na stan krytyki oceniającej literaturę bieżącą. Bez wyostrzenia narzędzi krytycznych metody marksistowsko-leninowskiej na literaturze przeszłości, bez zagospodarowania się po nowemu w dziedzictwie literackim nie można mieć właściwej perspektywy na literaturę realizmu socjalistycznego, ale trzeba podkreślić że nawzajem — bez zajmowania się literaturą dzisiejszą, bez stałego obcowania z dążeniami realizmu socjalistycznego, krytyk nie uzyska właściwych norm wartościowania literatury dawnej.

Essayistyka może dla krytyki literackiej odegrać rolę rekonesansu, zwiadu, przygotowującego konkretne oceny poszczególnych utworów. Mój zbiór essayów wydany w roku 1949 pod tytułem „W stronę humanizmu" zawiera prace pisane do roku 1948. Tylko pewne pozycje tego zbioru odnoszą się do współczesnej problematyki literackiej. Według oceny „Kuźnicy" pozycje te odegrały pewną rolę w przygotowaniu gruntu do realizmu socjalistycznego. Uważam, że może tu być tylko mowa o roli cząstkowej — i to nie konsekwentnej. Są tam twierdzenia niejasne, nieśmiałe, jest wiele twierdzeń niesłusznych. Nie widziałem dość jasno perspektywy rozwojowej literatury Polski Ludowej. Nie doceniałem nowatorstwa literatury radzieckiej. Charakteryzując literaturę okresu imperialistycznego, nie dość jasno i nie dość precyzyjnie wiązałem procesy ideologiczne zachodzące w łonie burżuazji z konkretnym przebiegiem walki klasowej. W konsekwencji nie doceniłem decydującego wpływu tej walki na wytwarzanie się schyłkowych ideologii burżuazji. Natomiast wydaje mi się, że słusznie oceniłem egzystencjalizm i jego nieudaną dywersyjną rolę odgrywaną na rzecz imperializmu amerykańskiego.

Nie mamy w ostatnim okresie innych książek essayistycznych czy krytycznych, które by zahaczały o współczesną problematykę literacką. Kadra wykwalifikowanych krytyków zajmowała się prawie wyłącznie badaniami z historii literatury. Wzrastanie tej kadry oznacza jednak wzrastanie wykwalifikowanych krytyków marksistowskich, którzy mogą współdziałać z rozwojem realizmu socjalistycznego. Obok Kierczyńskiej, Kotta, Żółkiewskiego, pozycję marksistowską zajmuje obecnie Kazimierz Wyka. Przybyły nowe wykwalifikowane siły krytyczne — Markiewicz, Janicka, Drewnowski, Żmigrodzka. Najbardziej ambitna pod względem naukowym młodzież uniwersytecka dąży do opanowania metody marksistowsko-leninowskiej.

Krytyka idealistyczna, reduta na której okopała się Maria Starowieyska-Morsztinowa, okazała się bezsilna wobec nowych zagadnień rozwoju literackiego. W tygodniku „Dziś i jutro" krytyk literacki Zygmunt Lichniak usiłuje stworzyć poetykę normatywną: wymaga ukazywania współzależności świata materialnego i nadprzyrodzonego, ukazywania tajemnic łaski przez codzienne przejawy życia. Trudno się spodziewać, aby wielu pisarzy zechciało zaspokoić wymagania Zygmunta Lichniaka. Poszczególne słuszne spostrzeżenia Lichniaka o utworach literackich nie mają nic wspólnego z tą poetyką normatywną. Wynika to po prostu stąd, że metody krytyki postępowej zaraziły nawet Zygmunta Lichniaka.

Krytyka postępowa od czasu wysunięcia postulatu realizmu socjalistycznego weszła w nową fazę rozwoju. Rozwiały się sugestie, jakoby nowy realizm miał być budowany w oparciu o osiągnięcia mieszczańskiego realizmu krytycznego. Sugestie takie płynęły z badań nad Prusem i nad pozytywizmem polskim. Co prawda zdawano sobie sprawę z ograniczoności klasowej realizmu krytycznego, ale nie wyciągano stąd wniosków. Równocześnie na łamach „Kuźnicy" dochodziło do absolutyzowania warsztatu pisarskiego z okresu schyłkowej kultury imperialistycznej. Paweł Hertz usiłował w ten sposób bronić kultury tego okresu. Wysunięcie postulatu realizmu socjalistycznego, ukazanie właściwej perspektywy rozwojowej dla literatury polskiej doprowadziło do rozbicia tych pozycji. Jednakże nadal poważnym objawem niedojrzałości krytyki w „Kuźnicy", „Wsi" i „Odrodzeniu" było oddzielanie analizy treściowo-ideologicznej od analizy formy. To rozszczepienie metody krytycznej sprzyjało ześlizgiwaniu się krytyków na pozycję socjologizmu, równocześnie sprzyjało sztucznej hodowli formalistycznych metod. Krytyka literacka w czasopiśmie „Wieś" po przezwyciężeniu socjologizmu weszła w etap klasowej, politycznej oceny wartości poznawczej utworu, ale nadal nie doceniała specyfiki literackiej. Krytyka literacka w „Kuźnicy" odwrotnie — przez oddzielanie tak zwanych wartości formalnych, w imię specyfiki literackiej często traciła z oczu ideowe znaczenie utworu. W tym stanie rzeczy krytyka literacka przodujących czasopism nie mogła odegrać roli wychowawczej w stosunku do pisarzy. Nie odegrała jej w stosunku do Adolfa Rudnickiego, Jastruna, Borowskiego, nie odegrała w stosunku do wielu młodych pisarzy. Szczególnie zaniedbała sprawę poezji. Tym się tłumaczy dezorientacja artystyczna, gorączkowe poszukiwanie jakiejś „recepty" przez młodych poetów. Podczas niedawnej dyskusji o poezji wyszło na jaw, że kursują jeszcze w środowisku literackim wygłaszane niegdyś w 1946 roku najgłupsze formalistyczne sądy o normach poetyckich, jako to że wiersz wolny jest kanonem twórczej poezji, a wiersz regularny — kataryniarstwem, że istnieją rytmy i rymy banalne, które trzeba zwalczać. Sądy takie mogły się utrzymać dlatego, że krytyka literacka dużo mówiła o tak zwanych wartościach formalnych, a nic rzeczowego o formie nie powiedziała.

Niedojrzałość krytyki marksistowskiej, odłączanie tak zwanych wartości formalnych utworu od jego wartości ideowej, poznawczej, determinującej jego przydatność w walce o rozwój życia — idzie na rękę przeciwnikom krytyki marksistowskiej. Można się było o tym przekonać na zjeździe młodych polonistów i na zjeździe literacko polonistycznym w ostatnich tygodniach. Przeciwnicy, nie mogąc przeciwstawić żadnego systemu krytyce marksistowsko-leninowskiej, proponowali wyrok salomonowy: rozciąć krytykę na pół, pozbawić ją życia: jedna połowa dla marksistów, druga dla nich. Naturalnie ta jedna połowa to byłaby ułomna interpretacja ideologiczna bez uwzględnienia formy, a druga — dywagacje formalistyczne. Wiemy, że przeciwnik zawsze wyczuwa słabe miejsce. Idealiści wyczuli, gdzie tkwi słabość obecnego stanu krytyki marksistowsko-leninowskiej w Polsce.

W związku z reorganizacją czasopism literackich nastąpiło skupienie sił, wzmocnienie krytyki literackiej w „Nowej Kulturze" i we „Wsi". Prace recenzyjne Ryszarda Matuszewskiego o Borowskim, Kubiaku, Adolfie Rudnickim pogłębiły się ideowo. Równocześnie widać, jak krytyk który w centrum rozważań stawia wartość ideową utworu uzyskuje jaśniejsze, trafniejsze spojrzenie na formę i styl. Zasady krytyki marksistowskiej przyswaja sobie również Janina Preger w „Nowej Kulturze". Anna Kamieńska i Jan Śpiewak specjalizują się w krytyce poetyckiej. O coraz lepszym opanowaniu tych zasad świadczą ostatnie prace młodych krytyków zwłaszcza Andrzeja Wasilewskiego i innych. Młodzi krytycy starają się usunąć dawny mankament, który polegał na nieuwzględnieniu specyfiki ideologii literackiej. Wszystko to wskazuje na wzrastanie sił krytyki marksistowskiej w Polsce.

Jakie wnioski nasuwa nam obecna sytuacja literacka?

Perspektywa rozwojowa literatury polskiej jest jasno zarysowana. Zmiana orientacji na rzecz realizmu socjalistycznego ogarnia coraz szersze kręgi literatów. Jest to proces nieodwracalny zespolony ściśle z kierunkiem rozwojowym Polski Ludowej. Napływ nowych sił literackich wrażliwych na nowe przejawy życia, działa ożywczo na problematykę literacką. W miarę wzrastania awansu społecznego mas robotniczych i chłopskich, w miarę coraz nowego przypływu sił proces ten będzie się wzmagał i pogłębiał.

Dojrzewanie literatury realizmu socjalistycznego uzależnione jest od dokładnej znajomości życia i od poziomu ideowego literatów. Podjęta w tym roku akcja związania literatów z terenem, była pierwszą planową próbą zbliżenia ich do dzisiejszych zagadnień rozwoju społecznego. Podniesienie poziomu ideowego stanowi nieodzowny warunek rozwoju realistycznego warsztatu pisarskiego. Wymaga to intensywnej pracy ideologicznej na terenie Związku Literatów, przekształcenia organizacji literackiej w samodzielny ośrodek twórczy pisarzy. Czerpanie nauki z doświadczenia radzieckiego, oparcie się na krytycznie ujętej postępowej tradycji narodowej, wzmocnienie ideowej postawy literatów, uściślenie ich więzi z postępowym nurtem życia — przyśpieszy dojrzewanie literatury realizmu socjalistycznego w Polsce, metody literackiej, która buduje życie i stanowi najlepszą metodę walki o pokój.

Adam Ważyk

POLONICA W PRASIE RADZIECKIEJ

Radziecka prasa literacka — i nie tylko literacka — coraz więcej uwagi poświęca nowym zjawiskom w kulturze, w literaturze i sztuce krajów demokracji ludowej. Przy tym — nawet mniejsze artykuły, recenzje i notatki nigdy nie mają charakteru czysto informacyjnego, nie rejestrują lecz dają zarówno radzieckiemu jak zagranicznemu czytelnikowi, a więc także pisarzowi i krytykowi, uogólniony pogląd na dane zjawisko, zagadnienie czy utwór. Zapoznanie się z tym, co o naszej literaturze pisze się w ZSRR, pozwala naszym pisarzom i krytykom skonfrontować własne oceny ze stanowiskiem krytyki radzieckiej, tak doświadczonej w operowaniu marksistowsko-leninowskimi metodami analizy, co niewątpliwie ma dla nas duże znaczenie teoretyczne i praktyczne.

Interesujące uwagi o niektórych zjawiskach naszej powojennej literatury znajdujemy np. w artykule T. Motylewej, w miesięczniku „Nowyj Mir". Artykuł ten (dotyczący w ogóle postępowej literatury zarówno w krajach demokracji ludowej, jak w krajach kapitalistycznych) zwraca m. in. uwagę na fakt, że „i w Polsce i w Czechosłowacji — krajach, których literatura dysponuje bogatą rodzimą tradycją realistyczną — ukazują się nowe wybitne utwory, rzetelnie odzwierciadlające prawdę, aktualne tematycznie, przepojone socjalistyczną ideowością". Autorka wymienia przykładowo „Rzeczywistość" Putramenta, „Stare i nowe" Lucjana Rudnickiego, „Fundamenty" Pytlakowskiego.

Charakteryzując dość obszernie „Rzeczywistość" — Motylewa podkreśla, że powieść ta „wzmaga w czytelniku nienawiść do tych reakcyjnych sił, które chciałyby wskrzesić przeszłość". Najistotniejszą słabość książki autorka widzi w tym, że „obóz rewolucyjny przedwojennej Polski przedstawiony jest w powieści słabo: ci komuniści, którzy epizodycznie występują w fabule, naszkicowani są bardzo schematycznie". Natomiast dojrzałość ideową Putramenta jako autora widać w tym, jak „pokazał środowisko demokratycznie usposobionej drobnomieszczańskiej inteligencji — środowisko, w którym sam wyrósł. Ironiczny ton autora przypomina czytelnikom, że pisarz bynajmniej nie utożsamia się ze swymi bohaterami, że krytycznie rewiduje także własną przeszłość". Motylewa konkluduje, że powieść Putramenta „nie tylko daje wierny obraz niedawnej przeszłości Polski, ale wysuwa problemy o aktualnym znaczeniu dla inteligencji w krajach demokracji ludowej".

Zasługa Pytlakowskiego — pisze Motylewa omawiając jego „Fundamenty" — polega na tym, że „on pierwszy potrafił utrwalić w wielkim utworze literackim proces życiowy o doniosłym historycznym znaczeniu: narodziny nowego stosunku do pracy wśród proletariatu demokratycznej Polski", przy czym powieść „przepojona jest dramatyzmem zaciętej walki klasowej". Jak stwierdza Motylewa, Pytlakowski zdołał „odtworzyć — przynajmniej w poszczególnych rysach — heroizm wyzwolonej pracy... dobrze oddaje atmosferę wspólnej wytężonej pracy dla siebie, kiedy to ludzie wyrastają moralnie, wdrażają się do nowych stosunków wzajemnych, opartych na koleżeńskiej solidarności. Powieściopisarz wykrywa żywe szczegóły życia fabrycznego, w których występują na jaw te nowe stosunki wzajemne".

Wady powieści Pytlakowskiego Motylewa widzi m. in. w rozwlekłych, niepotrzebnie brutalnych, naturalistycznych epizodach, co oznacza bezwiedne uleganie obcym, burżuazyjnym wpływom; w „uczłowieczaniu" jednego z hersztów bandy sabotażowej, Janickiego, w przypisywaniu mu ideowych pobudek; w upodobaniu do ukazywania ludzi pękniętych wewnętrznie, nawet pozytywnych bohaterów, jak Boczar, asceta i pechowiec w życiu osobistym. Pomimo tych bardzo istotnych wad „Fundamenty" mają — podkreśla autorka — poważne znaczenie jako jedna z pierwszych nowatorskich powieści w powojennej literaturze polskiej.

Niektóre uwagi poświęca Motylewa naszej rewolucyjnej poezji. „Patosem odbudowy Polski — czytamy w artykule — natchnione są nowe wiersze wybitnego poety polskiego Władysława Broniewskiego, wiersze St. Wygodzkiego, A. Brauna". I dalej: „Poetów w tych krajach czeka jeszcze poważna walka o kunszt, o pełnowartościowe zobrazowanie nowego życia i nowych ludzi. Ale sam zwrot ku tematyce współczesnej. ku heroizmowi budownictwa i pracy... jest zjawiskiem doniosłym i radosnym".

Dając ogólną charakterystykę nowej literatury w Polsce i w ogóle w krajach demokracji ludowej, Motylewa stwierdza że w krajach tych „już istnieją obiektywne przesłanki dla rozwoju realizmu socjalistycznego. W krajach tych, gdzie odbywa się zwycięska ofensywa sił socjalizmu, gdzie szeroko rozwija się twórcza inicjatywa mas, gdzie kultura powstaje pod kierowniczym wpływem partii komunistycznych i robotniczych, sztuka naprawdę może się stać (i częściowo już się staje) odzwierciadleniem „dostarczonych przez praktykę pracy faktów twórczości socjalistycznej", jak mówił swego czasu Gorki.

Niedawno „Litieraturnaja Gazieta" w recenzji pióra M. Ignatowa omówiła jedną z nowych pozycji naszej literatury powieściowej — Jana Wilczka Nr 16 produkuje", Jak pamięta polski czytelnik, latem i jesienią ub, roku książka Wilczka była m. in. tematem bardzo żywej polemiki na łamach „Kuźnicy" i „Odrodzenia" (artykuły Brandysa, Żółkiewskiego, Sandauera). Recenzent „Litieraturnej Gaziety" nawiązuje także do tej polemiki. Podnosząc wybitnie nowatorski charakter powieści Wilczka, ocenia ją jako zjawisko bardzo pozytywne w naszej powojennej literaturze i — jakkolwiek zaznacza, że „powieść jest nieco przeładowana opisami procesów technicznych" — odpiera generalizujący zarzut Sandauera, jakoby książka ta była tylko „beletryzacją procesów technicznych". Polemizując z Sandauerem, Ignatow podziela stanowisko zajęte wówczas przez Żółkiewskiego i Brandysa, którzy — przy wszystkich jej niedomaganiach — dostrzegli w powieści Wilczka jedną z pierwszych pozycji powstającej w Polsce literatury realizmu socjalistycznego. Zdaniem recenzenta radzieckiego Sandauer „przekreśla niewątpliwe zasługi tej potrzebnej i pożytecznej powieści".

r.

STEFAN TREUGUTT

DON JUAN W „TEATRZE POLSKIM"

Krytyka inscenizacji warszawskiej

GIRAUDOUX pisząc sztukę o Amfitronie, którą w zeszłym sezonie jesiennym widzieliśmy w teatrze Rozmaitości, ponumerował swych trzydziestu siedmiu poprzedników — stąd „Amfitrion 38". Literackich i scenicznych opracowań legendy o Don Juanie nie można by tak łatwo policzyć. Jest ich zbyt wiele.

Andaluzyjska legenda o niemoralnym, niewiernym kochanku, którego efektownie gubią pod koniec powiastki siły wyższe, doczekała się w początkach XVII wieku opracowania scenicznego. Autorem miał być sławny Tirso de Molina. Sztuka o „oszuście z Sewilli" (el Burlador de Sevilla — taki był tytuł oryginału) zrobiła zawrotną karierę literacką. W niewiele dziesiątków lat „Don Juan" w rozmaitych wersjach i pod rozmaitymi tytułami podbił sceny hiszpańskie, włoskie i francuskie, by jeszcze w tym samym XVII wieku zawędrować do Anglii, Niemiec i Holandii. W trzysta lat po swym debiucie scenicznym „Don Juan" liczy wiele, wiele setek wersji i „pokrewieństw". Legenda ogarnęła swym zasięgiem większość literatur europejskich. Nie miejsce tu na rozważania, jakimi skomplikowanymi drogami schemat miłosnych perypetii i podbojów rodaka Corteza (obaj wywodzą się z Andaluzji) obiegał sztukę wielu narodów — trzeba jednak stwierdzić: 1) schemat legendy o Don Juanie stał się konwencją literacką; 2) konwencja ta służy przez kilkaset lat literatom i dramaturgom wielu krajów dla wyrażania najróżniejszych treści; 3) religijno-moralne, groteskowe, społeczno-satyryczne, tragiczne, metafizyczne i „wieczyście męskie" treści Don Juana maskowały różne doświadczenia i dążności społeczne pisarzy w kolejnych etapach rozwoju społeczeństw europejskich.

Cicognini, Tomasz Corneille, Byron, Mérimée, czy Puszkin (myślę tu o dramacie „Kamiennyj gost", a nie o poemacie o „Oneginie", chociaż i ten ostatni jest dalekim „krewnym" naszej legendy) — u nas Berwiński, St. Rzewuski i Rittner — to przypadkowy zbiór spadku po „sewilskim oszuście", tak przecież różny pod względem ideologicznym i artystycznym. Obok konwencjonalnego formalizmu, groteski i kosmopolitycznego przedstawiania „ideału mężczyzny" znajdziemy utwory o zdecydowanej i postępowej ideologii społecznej.

O niewątpliwie społecznej genezie legendy świadczy fakt, że Don Juan we wszystkich wariantach jest wielkim panem (chyba że utwór pokazuje nieudolne aspiracje na Don Juana), że bardziej lub mniej świadomie łamie przyjęte prawa, czy ich nadużywa. Stąd możliwości bardzo wielorakich koncepcji postaci tytułowej i wielorakiego zużytkowania konwencji — postępowego realistycznego lub pod maskami różnych koncepcji idealistycznych — wstecznego. Do tego arcyciekawego zagadnienia wypadnie wrócić przy analizie widowiska warszawskiego.

„Don Juan" w wersji Moliera jest świetnym przykładem społecznie pełnego wyzyskania konwencji literackiej, nadania jej głęboko postępowego sensu. Już samo to, że pierwsze wystawienie w Théatre du Palais-Royal (15 lutego 1665 r.) spotkało się z burzą protestów ze strony dewotów i arystokratycznych wstecz ników, podczas gdy współcześnie i wiele lat potem grywano francuskie i włoskie wersje groteskowego i „moralnego" Don Juana i nikt się tym nie przerażał, już to świadczy dobitnie o społecznej funkcji tej sztuki Moliera. Dookoła batalii o „Don Juana", tak jak dookoła jeszcze głośniejszej i większej batalii o wcześniejszego „Tartuffa", urosła legenda — ale faktem jest, że już na drugim przedstawieniu Molier musiał usuwać całe partie tekstu, faktem jest, że żądano, by Ludwik XIV ukarał zuchwalca, że tekst sztuki nie mógł ukazać się w druku, że przedstawienie rychło i na wiele dziesiątków lat we Francji zawieszono (a jednocześnie zaczął wędrować molierowski „Don Juan" poza granice Francji i już w kilka lat po prapremierze jest grywany w Niemczech). Te fakty mają swoją wagę i nie należy o nich zapominać przy pracy nad tekstem molierowskim.

Analiza tekstu sztuki powie nam o tym, że „Don Juan" Moliera jest bardzo wyraźnie osadzony społecznie i historycznie, że realistycznie, a więc z określonego, postępowego punktu widzenia przedstawia stosunki we Francji w 60-tych latach XVII wieku. Sytuacje poszczególne, nawet bardzo drobne, są w sztuce realistycznie umotywowane. Równie realistyczne, bo z prawdziwych społecznie sytuacji wynikające, są charaktery i przekonania osób występujących. O ile chodzi o to, tekst Moliera nie lęka się nawet bardzo drobiazgowej, współczesnej analizy. Ale ten sam tekst ma przecież dużo elementów konwencjonalnych, ma przede wszystkim ożywiony posąg komandora, ukazujące się kilkakrotnie duchy i nadprzyrodzony koniec tytułowego bohatera. Jak to się godzi i czy może się pogodzić z elementami realistycznymi, ze społecznie umotywowanymi sytuacjami?

Znalezienie klucza do rozwiązania tej pozornej sprzeczności to niewątpliwie centralne zagadnienie interpretacyjne i inscenizacyjne molierowskiego „Don Juana".

Można przecież cudowną scenerię rozumieć „naiwnie", potraktować ją jako sui generis rozwiązanie rzeczywiste. Będzie to słuszna kara za liczne „zniewagi niebios", jakich się dopuszcza Don Juan. Takie wysłuchanie pobożnych życzeń Sganarela likwidowałoby skutecznie cały problem społeczny sztuki. Przypisywanie Molierowi twierdzenia, że wszelkie występki jeszcze na tej ziemi spotykają się z karą, krzywdzi go jako realistę. Nie przypisujmy mu tendencji, jakie mogły się pojawić u drugorzędnych jego naśladowców. „Don Juan", na jakiego wściekała się przez wiele lat pobożna reakcja, to nie refleks średniowiecznego moralitetu. Analiza sztuki mówi o czymś innym.

Cudowność molierowskiego „Don Juana" można interpretować, i wielokroć to robiono właśnie tak, jako wyraz wierzeń epoki: obojętne, czy my wierzymy w możliwość takiego zakończenia, obojętne nawet, czy sam Molier w nie wierzył — mógł wierzyć jego widz, jego Sganarel, wierzył pobożny papa Don Juana, Donna Elwira, nie wierzył sam Don Juan i źle na tym wyszedł. Takie nie-historyczne „wyjaśnianie" i usprawiedliwianie sił nadprzyrodzonych w tej sztuce nie jest słuszne. Osłabi ono, rozładuje, zupełnie analogicznie do koncepcji poprzednio wspomnianej, społeczne wartości sztuki, nie usunie natomiast wcale sprzeczności między realizmem a cudownością. Koncepcja taka związana jest z naturalizmem teatralnym — naturalistycznie duch „ukazuje się" przy pomocy silnie działających efektów ekspresjonistycznych; walcząc z wszelką konwencją teatralną naturaliści cudowności musieli ukazywać metafizycznie.

Jeszcze jedna możliwość rozwiązania: czysto formalna. Nie interesujemy się wtedy ideologiczną interpretacją, sztuka cała staje się polem dla teatralnych efektów. Formalista o tyle zagadnienie sprzeczności „Don Juana" rozwiązuje, że neguje wszelkie wartości realistyczne, stąd cudowności równie mało znaczą, jak i reszta utworu.

Żadne z tych stanowisk nie jest do przyjęcia z punktu widzenia współczesnego inscenizatora (nie zapominajmy, że inscenizator jest zawsze interpretatorem, i to w znacznie szerszym niż krytyk literacki stopniu).

W jaki sposób konsekwentnie i słusznie rozwiązać rzekome sprzeczności „Don Juana"?

Jedynie analiza klasowa utworu potrafi sprostać temu zagadnieniu. To znaczy klasowa interpretacja genezy tekstu i jego klasowej funkcji. W stosunku do Moliera, a w szczególności do „Don Juana" nie jest to zagadnienie, wbrew pozorom, proste.

Łatwo bowiem popełnić błędy w ocenie społecznego stanowiska Moliera pisarza. Autora „Don Juana" uważa się słusznie za wielkiego pisarza mieszczańskiego, pisarza postępowego. Lecz „mieszczańskość" Moliera często miesza się z pojęciem ideologii burżuazyjnej z drugiej połowy XVIII wieku — z okresu przed wielką mieszczańską rewolucją we Francji. Stanowisko takie jest bardzo błędne. Moliera nie można utożsamiać z tendencjami sztuk Beaumarchais'go, Molierowscy Skapenowie i Sganarele, niewątpliwi przedstawiciele „stanu trzeciego", dopiero za sto lat staną się wyrazicielami haseł rewolucyjnych. Molier nie jest wyrazicielem ideologii mieszczańskiej stojącej u progu rewolucji — będzie nim literatura mieszczańskiej Francji w XVIII wieku. Reprezentuje on okres nie rewolucji, lecz emancypacji mieszczaństwa. Zamiast „wolności, równości i braterstwa", możliwego wedle ideologii mieszczańskiej po likwidacji różnic stanowych, w sztukach Moliera spotkamy ostrożnie formułowane hasła „naturalnego prawa" człowieka, bunt nie tyle przeciw przywilejom stanowym, ile przeciw ich nadużywaniu.

Nie umniejsza to bynajmniej Moliera. Świadczy tylko, że był on doskonałym wyrazicielem tej świadomości społecznej, na jaką mieszczaństwo francuskie mogło się zdobyć w jego czasach. To podstawowa cecha jego realizmu, że w sztukach swoich ukazuje sytuacje społecznie prawdziwe, pozwalając sobie na taki komentarz, na taką interpretację, na jaką mogła się zdobyć ideologiczna reprezentacja mieszczaństwa francuskiego w drugiej połowie wieku XVII-go.

Mieszczaństwo francuskie, szczególnie jego sfery finansowe, zdobywa sobie w czasach Moliera określone stanowisko społeczne. To prawda. Colbert, jeden z najwybitniejszych ludzi tych czasów, jest synem sukiennika, manufaktury ówczesne zatrudniały wówczas aż do pięciu tysięcy osób — Ludwik XIV potrzebował z wielu względów mieszczan. Przede wszystkim szukał on w mieszczanach bazy pieniężnej, koniecznej nie tylko dla budowy pałaców i ogrodów wersalskich, lecz w pierwszym rzędzie dla prowadzenia kosztownych wojen. Z drugiej strony, mieszczaństwo potrzebne jest Ludwikowi XIV do ostatecznej rozprawy z „liberalizmem" feudalnym, z samowolą wielkich panów, z którą walczy w imię swej idei absolutnego władcy. Tu przyczyna drugiego błędu w stosunku do współczesnej interpretacji stanowiska Moliera.

Program podporządkowania szlachty swej monarszej władzy, jaki miał Ludwik XIV, a antyfeudalne wycieczki Moliera, to były rzeczy często się schodzące. Ale Molier nie był bynajmniej ideowym sprzymierzeńcem Ludwika XIV. Władca ten, śladem swych poprzedników, kardynałów Richelieu i Mazarini, gnębił jednakowo zdecydowanie bunty feudalnej szlachty jak i doprowadzonych do rozpaczy podatkami chłopów. Był wybitnym przedstawicielem absolutyzmu, końcowego stadium okresu feudalnego, stworzył mocną machinę państwową i na całe dziesiątki lat opóźnił przez to wybuch rewolucji mieszczańskiej. Molier zaś, genialny artysta, był przedstawicielem rozpoczynającej walkę o władzę burżuazji, klasy, która już miała poczucie swej krzywdy społecznej, nie miała natomiast jeszcze sprecyzowanej ideologii i zdecydowanych żądań politycznych.

Molier, śmiertelny wróg przeżytków feudalnych, obojętne: społecznych, obyczajowych, naukowych czy światopoglądowych — przyczynił się walnie do przezwyciężenia średniowiecza we Francji, wytyczył drogę rewolucyjnej literaturze XVIII-go wieku. Ale sam nie mógł przedstawić „pozytywu" społecznego — atakując stosunki, które dookoła siebie obserwował, nie mógł przeciwstawić im idei pozytywnej. Stąd brak pozytywnego bohatera czy pozytywnej ideologii społecznej w jego sztukach. Obok typów niemoralnych, aspołecznych, będą u niego co najwyżej postacie, wedle jego mniemania, moralne i bardziej zgodne z „prawem natury". To nie jest brakiem czy słabością Moliera artysty — to wynik konkretnej sytuacji społecznej, w jakiej znajdowało się wówczas mieszczaństwo francuskie, mające sto dwadzieścia jeszcze lat po śmierci Moliera czekać na swój wielki dzień — burżuazyjną rewolucję.

Dlatego też w „Don Juanie", wielkim proteście przeciw wielkopańskiej samowoli i wiernym obrazie społecznych stosunków we Francji 60-tych lat XVII wieku, nie ma pozytywnego bohatera.

O pozytywnym bohaterze nie mówię tu w sensie „białego" charakteru przeciwstawionego „charakterom czarnym". Chodzi tu o nosiciela idei pozytywnych, postępowych — o jakiegoś Figara. Żadna postać „Don Juana" nie jest konsekwentnym nosicielem tych postępowych, pozytywnych idei — ani też żadna grupa społeczna. Bohaterem pozytywnym nie będzie wielki i przez autora atakowany pan, jakim jest Don Juan, nie będzie nim tym bardziej jego ojciec, dewot i moralista, figura głęboko tkwiąca w średniowieczu. A przedstawiciele stanu trzeciego? Sganarela, z jego absolutnym chaosem przekonań, z jego wątpliwą moralnością, za przedstawiciela świadomego postępu społecznego uważać nie sposób. Pan Niedziela będzie nim, ale za sto lat, w przededniu rewolucji.

Cały szereg postępowych i niezwykle na owe czasy śmiałych sformułowań Molier rozlokował w swej sztuce bardzo szczególnie. Wypadnie do tej kwestii jeszcze wrócić, możemy jednak stwierdzić, że „Don Juan" jest sztuką bez wyraźnego pozytywu społecznego.

Jaka wobec tego funkcja nierealistycznego, cudownego zakończenia sztuki?

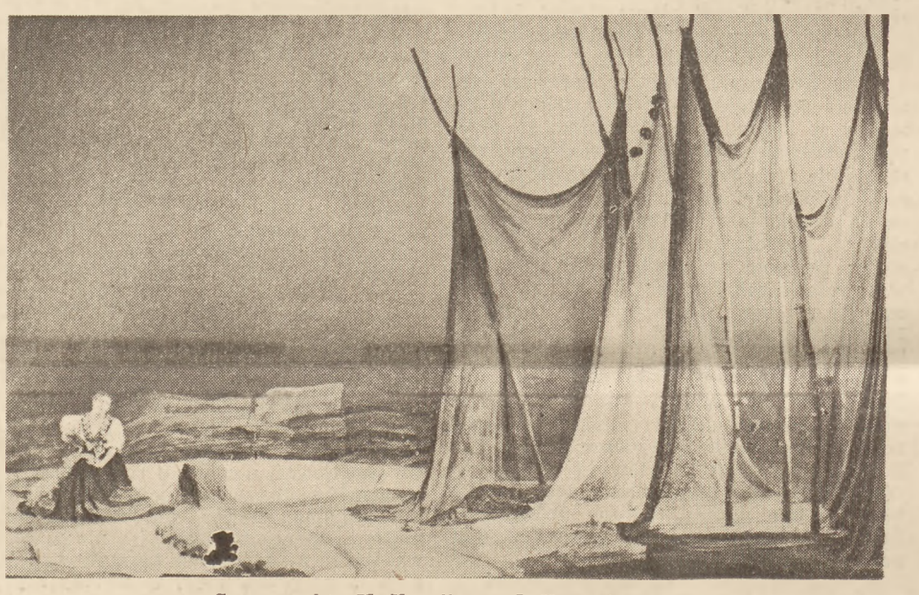

Scena z aktu II. Karolka — J. Kretschmarowa

Ukazując precyzyjnie ponury obraz stosunków społecznych we Francji swego czasu i stosunki te zdecydowanie atakując, Molier celowo ukazał, że pozytywne zakończenie, ukaranie zbrodniarza, możliwe jest tylko w fikcji scenicznej.

Cudowność zakończenia wskazuje, że nie wynika ono wcale z biegu ukazanych poprzednio wydarzeń. W rzeczywistości społecznej człowiek typu Don Juana był absolutnie bezkarny. Nic mu też w biegu akcji poważniej nie zagraża. Jego pozycja społeczna, jego bezczelność i cynizm, jego obłuda wreszcie potrafi zapewnić mu byt wygodny, potrafi uczynić zadość wszystkim jego zachciankom. Widoma kara niebios to fikcja, na którą i dziś i w czasach Moliera mogliśmy reagować tylko śmiechem.

W tym wspaniałym wyzyskaniu konwencjonalnego schematu legendy, w pokazaniu przy jej pomocy bezkarności społecznej wielkiego pana znać realistyczny geniusz Moliera.

Jeżeli publiczność w czasie warszawskiej inscenizacji wybucha śmiechem w scenach ze zjawiskami nadprzyrodzonymi, jeżeli nie reaguje na zakończenie sztuki jak na karę serio, to niewątpliwie możemy stwierdzić, że twórca widowiska miał rację, że istotę sił nadprzyrodzonych w trakcie i w końcu sztuki rozumiał trafnie. Bohdan Korzeniewski słusznie starał się wydobyć farsowy i celowo konwencjonalny charakter zakończenia. Uczynił to przez wyelimonowanie ze scen z duchami momentów ekspresjonistycznych, przez ukazanie ich fikcyjnego, teatralnego charakteru — wchodzi tu w rachubę i widmo komandora, w którym widać przebranego aktora, i fikcyjny, z widoczną maszynerią zapadni, „zjazd" do piekła bohatera tytułowego.

Takie potraktowanie wielkiej konwencji, jaką jest nadprzyrodzony koniec sztuki, świadczy niewątpliwie, że inscenizatorowi warszawskiemu nie obce były społeczne problemy „Don Juana", że interpretował sztukę zgodnie z historycznymi warunkami jej powstania. To niewątpliwe osiągnięcie B. Korzeniewskiego.

By w pełni ocenić konwencjonalizm i sztuczność zakończenia molierowskiego „Don Juana", trzeba zdecydowanie i bardzo realistycznie przedstawić cały bieg akcji. Możliwe jest to jedynie przy pomocy bardzo konsekwentnej analizy klasowej tekstu. Taka dopiero analiza potrafi ukazać pełny obraz społeczny, jaki utrwalił i zaatakował w swej sztuce Molier. Jest to ponad wszelką wątpliwość społeczeństwo francuskie.

Molier podaje za miejsce akcji Sycylię. Równie dobrze mógłby podać Antypody, a i tak każdy widz na jego przedstawieniu orientowałby się, że Don Juan to panek francuski, a Pan Niedziela to jego francuski wierzyciel. Od chłopów, którzy mówią w pierwszej scenie aktu drugiego autentycznym dialektem z Île-de-France, po drwiny Sganarela i Don Juana z medycyny — wszystkie wypadki w sztuce to autentyki ówczesnego życia. Przypomnijmy sobie sławną scenę między Don Juanem a kupcem. Czyż nie mówi ona więcej o epoce niż oryginalne pamiętniki? Niż nawet naukowe opracowania historii społecznej tamtych czasów? Tak samo czy wybryki i niczym nie hamowana samowola Don Juana nie utrwalają wręcz dokumentarnie ówczesnego stanu rzeczy i czy nie wskazują bardzo dokładnie, komu we Francji było wszystko wolno? Świętoszkowata obłuda, a z drugiej strony wynajmowani za pieniądze zbóje (byli oni w lasach pod samym Paryżem, to nie jest licencja na rzecz owej „Sycylii") — w tym wypadku realizm Moliera nic nie dodał i nie ujął.

Warszawski inscenizator nie podkreślił tego autentyzmu kostiumem i oprawą plastyczną. Korzeniewski wybrał drogę pośrednią między zasygnalizowaniem, że rzecz dzieje się we Francji, a stylizacją na Sycylię. Stąd kostiumy są francuskie, ale z okresu nieco wcześniejszego, z czasów panowania mody hiszpańskiej (Sycylia była wówczas pod panowaniem hiszpańskim). Chłopi są ubrani w stroje raczej znad Morza Śródziemnego, niż z okolic Paryża czy znad La Manche'u. Tak samo oprawa plastyczna: na drugim planie lasu dostrzeżemy bujne kaktusy (akt III), kolorowe sieci, komponujące scenę w akcie drugim, są rzeczywiście używane przez rybaków, ale mórz południowych — nigdy nad mglistym morzem północnym, gdzie i tak kilka metrów pod wodą nic nie widać. Ta dwoistość w przedstawieniu kostiumu i dekoracji nadała widowisku cechę pewnej abstrakcyjności. Widoczne to w kompozycji całych scen, szczególnie w nic nie mówiącym naogół horyzoncie, planie tylnym, który nie łączy bynajmniej, nie komponuje realistycznie poszczególnych scen sztuki. Gama kolorystyczna widowiska i operowanie zestawieniami dużych, kontrastujących ze sobą płaszczyzn barwnych bliższe jest współczesnemu malarstwu francuskiemu niż malarstwu pejzażowemu, bujnie już rozwijającemu się w czasach Moliera. Umiejętna stylizacja na XVII-to wieczny realizm mieszczański w malarstwie na pewno mocniej by sztukę Moliera osadziła w czasie, podkreśliłaby jej realizm — mogłaby też konsekwentnie umieścić ją we Francji.

Stylizacja sycylijska nie wynikająca bynajmniej z analizy społeczno-historycznej tekstu to bynajmniej nie ostatni i nie najważniejszy zarzut, jaki można uczynić inscenizacji B. Korzeniewskiego. Analiza społeczna tekstu, jaką inscenizator ponad wszelką wątpliwość przeprowadził, nie podyktowała mu interpretacji zdecydowanie klasowej, nie pozwoliła na okazanie uchwytnej dla każdego widza linii inscenizacyjnej. Stąd wniosek, że analiza społeczna nie została przeprowadzona do końca, nie podyktowała klasowej funkcji poszczególnym scenom.

I tak, największe zastrzeżenia budzi tytułowa postać. Korzeniewski, trafnie zupełnie rozumiejąc celowo nierealny koniec i „karę niebios", jaka spada na Don Juana, nie podkreślił należycie klasowego charakteru tej postaci. Toteż poza kilku scenami ze Sganarelem, Don Juan jest za mało pański, za mało cyniczny, a za to zbyt „amorkowaty", piękny i młodzieńczy. Wpłynęły na to niewątpliwie i warunki aktora odtwarzającego tę trudną rolę. Wołłejko bardzo się jako aktor rozwinął, dość tu porównać jego kreacje chociażby z „Odwetów" (1948) z rolą Alfreda, jaką bardzo ciekawie odtwarzał niedawno w „Mężu i żonie". Niemniej trzeba podkreślić, że Don Juan Wołłejki nie jest przekonywający. Nie przekonuje jego biały, niezgodny z charakterem postaci kostium, w jego stosunku do otoczenia nie czuje się odpowiedniego dystansu, przy którym dopiero „donjuaństwo" nabiera ostrego sensu społecznego. Szczególnie jaskrawo występuje brak klasowej interpretacji tekstu, a przede wszystkim Don Juana, w akcie drugim.

Niesłusznie jest zinterpretowany stosunek Don Juana do wiejskich dziewcząt, Karolki i Małgosi, i do Pietrka. Młode chłopki zbyt dają się pociągać „męskim" walorom wielkiego pana — Karolka jest wyraźnie zgóry w nim zakochana, „na niewidziane", jakby czekała od dawna na zjawienie się „jej mężczyzny". To nie jest słuszne — realistyczny tekst Moliera mówi nam o czymś innym, społecznie prawdziwym. Bardzo konkretnie myśląca chłopka, jaką jest Karolka, nie jest wcale zakochana „zgóry". Don Juan ciekawi ją jak zjawisko egzotyczne i niecodzienne, ale do jego zalotów odnosi się ona zgoła nieufnie. Stosunek ten błyskawicznie się zmienia, gdy Karolka słyszy o propozycji małżeństwa — skąd to pochodzi? Z bardzo realistycznego rozumienia, że takie małżeństwo byłoby dla Karolki wielkim awansem społecznym. Jej narzeczony, Pietrek, nie ma przy takim konkurencie żadnych szans, ale wcale nie dlatego, by był mniej atrakcyjny jako mężczyzna. Te węzłowe punkty sceny nikną w aktorskim wykonaniu, formalnie bardzo zręcznym, lecz nie popartym realizmem społecznym. To samo tyczy się sceny starcia Don Juana z niefortunnym narzeczonym Karolki. Nie rozumiemy, dlaczego krzepki rybak nie oddaje po prostu policzków, jakimi go obficie raczy Don Juan. Nie rozumiemy, gdyż Don Juan nie potrafi się postawić na innej płaszczyźnie w stosunku do chłopów, prawda społeczna tej sceny niknie. A dzieje się to przez różne drobne elementy inscenizacyjne: kostiumy pana ze stolicy i rybaka różnią się krojem, a nie gatunkiem materiału i świeżością. Gest Don Juana, Karolki czy Pietrka świadczy o raczej psychologicznej niż klasowo-historycznej analizie. Don Juan łagodzący dwie dziewczyny, którym obiecał małżeństwo, sprawia wrażenie raczej Cherubina z „Wesela Figara", niż cynicznego rozpustnika, spędzającego nudy przymusowego pobytu na zapadłej wsi. Uwagi tego typu można rozszerzyć na wiele innych scen. Don Juan łajany przez swą porzuconą żonę przypomina raczej boczącego się sztubaka, zburczanego przez ciotkę, niż człowieka w pełni zasługującego na epitet „łajdak". Don Juan w wykonaniu Wołłejki jest zbyt świeży, zbyt żywiołowy, ma zbyt wiele młodzieńczego wdzięku, — razi to szczególnie w wielkiej scenie ze Sganarelem, gdy Don Juan deklaratywnie ogłasza swą obłudę.

Że „wielkopańskość" Don Juana występuje kilkakrotnie wyraźniej, to pośrednio zasługa Sganarela. Rola ta, grana przez Jacka Woszczerowicza, stanowi jedno z najwybitniejszych osiągnięć scenicznych tego wielkiego artysty. Interpretacja tej roli nie budzi też takich zastrzeżeń jak w wypadku Don Juana. Sprzeczności między jakimś poczuciem etycznym, kompromisowością charakteru, przywiązaniem do pana i działaniem poza jego plecami na jego szkodę, jego poczucie sprawiedliwości społecznej (scena z Pietrkiem), gdy nie wchodzi w rachubę jego własny interes (scena z Panem Niedzielą) — te wszystkie momenty zaakcentowane są słusznie. Woszczerowicz doskonale wydobywa komiczne efekty związane z rolą, imponuje wszechstronnym i zawsze celowym operowaniem gestem i głosem. Trafna interpretacja tej roli sprawia w pierwszym rzędzie, że tak dobrze rozumiemy fikcyjność zakończenia, co przy braku zdecydowanego postawienia roli Don Juana mogłoby łatwo chybić celu.

Mówiąc o opanowaniu gestu i ruchu scenicznego przez Woszczerowicza, trzeba podkreślić jedną niewątpliwie cenną stronę inscenizacji Korzeniewskiego. Jest nią precyzja w poruszaniu aktorem na scenie, rzadka niestety u nas, konsekwentna synchronizacja gestu, ruchu i słowa. Atakując zbyt psychologiczną, a za mało społeczną interpretację tekstu, atakując koncepcję postaci tytułowej, nie należy zapominać o tych cechach widowiska. Ten poważny

(Dokończenie na str. 11)

„Don Juan" Moliera w Teatrze Polskim w Warszawie. Na zdjęciu od lewej: Donna Elwira — H. Skarżanka, Sganarel — J. Woszczerowicz, Don Juan — Cz. Wołłejko. Reżyserował B. Korzeniewski, dekoracje T. Roszkowskiej.
foto Kaczkowski-Myszkowski

Scena z aktu V. Don Juan — Cz. Wołłejko, Sganarel — J. Woszczerowicz, Posąg komandora — E. Kowalczyk

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

Na temat Zjazdu Polonistów

W „Tygodniku Powszechnym“ ukazało się zupełnie oryginalne sprawozdanie ze Zjazdu Polonistów. Trudno to nazwać przykładem jezuickiego fałszerstwa. Jest to fałszerstwo wulgarne. Sprawozdawca insynuuje, że w dyskusjach zjazdowych idealiści bronili nauki, naukowości, ducha prawdy, niezależności myśli. A marksiści? Mądrej głowie dość dwie słowie. Byli przeciwni tym wartościom. Marksiści atakowali naukę — jako wytwór burżuazji, a przeciwstawiali jej swoje tendencje polityczne, nazywając je proletariackimi. Uczestnicy Zjazdu temu nie uwierzą. Ale nie wszyscy czytelnicy „Tygodnika Powszechnego“ byli na Zjeździe. Na to liczy sprawozdawca arcybiskupiego organu. Tych można ogłupiać wulgarnym fałszem. Trzeba więc wrócić do faktów — których wagę dla nauki zdaje się doceniać i nasz sprawozdawca.

Dyskusje na Zjeździe Polonistów nie miały charakteru zgodnego z insynuacjami „Tygodnika Powszechnego“. Dyskutowano o metodologii na tle sporów i konkretne problemy nauki o literaturze. Np. marksiści atakowali tezę Pigonia, że działalność kulturalna Towiańskiego jest faktem rzędu nadprzyrodzonego, że niedostępna jest racjonalnej interpretacji. Dla wyjaśnienia fenomenu duchowego towianizmu, jak chciał Pigoń, trzeba stworzyć inną metodę, metodę, która by się liczyła (w nauce!) ze sferą faktów (?) nadprzyrodzonych (?!). Marksiści dowodzili, że takie pojmowanie mistyki — zjawiska przecież społecznego, jak i inne fakty kulturalne — jest nienaukowe, nie ma nic wspólnego z rygorami nauki, nie jest wyrazem niezależności myśli, ale właśnie niewolniczej zależności od fideistycznych uprzedzeń, obcych nauce, z którymi sprawdziany naukowe są w zdecydowanym konflikcie. Któż więc tu bronił nauki. Czy ci, co się upierali przy takim pojmowaniu towianizmu, czy ci, którzy to zjawisko społeczne interpretowali poprzez naukowe studium warunków i determinantów społecznych, powołujących do życia dane zjawisko? Odpowiedź chyba nie nasuwa wątpliwości. A co tu ma do rzeczy nauka (i polonistyka) burżuazyjna i proletariacka? Marksiści wykazawszy nienaukowość stanowiska Pigonia usiłowali wyjaśnić kolejny problem: dlaczego Pigoń pełniąc społeczną funkcję uczonego tak zdradził naukę? Marksiści stali na stanowisku, że to nie jest przypadkowy fakt, że nie tłumaczy go subiektywna niewrażliwość prof. Pigonia na rygory myślenia naukowego. Marksiści sądzą, że ten błąd ma źródła ponadindywidualne. Potwierdza to fakt, że tego typu błędy są częste, że występują w nauce określonej epoki z określoną prawidłowością. I marksiści stwierdzają, że to podporządkowanie nauki przeświadczeniom fideistycznym jest wyrazem określonej postawy społecznej. Historia XX w. uczy, że jest to właściwe ideologii burżuazji tego okresu. Stąd niektóre nurty nauki o literaturze w XX w. opierają się na teoriach nienaukowych (klasyfikacja danych naukowych na przyrodzone i nadprzyrodzone, postulowanie osobnej metodologii badań zjawisk nadprzyrodzonych w historii). Te nienaukowe teorie są tworem burżuazji, są gruntem antynaukowej mitologii w społecznej funkcji nauki, mitologii, która służy interesom klasowym burżuazji. Stąd uczeni wyznawcy tych teorii są ideologami burżuazji, nie są niezależnymi myślicielami, są to burżuazyjni uczeni, twórcy burżuazyjnej nauki, burżuazyjnej historii literatury — całkowicie zależnej od klasowego dyktanda burżuazji. Taka historia literatury nie ma nic wspólnego z nauką. Tęże naukę zwalczają marksiści, demaskując jej klasowy charakter, wykazując, że nie jest ona rezultatem indywidualnych przypadkowych pomyłek badaczy, ale społecznie uwarunkowanym przejawem dekadencji myśli burżuazyjnej, gdyż służy schyłkowym, wrogim prawdzie interesom ginącej klasy.

Czy można cytować więcej przykładów, jak ten powyższy z Towiańskim i Pigoniem? Tak. Właśnie protokoły Zjazdu Polonistów zawierają wyłącznie takie przykłady i takie dyskusje. A sprawozdawca arcybiskupiego organu fałszuje prawdę w określonym interesie, że na Zjeździe marksiści odrzucali sądy empiryczne nazywając je „burżuazyjnymi“ — a postulowali ciasne doktrynerstwo, sądy niesprawdzalne, nazywając to nauką marksistowską. Fałsze te zdemaskuje księga referatów i dyskusji zjazdowych, która się ukaże w ciągu paru miesięcy, których wymaga techniczny proces wydawniczy.

Ale zacytujmy tu jeszcze jeden przykład. Sprawozdawca „Tygodnika Powszechnego“ mówi sporo o wystąpieniach prof. Górskiego i o dyskusjach marksistów z tym historykiem. Jakże więc na Zjeździe krępowano niezależność myśli prof. Górskiego? W fachowym wywodzie wykazywano, iż prof. Górski w swoich studiach nad literaturą reformacyjną badał ją:

1) jako przejaw autonomicznego ruchu religijnego-kulturalnego;

2) jako dokumenty „herezji“ w stosunku do dogmatów katolickich.

Wykazywano, że prof. Górski: 1) nie dostrzegł w naszej publicystyce różnowierczej aktualnej treści społecznej w kostiumie sporów dogmatycznych, 2) nie dostrzegł, iż literatura reformacyjna jest wyrazem klasowych walk w Polsce XVI w. Traktując literaturę reformacyjną jako autonomiczny ruch intelektualno-religijny, jako osobiste pomysły heretyckich umysłów, nie dostrzegł, iż dynamika rozwoju reformacji polskiej, przechodzenia od pozycji postępowych w życiu XVI w. do wstecznych, jest zdeterminowana przemianami społecznymi, w ostatecznej instancji — przemianami stosunków gospodarczych XVI i XVII w. w Polsce. 3) Wreszcie badając literaturę różnowierczą tylko z punktu widzenia jej stosunku do dogmatyki katolickiej, nienaukowo zwęził prof. Górski problematykę, tak dalece skierował ją na marginesy, że obraz musiał być fałszywy, choć poszczególne sądy szczegółowe o przeobrażeniach dogmatów były prawdziwe.

Czy walka z tak niedoskonałym ujęciem reformacji była wyrazem niechęci do nauki, do prawdy, niezależności myśli? Czy też odwrotnie — taka wiedza o literaturze reformacyjnej była nie dość naukowa? A dlaczego? Bo Górski patrzył na tę literaturę nie jak niezależny badacz ale jako wyznawca, nie interesował się zjawiskiem historycznym w jego głównych cechach, ale interesował się martwą i marginesową z historycznego punktu widzenia problematyką stosunku życia polskiego i jego walk do doktryny kościelnej.

Sprawozdawca rzeczonego organu sporo wykrętnych i demagogicznych uwag poświęca sprawie konsekwencji metodologicznej w nauce. Uważa iż obrona tej konsekwencji i walka z eklektyzmem metodologicznym prowadzona przez marksistów jest skrępowaniem swobody nauki. Nie — jest to tylko walka z błędami w nauce, walka o prawdę. A ponieważ zwalczane błędy, jak się mówiło, to nie tylko subiektywne pomyłki uczonych, ale wpływy wrogiej ideologii klasowej w nauce, wpływy szkodzące nauce — walka o prawo nauki do prawdy jest walką z eklektyzmem metodologicznym.

Idealiści chcą uznać marksizm obok innych metod burżuazyjnych. Lecz proszę pamiętać, że metodę marksistowską trzeba pojmować w związku z teorią rozwoju społecznego. Jeśli stoi się na naukowym stanowisku, że np. idee mistyczne są wyrazem określonych ruchów, dążeń, konfliktów społecznych, klasowych uwarunkowanych zmianami stosunków produkcyjnych — to nie można obok uznawać innej teorii rozwoju kultury, która przyjmuje fakty nadprzyrodzone w historii, pochodzące ze źródeł nadprzyrodzonych, które chce badać swoistą metodą. Jak, u diabła, pogodzić — na benefis rzekomej wolności nauki — takie dwie metody w nauce? Przecież to byłaby wolność bredni pod maską nauki. Pojedynczy człowiek może bredzić, ale naukę obowiązuje walka z brednią, a nie tolerancja dla niej. Tolerancja dla wygody mistyfikatorów i ich mocodawców ogłupiających społeczeństwo we własnym interesie.

Ale rzekomo metoda marksistowska niezdolna jest sprostać pewnym istotnym problemom nauki o literaturze. Którym? Proszę zdradzić tę słodką tajemnicę, sprawozdawco arcybiskupiego organu?

W moim referacie zjazdowym (drukowany w „Twórczości“, nr. VI br.) starałem się wykazać, jak metoda marksistowska służy wszelkim typom badań literackich. Rzekomo miały to być przykłady utworów swoiście dobranych, istotnie związanych z życiem społecznym. A prof. Górski miał przytoczyć osobisty poemat „Treny“, wobec którego metoda marksistowska ma być bezradna. Dlaczego sprawozdawca organu nie jest uczciwy? Właśnie w tej sprawie na Zjeździe prof. Górskiemu szeroko odpowiadał H. Markiewicz. Analizował po marksistowsku „Treny“, nic nie gubiąc z ich osobistej treści. Kto ciekaw, może inną redakcję tego wywodu przeczytać w pracy Markiewicza drukowanej w Nr. 4 „Zeszytów Wrocławskich“.

Sprawozdawca „Tygodnika Powszechnego“ jak Napoleon na placu bitwy mianuje marszałków marksizmu. Po co? Po to, by potem cytować ich zastrzeżenia i mówić: nawet marksiści są zwolennikami eklektyzmu metodologicznego. Tak postąpił z prof. Krzyżanowskim. Prof. Krzyżanowski jest zasłużonym historykiem. Ale nie jest marksistą. Właśnie opowiada się za eklektyzmem metodologicznym i to jest przedmiotem różnych dyskusji między nim a marksistami. Jeśli prof. Krzyżanowski wydaje się komuś marksistą, to chyba dlatego, że jako trzeźwy uczony walczy obok marksistów z rutyną i jaskrawą brednią w polonistyce. Prof. Krzyżanowski ma w swoim dorobku cenne studia gromadzące empiryczne fakty literackie przeszłości. Ma jednak i prace konstrukcyjne, wyraźnie niemarksistowskie, formalistyczne. Typowym przykładem będzie tu studium o Reymoncie. W książce tej materiał analizowany jest jako zespół typów formalnych sztuki powieściowej, a nie jako rozwijająca się w czasie ideologia społeczno-artystyczna. Przekona o tym każdego rozdział o noweli Reymonta, w którym jednocześnie opisuje się obok siebie typy formalne nowel od reportażu do alegorii, rozwijane przez pisarza na przestrzeni kilkudziesięciu lat w różnych warunkach z różnych pozycji ideowych. Zależność zmian formalnych w nowelach Reymonta od zmieniających się w czasie warunków społecznych nie interesowała badacza. Modyfikacje nowelistycznej sztuki Reymonta wyjaśniał przyczynowo tylko w zależności od formalnych pomysłów autora.

Marksiści zatem bronili na Zjeździe nauki, niezależności myśli, sumienności. Dlaczego przeciw burżuazji? Bo naukowe badanie historii nauki XX w. mówi, iż to burżuazyjne wpływy klasowe zmieniały naukę w mitologię. Dlaczego marksiści naukę rzetelną, opartą na konsekwentnej, naukowej marksistowskiej metodologii nazywali nauką klasową, potrzebną proletariatowi? Bo tylko proletariat, przebudowując życie w postępowy sposób, potrzebuje pełnej wiedzy o prawach społecznych, które służą mu w procesie budowania socjalizmu. Burżuazja broniąc straconych pozycji, potrzebuje fałszywych mitów, które ogłupiają, zaciemniają sens procesów historycznych groźnych dla ginącej klasy.

Nie polemizuję z wszystkimi wymysłami sprawozdawcy. Piszę tylko to, co powinni przeczytać także odbiorcy „Tygodnika Powszechnego“, aby mogli zapoznać się z sumiennym sprawozdaniem a nie z wulgarnie jezuickim.

Stefan Żółkiewski.

TYDZIEŃ MUZYCZNY

Pod znakiem młodzieży

Ubiegły tydzień stał pod znakiem końcowych popisów warszawskich szkół muzycznych. Absolwenci i studenci Konserwatorium występowali na estradach koncertowych, zdobywając „ostrogi“ samodzielnych artystów, bądź demonstrując publicznie wyniki rocznej wytężonej pracy. Problem nowych kadr jest także w muzyce sprawą pierwszorzędnej wagi. Warto więc dorocznym popisom poświęcić trochę miejsca, zwłaszcza że już dziś wśród młodych wykonawców rysują się niekiedy ciekawe indywidualności artystyczne.

O koncertach Filharmonii z udziałem absolwentów i studentów Konserwatorium w dniach 9 i 11 czerwca pisaliśmy w nrze 12 „Nowej Kultury“. Popisy z ubiegłego tygodnia rozpoczął koncert absolwentów **Państwowej Średniej Szkoły Muzycznej** dn. 21 czerwca w sali MBP (dalszym jakby jego ciągiem był popis w sali tejże szkoły dn. 24 czerwca br.). Wystąpili na nim absolwenci klasy fortepianowej, skrzypcowej, śpiewu, instrumentów dętych, perkusji i kameralnej. Spośród kilkunastu młodych artystów, którzy przewinęli się przez estradę MBP, wyróżnić należy **J. Kadłubiskiego** (klasa fortepianu prof. M. Trombini-Kazurowej), pianistę o dobrej technice i szlachetnym liryzmie w interpretacji, muzykalną i wysoce inteligentną a przy tym zaawansowaną technicznie skrzypaczkę **J. Wyrzykowską** (klasa prof. I. Dubiskiej) i **J. Pietrachowicza** (klasa puzonu J. Wróblewskiego), który ze swego szorstkiego z natury instrumentu umie wydobyć lekkie, miękkie a przy tym pełne i soczyste brzmienie. Ze śpiewaków dobrze zaprezentował się **Z. Skwara** (prof. A. Dobosz), obdarzony wyraźną dykcją i muzykalnością. Ładny materiał głosowy **B. Sokorskiej** (prof. Ada Sari), wymaga jeszcze szkolenia, zwłaszcza w kierunku prawidłowości oddechu. Śpiewaczka ta zresztą nie ukończyła jeszcze studiów: jest na VI roku P. Śr. Szk. Muz. **Z. Draus** — to jeszcze dość surowy skrzypek, natomiast dosyć zdolna wydaje się **K. Wieczorkiewiczówna** (klasa fortepianu prof. M. Jacynowej), pomimo wykazanych braków w pamięciowym opanowaniu koncertu Schumanna. Wspomnieć wypada na koniec o dobrym występie **A. Rutkowskiej** na ksylofonie (klasa perkusji M. Stasiniewicza).

Klasy kameralne pokazały sporą ilość utworów: kwartet wokalny z opery „Marta“ Flotowa (klasa prof. A. Sari), Pieśni ludowe Panufnika (kl. kameralna E. Klopek), Sekstet Beethovena (prof. B. Górecki), utwory Dargomyżskiego i Humperdincka na tercet wokalny (prof. I. Langeron). Wykonanie niektórych z tych dzieł stało na dobrym poziomie, co świadczy chlubnie o wadze, jaką uczelnia przykłada do uprawiania kameralistyki, dziedziny tak ważnej dla rozwoju muzycznego młodych artystów.

Ogólny poziom artystyczny występujących absolwentów wskazuje, iż Państw. Średnia Szkoła Muzyczna pod doświadczonym kierownictwem dyr. **Ludwika Kurkiewicza** we właściwy sposób spełnia swe zadania.

*

Absolwenci — —tym razem **Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej** — byli solistami koncertu piątkowego Filharmonii dn. 23 czerwca br. Na estradzie „Romy“ wystąpili: skrzypek **Zenon Bąkowski** (studio prof. J. Jarzębskiego) i dyrygent **Zdzisław Bytnar** (studio prof. F. Kulczyckiego).

Bąkowski wykonał z orkiestrą Filharmonii partię solową koncertu skrzypcowego **Nicolo Paganiniego** (1784—1840). Ten świetny z punktu widzenia faktury skrzypcowej, ale muzycznie dość błahy utwór daje pole do wykazania w pełni sprawności technicznej. Dlatego chętnie jest wykonywany (co niekoniecznie zasługuje na pochwałę) jako utwór dyplomowy, zamiast mniej popisowych a o ileż ciekawszych i wartościowszych koncertów Mozarta, Beethovena, Mendelsohna, Czajkowskiego czy Brahmsa. Młody wirtuoz wykazał w koncercie Pagininiego niewątpliwie walory techniczne, mielibyśmy jednak zastrzeżenia co do czystości intonacji (być może, skutek zrozumiałej tremy) i co do interpretacji, która chwilami muzykalna i wcale dojrzała — chwilami trąci szkolnymi szablonami. Oczywiste jest, że lata doświadczeń i praktyki pozwolą na rozwinięcie dobrych zadatków, które artysta bezsprzecznie posiada.

Natomiast Zdzisław Bytnar zaskoczył nas wprost dojrzałością, tak rzadko spotykaną u debiutanta. Jego sposób dyrygowania pewny, spokojny, oszczędny w ruchach — może niekiedy zbyt już oszczędny (lewą rękę wykorzystuje stanowczo za mało) — sprawia wrażenie, iż mamy do czynienia z rutynowanym kapelmistrzem. Ta sama śmiała pewność cechuje go w sposobie interpretowania utworów: przedstawia słuchaczowi koncepcję wykonawczą jasną, przejrzystą, zbudowaną prosto a logicznie i przekonywująco.

Nawiasem mówiąc, Bytnar jest członkiem warszawskiej orkiestry filharmonicznej. Osiągnięte przez niego rezultaty świadczą, jak dalece — poza talentem i studiami — przydatny jest dla kapelmistrza staż w orkiestrze, gdzie widzi najrozmaitszych dyrygentów, rozmaite sposoby dyrygowania i prowadzenia prób, obserwując całą robotę orkiestry w najdrobniejszych szczegółach.

W programie koncertu usłyszeliśmy jedno z najlepszych, a jednocześnie najpopularniejszych dzieł symfonicznych **Władysława Żeleńskiego** — uwerturę koncertową: „W Tatrach“. W uwerturze tej, posiadającej założenia programowe, łączność z Tatrami uwidocznia się chyba tylko w użyciu słowackiego tematu ludowego, tego samego, na którym Dworzak zbudował finał swego koncertu wiolonczelowego. Daleko tu jeszcze do tego prawdziwie tatrzańskiego nastroju przestrzeni, pustki, skalnych szczytów i słonecznych dolin, który wieje z „Odwiecznych pieśni“ Karłowicza. Niemniej ten utwór Żeleńskiego to muzyka niezaprzeczenie wartościowa i znamionująca dobrą rękę kompozytorską.

Druga Symfonia (D-dur) **Jana Brahmsa**, którą usłyszeliśmy na zakończenie koncertu, była dla świadków jej pierwszego wykonania (30 grudnia 1877 r.) niemałą niespodzianką. Tragizm, gwałtowny patos, dramatyczność Pierwszej Symfonii (c-moll) ustępuje tu nastrojom sielankowym, pełnym spokoju i pogody. Przypomina to żywo kontrast pomiędzy Piątą a Szóstą („Pastoralną“) Symfonią Beethovena. Zbieżność ta wydaje się wynikiem częściowo świadomej kontynuacji twórczości Beethovena, częściowo zaś przypadku: pobytu kompozytora wśród pięknej przyrody Wörthersee w Karyntii, w lecie 1877 r.

Łagodny, pastoralny nastrój wnosi od razu temat pierwszy i śpiewny temat drugi. Po śmiało zarysowanym, jasno i przejrzyście zbudowanym przetworzeniu następuje repryza. Nie jest to tym razem mechaniczne powtórzenie ekspozycji, ale twórcza synteza jej materiału tematycznego. Część tę kończy Coda, trochę groteskowa w swoich „foxtrottowych“, synkopowanych rytmach. Jak na Brahmsa, epizod to dość błahy i — powiedzmy szczerze — niezbyt udany. Toteż słusznie postąpił Bytnar, tuszując dyskretnie ostrość tanecznych synkop, zwalniając je i nadając im lekkość.

Kontrast wnosi część druga (Adagio), nacechowana jakimś szczególnym niepokojem, pełna niedopowiedzianych konfliktów. Nastrój łagodny, trochę melancholijny, powraca w czarującym, powiewnym Allegretto grazioso, którego forma stanowi zespolenie swobodnych Wariacji i Ronda. Finał (Allegro con spirito) o strukturze sonatowej opiera się znowu na dwóch tematach: pierwszym, przepełnionym prawie haydnowską dobroduszności i humorem, oraz pięknym i melodyjnym temacie drugim.

Wszystkie cztery symfonie Brahmsa stawiają wykonawców wobec ciężkiego i odpowiedzialnego zadania. Podejmując się wykonania Symfonii Drugiej — z pewnością nie najłatwiejszej — Bytnar postawił sobie zamierzenie niewątpliwie bardzo ambitne. Wywiązał się z niego bardzo dobrze. Bez zarzutu wypadł także utwór Żeleńskiego i akompaniament orkiestry w koncercie Paganiniego.

*

Ostatni przed wakacjami popis Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej odbył się w niedzielę 25 czerwca również w Filharmonii. Usłyszeliśmy na nim szereg koncertów instrumentalnych **J. S. Bacha** oraz fragmenty z jego Pasji wg św. Jana. Wykonawcami byli tym razem nie absolwenci, lecz studenci PWSM, nie mający jeszcze ukończonych studiów. Mimo to występy ich były bardzo interesujące i chwilami wcale nie ustępowały popisom dyplomowanych absolwentów.

Mowa tu przede wszystkim o wykonaniu koncertów solowych Bacha z towarzyszeniem orkiestry. **R. Łęcki** (klasa prof. J. Lefelda) w koncercie fortepianowym f-moll pokazał niepowszednie zalety pianistyczne. Nie chodzi tu nawet o technikę — bo tę posiadać powinien każdy student wyższych lat konserwatorium — chodzi przede wszystkim o doskonałe odczucie klasycznego stylu, o miękkie, wyraziste, „piano“, o typowo bachowskie zdecydowane „pół-staccato“, o architektoniczną jasność koncepcji wykonawczej. Chodzi również o trafny instynkt współpracy z orkiestrą, umiejętność „wyjścia na wierzch“ czy „schowanie się“ za orkiestrę, gdy dzieło tego wymaga. Widać ucznia tak świetnego kameralisty, jak prof. Lefeld.

Wiele możemy sobie także obiecywać na przyszłość po **H. Radwanównie** (klasa prof. M. Trombini-Kazuro). Przy całkowicie odmiennej szkole pianistycznej odznacza się podobnymi walorami co Łęcki. Koncert fortepianowy d-moll, a zwłaszcza jego część pierwsza — wypadł bardzo dobrze, spokojna interpretacja podkreślała trafnie specyficzny styl Bacha.

T. Zaczyński (klasa prof. I. Dubiskiej) w koncercie skrzypcowym E-dur zaprezentował się również jako talent godny uwagi. Jeżeli można by mieć pewne — nieduże zresztą — zastrzeżenia co do części pierwszej i ostatniej, to stwierdzić należy, że interpretacja części środkowej była bardzo subtelna, interesująca, nacechowana ciepłem i klasycznie powściągliwym liryzmem. Dobra technika, czyste atakowanie poszczególnych dźwięków, ładny ton, muzykalność i kultura wykonawcza — oto zalety świadczące zarówno o zdolnościach skrzypka, jak o prawidłowym jego wyszkoleniu.

Dość słabo wypadł koncert C-dur na 3 fortepiany (wykonawcy: K. Mochtak, J. Borzym i R. Łęcki), dobrze natomiast brzmiały połączone chóry Państw. Wyższej i Średn. Szk. Muz. we fragmentach Pasji według św. Jana.

Akompaniamentem orkiestry Filharmonii w koncertach instrumentalnych dyrygował **Tadeusz Wilczak**, fragmentami Pasji — prof. **Wincenty Laski**. Podkreślić należy sympatyczną i życzliwą postawę członków orkiestry filharmonicznej, która we wszystkich koncertach studentów i absolwentów starała się ułatwić zadanie swym młodym kolegom.

Popisy szkół muzycznych wykazały, że posiadamy w Warszawie spory zastęp młodych, prawdziwie utalentowanych artystów. Warszawskiemu Konserwatorium życzymy, aby liczba ich zwiększała się z każdym rokiem. Polski świat muzyczny potrzebuje ich i czeka na nich niecierpliwie.

Wawrzyniec Żuławski

DON JUAN W »TEATRZE POLSKIM«

(Dokończenie ze str. 10)

wkład pracy, brak przypadkowości i mechanicznego operowania tekstem różni szczęśliwie omawianą inscenizację od takich nieudolnych prób, jak chociażby „Świętoszek“ niedawno oglądany w Teatrze Narodowym. W tym ostatnim wypadku nie było co dyskutować o stosunku inscenizacji do doskonałego tekstu, bo stosunek ten był konwencjonalnie tradycyjny i nijaki.

Pod względem precyzji wykonania „Don Juan“ w inscenizacji Bohdana Korzeniewskiego przypomina najlepszą chyba jego inscenizację, „Męża i żonę“, na którą nasza krytyka teatralna zwróciła stanowczo za mało uwagi. Mówiąc o zaletach inscenizacji „Don Juana“ w warszawskim Teatrze Polskim nie można pominąć bardzo interesującego rozwiązania konwencjonalnego mówienia na stronie — Sganarel, którego refleksjami wypowiadanymi na boku kończy się większość sytuacji, pozostaje w inscenizacji Korzeniewskiego na scenie po wyjściu Don Juana i wypowiada swe kwestie w formie monologu.

Jak ocenić całość widowiska? Różni się ono zasadniczo od koturnowego interpretowania Moliera, od zamazywania jego społecznej, głęboko humanistycznej wartości rzekomą patyną „klasycyzmu“. Przez analizy psychologiczne poszczególnych scen, przez trafne rozumienie społecznego sensu konwencji zakończenia, Korzeniewski starał się ukazać nam Moliera realistę, Moliera żywego dla naszej nowej widowni.

Zamierzenia tego w całości nie osiągnął i osiągnąć nie mógł. Nie przeprowadził bowiem do końca klasowej analizy tekstu, nie wyprowadził z niej wniosków dla gry aktora, dla oprawy plastycznej, kostiumu. Molier nie widział realnej, społecznej przeciwwagi dla człowieka tego typu, co Don Juan. My wiemy, że w historycznym rozwoju ludzkości, poprzez społeczny postęp, znalazła się przeciwwaga, znaleźli swój ostateczny koniec i zagładę ludzie, którym sytuacja społeczna i urodzenie pozwalały robić wszystko „na własny rachunek“. Toteż tak samo, jak Molier zawarł w „Don Juanie“ smutne doświadczenie swego czasu, tak samo my musimy naszemu widzowi, żyjącemu w nowych, zdrowych warunkach społecznych, pokazać poprzez inscenizację nasze doświadczenie społeczne, o przeszło dwa i pół wieku od Moliera starsze. Nasz nowy widz, robotnik i inteligent walczący o socjalizm ma innych wrogów niż sobiepańskich feudałów. Lecz nie świadczy to bynajmniej, że Molier się zestarzał. Walcząc o socjalistyczną kulturę nie możemy rezygnować z Moliera, tak samo jak nie możemy rezygnować z niczego cennego i wielkiego w przeszłości. Wręcz przeciwnie. Dopiero teraz, rozporządzając obiektywną i naukową wiedzą o procesach społecznych, potrafimy Moliera w pełni i wszechstronnie ukazać. Molier zestarzał się i jest zapylonym „klasykiem“ dla burżuazji, która musi go formalistycznymi efektami odświeżać. My możemy pokazać jego ludzi i motywy ich postępowania, ich sytuację społeczną nierównie głębiej w oparciu o klasową analizę i interpretację. Ukażemy wtedy niezwykłą prawdę jego postaci, ocenimy na tle koszmarnych i niewiarygodnych już dzisiaj stosunków społecznych śmiech Moliera, śmiech, który tak skutecznie walczył z przesądem, ciemnotą i wstecznictwem.

Są w tekście „Don Juana“ porozrzucane bardzo w swoim czasie śmiałe, postępowe sformułowania. Nie wypowiada ich jedna osoba, „nosiciel postępowych idei“, bo takiego w Don Juanie nie ma. Znajdą się one między morałami Don Luisa, znajdą się między powiedzonkami Sganarela (jak chociażby to sławne: „wielki pan a zarazem zły człowiek, to rzecz po prostu straszna“), będzie je o dziwo, wypowiadał i Don Juan. Molier jest wielkim artystą: powiedzenia te nie są osobom mówiącym mechanicznie wkładane w usta, są one zupełnie konsekwentne w konkretnych sytuacjach, w jakich dana osoba się znajduje. Widz molierowski łapał te powiedzonka „w powietrzu“, rozumiał ich sens społeczny. Jak to skomplikowane rozłożenie akcentów społecznych pokazać dziś?

Nie można sztucznie wyodrębniać kwestii pochodzących jakby od samego Moliera, nie można pod grozą załamania realistycznej konsekwencji akcji scenicznej. Błędu tego Korzeniewski nie popełnił. Lecz z drugiej strony faktem jest, że ideologiczny ładunek tych sformułowań w warszawskiej inscenizacji zniknął, zatarł się. Można te „polityczne“ i polemiczne wypowiedzi Moliera uratować tylko w jeden sposób: przez staranne i do ostatnich szczegółów wyciągnięte klasowe spojrzenie na tekst, przez stworzenie na scenie takiej sytuacji społecznej, że te powiedzenia zyskają, przez zestawienie z ukazanymi warunkami społecznymi, swój dawny, postępowy sens.

I tylko tak inscenizowany Molier będzie i należycie zrozumiany i wartościowy z naszego punktu widzenia. Realizacja sceniczna „Don Juana“ B. Korzeniewskiego, z wielu względów ciekawa, tych postulatów nie spełnia. Nie można jej uważać za punkt wyjścia dla pracy nad przyswojeniem socjalistycznej kultury klasycznego repertuaru teatralnego.

Stefan Treugutt

PIW

NOWOŚCI

ANDRIEJ KALINCZENKO

PASCHALE

Opowiadania kamczackie

str. 238 zł. 270.

JULES DE LA MADELENE

PAN NA PIASKOWYM ZAMKU

str. 357 zł. 400.

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

mała kronika

HISTORYK literatury, który kiedyś będzie przeglądał stosy makulatury, zwanej sztuką burżuazyjną, określił ją jednym słowem: prowokacja. Dawno już sztuka kapitalizmu przestała mamić łatwowiernych i nieświadomych ludzi uczciwością i dobrą wolą swych artystów. Nakładają oni na siebie maskę liberalizmu, ale kiedy liberał zaczyna mówić o polityce, zza warg błyskają kły faszysty. Trzeba je widzieć nawet wtedy, gdy liberał składa buzię w ciup. Trzeba być czujnym, jak ów dziennikarz amerykański, redaktor postępowego miesięcznika literackiego ,który zapytany, co porabia obecnie „pisarz" Dos Passos, odparł krótko: „To nie pisarz, to faszysta".

Dlatego nie zgadzam się z Mieczysławem Jastrunem, który w nowym tomie poezji „Rok urodzaju" umieścił wiersz „Odpowiedź T. S. Eliotowi". Jastrun uważa Eliota za zaślepionego proroka, który jak ślepy Tejrezjasz, rozmawia z bogiem wojny atomowej. Jastrun trafnie mówi o Eliocie jako o ideologu gnijącego imperializmu. Ale w zakończeniu wiersza zwraca się z sui generis apelem do prowokatora, życząc mu, aby jego oczy przejrzały. I dalej: „Niech słowa, które wylały całą swoją woń usłużną, odzyskają okrutną prawdy jednoznaczność".

Z wściekłym psem nie należy bawić się w pogawędki. Wściekły pies może ugryźć śmiertelnie. Wściekłego psa poezji kapitalistycznej trzeba izolować; sam zdechnie w konwulsjach, wyprzedzając swą klasę. Eliot jest świadomym prowokatorem, piewcą obskurnego średniowiecza, heroldem imperializmu i chwalcą faszyzmu; tępa religijność łączy się w nim z ohydnym rasizmem; freudyzm z pochwałą monopoli; jego pogarda dla człowieka przemienia się w nienawiść do walczących o wyzwolenie ludów kolonialnych; jego poglądy wypowiedziane wierszem i — pożal się Boże — prozą publicystyczną, stanowią seminaryjny przykład obskurantyzmu sztuki imperialistycznej; jego miejsce nie jest obok Shawa czy Manna. Jego miejsce jest obok Koestlerów i Sartrów, Huxleyów i Silone'ów; a także przy Dielsach i Burnhamach.

Widziałem w Berlinie w zachodnich księgarniach książkę Rudolfa Dielsa „Lucifer ante portas". Na czarnej okładce — czerwone litery tytułu. Jak krew. Artysta, który ją projektował, miał swoiste poczucie humoru. Rudolf Diels bowiem był pierwszym szefem Gestapo. Prawą ręką Hitlera w okresie, gdy w Niemczech mordowano setki tysięcy komunistów. Mówił o tym na zjeździe pisarzy polskich Bodo Uhse ,niemiecki literat, który walczył w Hiszpanii u boku generała Waltera. Diels, który żyje wygodnie w Szwajcarii, postanowił przekonać swych amerykańskich protektorów, że się może jeszcze przydać. Przecież, mówi, hitleryzm realizował wasze ideały. Kultura europejska i tradycja chrześcijańska opierają się na białym względnie brunatnym terrorze. Ta myśl, powiada Diels, przenika powoli do Stanów Zjednoczonych, a więc perspektywy — pogodne. Wydana w Sztutgarcie, w amerykańskiej strefie okupacji, książka Dielsa ma mobilizować faszystów niemieckich — i wszelkich innych.

Jakikolwiek przybiera ona kształt, sztuka imperializmu ma dziś tylko jedno zadanie: przygotowania wojny przeciw światu postępu i pokoju. Ostrzenie noży słychać w niewinnych lirykach i „uczciwych" artykułach, w tasiemcowych, ezoterycznych rozważaniach Jaspersa i działalności Crossmana, w mowach Ortegi y Gasset i spowiedzi Sir Stafforda Crippsa, w biologizmie Hemingway'a i „fachowości" Hjalmara Schachta; także w prowokacyjnych książkach „filozoficznych" trockisty Jamesa Burnhama.

Ten ubierał się w maskę antykapitalizmu. Usiłował zastąpić rewolucję proletariacką i walkę wyzwoleńczą narodów kolonialnych — przewrotem spowodowanym przez fachowców, „managerów", dyrektorów przedsiębiorstw i koncernów, związanych z kapitalistami, którzy będą korzystać z forsy, ale nie będą się wtrącać do produkcji. Robotnicy będą trzymani za mordę, przypisani do fabryki, jak chłopi średniowieczni do gleby. Oto prosty sposób ratowania kapitalizmu, który nie może dać rady z anarchią produkcji.

Ale — jest Związek Radziecki. „Rewolucja managerów" została napisana przed wojną. Burnham wraz z całym obozem imperialistycznym łudził się, że Związek Radziecki wyjdzie z niej wykrwawiony i że stanie się łatwym łupem. Rozczarowawszy się, ideolog burżuazji wzywa do rozpoczęcia nowej wojny. W cyklu artykułów „Strategia zimnej wojny" Burnham dowodzi, że wojna napastnicza nie jest przestępstwem. Zapomina nagle o swojej rewolucji managerów, radzi generałom kapitalistycznym używać metody prowokacji sabotażu, gloryfikuje mord i podziemie, prosi o pieniądze na dywersję i propagandę imperialistyczną. Kły faszysty lubią ludzkie mięso.

Kiedyś historyk sztuki gnijącej burżuazji określi ostatni jej etap jednym słowem: prowokacja. I doda epitet: bezsilna. I kończąc ten rozdział, wspomni o przepięknych słowach człowieka radzieckiego, szofera Fiodora Ljubżyna. Szofer Fiodor Ljubżyn pracuje na stacji leśnej Czugujew koło Biełgorodu. Rozwozi sadzonki drzew, realizuje wspaniały, stalinowski plan przemiany przyrody. Mówi on:

„Ja jestem szoferem. Prowadzę samochód. Ale umiem również prowadzić czołg. Mogę na wezwanie Ojczyzny zamienić kierownicę auta na lewary czołgu. Ale pragnę sadzić las, rozwozić chleb, wozić się z dziećmi, które włażą na auto prosząc, aby je podrzucić do rzeczki. Jestem człowiekiem pokoju".

„Pracuję na odcinku Biełgorodu. Tu siedem lat temu ludzie radzieccy rozbili grabieżców. Dziś sadzimy tutaj las. I nikomu nie pozwolimy zmarnować naszego trudu. Znamy swój obowiązek.

I ja, prosty człowiek radziecki, szofer Czugujewskiej stacji leśnej, oświadczam po przez ocean: — Biada wam, panowie podżegacze do wojny, jeżeli przez was usiądę do czołgu!"

O taką wspaniałą, niezłomną, humanistyczną postawę człowieka socjalizmu walczyliśmy na zjeździe pisarzy polskich. Bo tylko ona odeprze prowokację i może ocalić pokój.

Tadeusz Borowski

KORESPONDENCJA

MAŁE FORMY I WIELKA SPRAWA

Nie ma w Polsce redaktora gazety, który by planując niedzielny czy świąteczny numer, dodatek literacki lub niedzielny, nie umieszczał chętnie w makiecie noweli albo opowiadania. Nie ma również redaktora, który by w większości takich wypadków nie miał kłopotu kończącego się zwykle wykreśleniem planowanej pozycji, tak chętnie widzianej przez czytelnika.

Dlaczego tak się dzieje? Odpowiedź prosta — gdyż tego gatunku literackiego właściwie nie ma. Nie ma bardzo krótkich nowel i opowiadań będących odbiciem jakiegoś wycinka tak bujnego życia w Polsce Ludowej, nadających się do druku w odcinku gazety, w dodatku literackim.

Pisarze nasi za mało sięgają do tego rodzaju literackiego, jakim są tzw. małe formy. Krótkie opowiadanie, reportaż literacki, nowelka o rozmiarach przystosowanych do dziennikarstwa to ogromne zamówienie społeczne, którego rozmiary rozumieją dobrze redaktorzy gazet codziennych.

Zagadnienie to raczej drobne w skali wielkich spraw rewolucji kulturalnej, niemniej ważne i godne uwagi.

Stosowanie małych form daje milionom czytelników możność zetknięcia się z dobrą literaturą, stanowi potężny środek oddziaływania ideologicznego, daje pisarzowi szanse codziennego przemówienia do milionowych mas nowego, chłonnego i wdzięcznego czytelnika.

Uogólniając, trzeba stwierdzić, że mimo godnych przypomnienia wyjątków (Tadeusz Borowski uprawiał m. in. przez czas jakiś ten gatunek literacki) większość naszych pisarzy nie wykorzystuje jeszcze dotychczas ogromnej roli prasy w popularyzowaniu literatury. Oczywiście gatunek, o którym piszę, jest niezwykle trudny, trudniejszy nieraz niż utwory o większych rozmiarach, a brak jego nie zawsze wynika z niedoceniania roli prasy codziennej przez pisarza. Niemniej jeszcze i dziś zjawiskiem dość powszechnym jest u nas stawianie sztywnej granicy między dziennikarstwem a literaturą, niedostrzeganie wyraźnego pomostu, jaki między nimi istnieje. Trudno zaprzeczyć, że pokutują tu jeszcze pozostałości jakiegoś mieszczańskiego elitaryzmu. Przykład Majakowskiego jako tego, który nie bał się „rozmieniać na drobne", nie bał się małych form, ba, najmniejszych form dziennikarsko - literackich, przeciwnie, uważał to za pracę na wyższym stopniu twórczą, przykład ten wielokrotnie już u nas cytowany, ma wciąż aktualną wymowę.

Zagadnienie głodu małych form nie ogranicza się bynajmniej do dziedziny dziennikarstwa. W ostrzejszej może formie istnieje w innej jeszcze dziedzinie naszego życia kulturalnego — w życiu świetlicowym. Kto nie zna spraw świetlicowych, ten nie wie, jak kolosalny jest brak wszelkiego rodzaju małych form literackich dla zespołów świetlicowych, poczynając od dobrych jednoaktówek poprzez wszelkiego rodzaju teksty, na piosenkach i skeczach kończąc. Często słyszy się, że repertuar świetlic jest zaśmiecony całą lawiną złych, drobnomieszczańskich szmir, że tam gdzie rodzi się nowy, świeży socjalistyczny odbiorca sztuki — przesącza się trucizna. Ale zaprawdę, trudna jest walka z inwazją wrogiej i złej sztuki, gdy codziennie tysiące świetlic szukają materiałów repertuarowych i nie znajdując ich sięgają siłą rzeczy po to co jest.

Tu przed pisarzem otwierają się wielkie i niewyczerpane nigdy możliwości pisania i wyżycia się artystycznego, pisania trudnego, ale zmuszającego do znalezienia drogi do właściwego artystycznego wyrazu dla spraw bliskich nowemu odbiorcy sztuki.

Warto wspomnieć, jak wielką wagę przywiązuje się w Związku Radzieckim do sprawy małych form jako ważnego gatunku literackiego, do ich poziomu i wartości ideologicznej. Prasa radziecka z „Prawdą" na czele zajmuje się często tym zagadnieniem, walczy o wysoki poziom krótkich opowiadań, piętnuje tandetę literacką, która gdzie niegdzie przenika do repertuarów świetlicowych, i podkreśla, że twórczością tego rodzaju zajmować się winni przodujący, najlepsi pisarze unikający wszelkiej łatwizny, gdyż ich słowo trafia do najszerszych mas czytelniczych, kształtuje świadomość i odczuwanie milionów ludzi radzieckich.

Wydaje mi się, że zagadnienie to, szkicowo tutaj rzucone, winno być podjęte, przemyślane i wzięte poważnie pod uwagę przez pisarzy w ich planach pracy. Na wyniki jej czekają łamy robotniczych i chłopskich gazet o milionowych nakładach, czekają sceny zespołów ludowych, estrady domów kultury i tysiące świetlic.

Leszek Wysznacki

Komentarze

Suprastruktura suprabzdury

Piotr Grzegorczyk należy do badaczy sumiennych i dokładnych. Okazał to już niejednokrotnie w swoich pracach z zakresu bibliotekarstwa. Gorzej przedstawia się sprawa, gdy zabiera się do pisania na tematy literackie — tam zawodzi go sumienność i puszcza wodze nie tylko fałszywym koncepcjom, ale z finezją godnej lepszej sprawy wręcz fałszuje rzeczywistość. Artykuł pt. „Majakowski po 20 latach" drukowany w „Tygodniku Powszechnym" Grzegorczyk rozpoczyna od bardzo efektownego porównania Majakowskiego z Puszkinem. Pisze: „Obaj zginęli w największej pełni życia, mając zaledwie 37 lat, obaj w literaturze swego narodu widnieją jak słupy graniczne nowych epok, obaj byli wielkimi nowatorami w poezji, zarówno buntowali się przeciwko tyranii carskiej i równo cierpieli przez pastwiącą się nad ich wierszami płaską i głupią cenzurę, obu dotknęły represje polityczne, choć w znaczniejszym stopniu Majakowskiego, który kilkanaście miesięcy przesiedział w więzieniach carskich, obaj wreszcie byli patriotami, stającymi w obronie warstw uciemiężonych przez klasę rządzącą".

Pozornie nic tym zdaniom nie można zarzucić, prócz jednego chyba, o czym pan Grzegorczyk zapomniał w zapale retorycznym, że Majakowski konspirował co prawda przeciwko władzy carskiej i cierpiał z powodu „płaskiej i głupiej carskiej cenzury", lecz w chwili wybuchu Rewolucji Październikowej miał zaledwie 23 lata,

a rozkwit jego twórczości przypada już na okres, gdy nie musiał „stawać w obronie warstw uciemiężonych przez klasę rządzącą". Ponieważ pan Grzegorczyk świadomie pomija ten najwspanialszy okres działalności poetyckiej Majakowskiego, całe jego porównanie należy uznać chyba za wyraźną złośliwość, którą można zresztą wyczytać ze zręcznie ukrytej w jego pięknym porównaniu insynuacji.

Powiada pan Grzegorczyk, streszczając rozprawkę Majakowskiego „Jak się robi wiersze?", że zamówienie społeczne poeta poznaje na drodze intuicyjnej. Oczywiście już w następnej szpalcie chcąc nie chcąc, gdy przytacza dosłownie Majakowskiego, sam sobie przeczy, ponieważ musi dodać, że „ażeby to zamówienie pojąć prawidłowo, poeta musi stać w centrum zagadnień i zdarzeń". Ale temu się nie dziwmy. Ciężka jest rola krytyka piszącego o Majakowskim w „Tygodniku Powszechnym". Dziwimy się raczej najnowszym, wspaniałym odkryciom pana Grzegorczyka na temat istoty poezji. Pan Grzegorczyk powiada, że „Majakowski zdemaskował przeróżne zakłamane, stare i zużyte chwyty poetyckie, odkrył sam wiele nowych i wspaniałych chwytów, ale nie odkrył istoty poezji". Tego wielkiego odkrycia dokonał za Majakowskiego pan Grzegorczyk. Chcecie wiedzieć, na czym ono polega? Jakież to proste. Chodzi tu o „to, co się w najlepszych jego utworach wydobywa poza istotny i rzeczywisty sens słów, co staje się obrazem poetyckiego heroizmu tego człowieka, co wiąże się w suprastrukturę jego dzieła, a co właśnie nazywamy w braku lepszego określenia p o e z j ą". Roma locuta, causa finita — już wiemy, co to jest poezja: jest to suprastruktura, która się wydobywa poza istotny i rzeczywisty sens słów!

sp

Cień stulecia

Mimo piekielnego upału zgodziłem się na przechadzkę po mieście. Zygmunt po raz pierwszy był nad Renem i po raz pierwszy oglądał starożytną Kolonię. Druga wojna światowa zdmuchnęła większość domów starego miasta, odsłaniając za to fundamenty, sięgające czasów rzymskiego imperium. W środku tych ruin stoi mało uszkodzona katedra, tak piękna w swej gotyckiej strzelistości, że tylko chyba Burgos, Mediolan i Paryż mogą współzawodniczyć z cudem kolońskiego tumu. Darmo się silić na opis. Zbyt zresztą było gorąco, by wrażenia układały się w sensowne zdania. W notatniku na splamionej spoconą ręką kartce byłem w stanie zapisać tylko to: „Kolonia. Katedra nadal piękna. Wokoło nic do picia."

Z tym „wokoło nic do picia" była duża przesada Sto metrów od katedry jest dworzec. Ale przejść te sto metrów w prażącym słońcu — zbyt wielkim było wysiłkiem. Upał uszlachetnia lenistwo nadludzką siłą słońca.

Dziesięć metrów od katedry stał jeden jedyny niezburzony domek starego miasta przy katedralnym placu: — Biuro Podróży Cooka, smętny symbolik minionych dni sławy brytyjskiego imperium. Weszliśmy do wnętrza i zażądaliśmy Coca-Coli. Odmówiono nam grzecznie, proponując wzamian przewodnika po katedrze. Podziękowaliśmy uprzejmie, tłumacząc, że byliśmy już tam i wiemy, że Coca-Coli w kolońskim tumie nie sprzedają.

Zlani potem wróciliśmy do auta i pojechaliśmy nad Ren. W drodze natchniony pragnieniem opowiadałem Zygmuntowi o pięknie mediolańskiej katedry. Biały marmur odbija słońce i zachowuje chłód, a poza tym na zwiedzającego pada „Cień stulecia": — Coca-Cola! Zimny, ożywczy płyn amerykańskiej wytwórni.

— Oszalałeś! Bredzisz już od godziny. Słońce cię poraziło chyba!

— Mylisz się. Ja tylko tęsknię do Mediolanu, gdzie... popatrz zresztą sam...

Wyjąłem z teczki rano kupiony tygodnik i wskazałem na poniższe zdjęcie:

Pod zdjęciem był podpis treści następującej:

„Cień stulecia. Coca-Cola nie zatrzymuje się nawet przed drzwiami katedry. Na gotyckim dachu mediolańskiego tumu znajduje się obecnie bar dla turystów spragnionych Coca-Coli."

e. osm.

Amerykańskie pęta włoskiego filmu

Powojenny okres świetności włoskiego filmu należy już do przeszłości. Społeczny sens utworów Rosseliniego, De Sici, Lattuady, Lizzaniego wywołał przerażenie rządu De Gasperiego, który nie szczędził wysiłków, aby zdławić postępową produkcję filmową we Włoszech. Walnie pomogły w tyn amerykańskie koncerny filmowe, które z chęcią pozbyły się groźnego konkurenta.

Jedną z głównych broni przeciwko włoskiemu filmowi jest cenzura, której pracownicy rekrutują się przeważnie z faszystowskich urzędników Mussoliniego. Typowym przykładem praktyk cenzury jest doskonały film dokumentarny Lizzaniego p.t. „Fakty z Modeny", oparty na wydarzeniach z dnia 9 stycz-

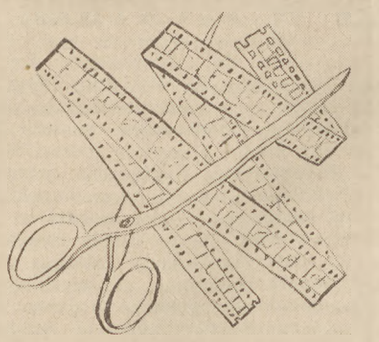

nia br. w Modenie, w czasie których policja zamordowała sześciu robotników. Z tego filmu cenzura skreśliła zdjęcia olbrzymiej manifestacji pogrzebowej, w której wzięło udział 300.000 robotników, dalej scenę przemówienia Togliattiego, scenę powrotu robotników do fabryki po odniesionym zwycięstwie w strajku itd. Z filmu została jedynie... scena pogrzebowa na cmentarzu.

Cenzurze włoskiej przychodzi często w sukurs cenzura amerykańska. Kiedy rząd włoski zgodził się po wielu wahaniach wypuścić za granicę wyświetlany i u nas film „Złodzieje rowerów", przystąpili do dzieła Amerykanie. Przedsiębiorcy z Hollywood z początku sprzeciwili się wyświetlaniu tego filmu w Ameryce, w końcu jednak ustąpili pod presją opinii publicznej. Film został pocięty przez amerykańską cenzurę. Ale jak? Usunięto najlepsze sceny, taśmę pokiereszowano niemiłosiernie. Doszło do tego, że żądano wycięcia sceny, w której mały chłopiec robi beztrosko siusiu. — Niemoralne...

rk.

10.000 dolarów za postępowe przekonania

Komisja Ustawodawcza Senatu amerykańskiego uchwaliła projekt ustawy senatora Mundta, która zmierza do zatarcia nawet śladów tego co ongiś zwano w USA demokracją. W myśl rzeczonego projektu wszyscy członkowie partii komunistycznej i innych stronnictw postępowych będą rejestrowani w Ministerstwie Sprawiedliwości, a ci co uchylą się od obowiązku rejestracji, poniosą surowe kary. Ktokolwiek zostanie uznany za „człowieka o przewrotowych poglądach", będzie podlegał karze więzienia do lat dziesięciu i grzywnie do 10.000 dolarów. O tym, jakie poglądy są przewrotowe, będzie decydowała specjalna komisja, która orzeknie autorytatywnie o zgodności czy niezgodności jakiegokolwiek programu politycznego z wytycznymi polityki rządowej. Na mocy tych nieograniczonych pełnomocnictw „Komisja prawomyślności" będzie mogła uznać za zdrajcę każdego bojownika pokoju, wszystkich Murzynów walczących o swoje prawa, związki zawodowe, które w drodze legalnej będą zmierzały do zmiany ustawodawstwa pracy, duchownych protestujących przeciw broni atomowej, robotników walczących o wyższą płacę, intelektualistów sprzeciwiających się imperialisteznemu barbarzyństwu, słowem, każdego, kto nie zgadza się z polityką rządu amerykańskiego. W razie uchwalenia przez Kongres projektu ustawy Mundta Amerykanom pozostanie do wyboru: albo przy-

sięgać na Trumana i czytać comic strips, albo płacić i siedzieć w kryminale. Amerykański rząd chce zakneblować usta całej ludności Stanów Zjednoczonych i zmusić swoich obywateli do uległości. Dzieje imperializmu znają podobne eksperymenty, które jednak skończyły się bardzo smutno dla ich projektodawców.

kst.

Wiele hałasu o nic

Przed kilku tygodniami szwajcarska organizacja obrońców pokoju wyraziła zamiar wręczenia petycji pokojowej szwajcarskiej Radzie Związkowej. Parlament szwajcarski nie wiedział co zrobić z tym fantem, ale po długich medytacjach znaleziono jakieś wyjście z sytuacji. Tak więc ukazał się w prasie oficjalny komunikat następującej treści:

„Na posiedzeniu z 27 marca Rada Związkowa poleciła Kancelarii Związkowej odpowiedzieć, że Rada już w grudniu ub. roku przyjęła delegację „Szwajcarskich kobiet" celem odebrania rezolucji i tzw. „Cahiers de la paix". Rada uważa zatem za zbyteczne przyjmować drugą delegację z tych samych bez wątpienia sfer i w tej samej sprawie."

W ten sposób Rada Związkowa wykpiła się od przyjęcia delegacji pokojowej, ale nie wykpiła się bynajmniej od zatargu ze szwajcarskimi mieszczkami. Żony fabrykantów sera, pastorów i sklepikarzy zorganizowane w związku szwajcarskich stowarzyszeń kobiecych podniosły straszny alarm, że nie wręczały żadnej petycji, że nie mają nic wspólnego z „Cahiers de la paix", że nie walczą o pokój itd. Kumoszki z Berna, Zurichu i Genewy uczuły się dotknięte w najgłębszych uczuciach a Rada Związkowa znalazła się w nieprzyjemnym położeniu. Powstał straszny zamęt w kraju, który nieźle zarobił na dwu wojnach światowych.

rk.

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 16. IV p. tel. 4-01-80, w. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji, Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 100—: kwartalnie zł 300—: półrocznie zł 600—: rocznie zł 1200—. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Adres prenumeraty: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16.
Cena ogłoszeń: zł. 180 za 1 mm szerokości łamu. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń Czytelnik, Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-717/110.

Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5 B-114323